Numer podwójny stron 24

Cena 40 zł.

KUŹNICA

Rok IV Łódź, 4–11 stycznia 1948 r. Nr 1–2 (122–123)

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

11756-A

R. 1948 Nr 1/2-52

„Trudność polega nie na tym, by zrozumieć, że sztuka i epos grecki są związane z określonymi społecznymi formami rozwoju. Trudność leży w zrozumieniu tego, że wciąż dają nam one rozkosz artystyczną i w pewnym sensie zachowują znaczenie normy i niedoścignionego wzoru".

Marx

TREŚĆ NUMERU:

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI
NOWE WIERSZE

ZDZISŁAW HIEROWSKI
PISARZ NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH

SEWERYN POLLAK
NOTATKI Z PODRÓŻY

LOUIS ARAGON
MAGNITOGORSK 1932

GEORG LUKACS
POWIEŚĆ JAKO MIESZCZAŃSKA EPOPEA (II)

MACIEJ ŻUROWSKI
WSTĘP DO BALZAKA

KONSTANTY GRZYBOWSKI
PROBLEM NIEMIECKI

WŁADYSŁAW KOZŁOWSKI
8% GENERAŁA CLAY'A

MIECZYSŁAW JASTRUN
W SYTUACJI PANA JOURDAIN

JULIUSZ ŻUŁAWSKI
SKRZYDŁO DEDALA

STEFAN SZCZIPACZOW
DOMEK W SZUSZEŃSKIM

ADOLF SOWIŃSKI
Z DIALOGÓW LUCJANA Z SAMOSATY

KAZIMIERZ BRANDYS
SAMSON (II)

JACEK BOCHEŃSKI
OGRÓD (I)

JÓZEF MORTON
OWIANI ŚMIERCIĄ

JAN KOTT
JESZCZE O „LALCE" I „POZYTYWIŹMIE (II)

RYSZARD MATUSZEWSKI
PRZED MYSTKOWICAMI BYŁA GRZMIĄCA

EDWARD SZUSTER
NAGRODZONA LEGENDA

EWA KORZENIEWSKA
WZNOWIENIE „CHAMA"

JULIUSZ ŻUŁAWSKI
Z TEATRÓW ŁÓDZKICH

JÓZEF MAŚLIŃSKI
WARSZAWSKI SKANDALIK Z MUSSETEM

STANISŁAW ŚRENIOWSKI
POZNAŃSKIE TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ NAUK

KAJETAN KOTOWICZ
FELIETON GOSPODARCZY

MARIUSZ MARGAL
KRONIKA FRANCUSKA

PRZEGLĄD PRASY

KORESPONDENCJA

NOTY

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

NOWE WIERSZE

PIĘĆDZIESIĘCIU

Październikowy mrok, jak kat,
nad śpiącym miastem groźnie stanął,
wśród pustych ulic świszcze wiatr,
stukają buty SS-manów
i jak bredzenie ciężko chorych,
przelata ulicami miasta
październikowa noc Szesnasta
z rykiem motorów. Czy upiorów?

Warszawa nie śpi, okiem okien
rachuje auta: siedem... *osiem...*
Warszawa nie śpi, bo — drapieżna —
przyczaja się w udanym śnie,
a sen Warszawy — to jej gniew,
a wtedy czuwa i snu nie zna.

Zerwanych mostów nie wyminą
pociągi, rezerw nie dowiozą:
już tydzień przy skręconych szynach
brzuchami świecą parowozy
i zamarł wszelki ruch na wschód.
cały garnizon trwa pod bronią,
tylko patrole, tak jak wprzód,
chodzą z pistoletami w dłoni,
tylko po mieście, tak jak zwykle,
złowrogo trzeszczą motocykle.

Październikowa noc okrakiem
stanęła — czemu? — nad Pawiakiem,
rozlała *śmierć po więźniów twarzach,*
przez kraty *przepuściła* świt,
a wtedy — tupot w korytarzach
i w każdej celi klucza zgrzyt!

Apel pośpieszny, apel krótki,
jak salwa: „Alle raus!" — i wtem,
jak słowo, które w gardle utkwi,
ten dzień zaprzestał być już dniem

Ich wszystkich było pięćdziesięciu.
Wiązano grupy po dziesięciu
i pchano siłą w paszcze aut,
a potem — Wola, Włochy, Dworzec...
Nad wszystkim bujał, jak proporzec,
dopełniający się już gwałt.

O patrz, Warszawo, to są ci,
za których się historia mści.
to oni wolą nieugiętą
uczyli nas, jak żyć, jak bić się,
jak gardzić życiem, kochać życie,
ażeby syn i wnuk pamiętał...
O patrz, Warszawo, toż to tamci,
którzy nas mieli zmiażdżyć, stłamsić,
przed nasz są powołani sąd,
by im wyrokiem wskazać krwawym,
że siła podłych nie jest prawem,
że to bluźnierstwo, że to błąd.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
z Powiśla, z Woli byli wzięci,
z warsztatów pracy, fabryk, hut...
To oni każdą z bruku cegłą,
o wolność bili się, o lud,
o chleb nasz i — o Niepodległą!

Ich było tylko pięćdziesięciu,
lecz po nich poszły nas miliony
w wojennym szczęściu i nieszczęściu
ku dniom tak wtedy oddalonym.

Ich było tylko pięćdziesięciu,
a myśmy zaciskali pięście...

Obywatele, towarzysze,
nic więcej o nich nie napiszę...

CYTADELA

Na Cytadeli jest szubienica
pod szkłem.
O tym wie każda warszawska ulica
i ja wiem.

Umierali tam Pepesowcy,
SDKPiL,
umarli, zgnili —
został Cel.

I jak to pięknie — teraz — w Polsce
patrzeć, jak z krwawej ziemi
wyrastają z żywymi oczami
ludzie powieszeni:

Montwiłł, Kasprzak, Baron, Okrzeja —
to oni, na wielu krosnach...
Nadzieja!
Wiosna!

DO PRZYJACIELA

Lifowi

Mój drogi, czy wiesz,
że najpiękniejszy wiersz
jest o wiele mniej piękny, niż średnio
przystojna żona?

Ja mówiłem to tobie pierwszemu,
byłem wzruszony,
ona była wzruszona —
czemu?

To była wiosna — a może lato? —
w Warszawie
i było ślicznie...
Dni mego szczęścia? —
w Oświęcimiu zgubiłem licznik,
no i tak się dławię i krwawię.

Ty (tak zwany „domowy rabin")
dałeś mi kawał serca.
Dziękuję, przyjacielu. Odłożyłem karabin.
I ty. I bić się znowu trzeba.
A droga coraz szersza.

DZWON W PŁOCKU

Dzwon za poległych pod Warną
bił dziewięć razy.
Królowi się zmarło,
wojsku się zmarło,
a dzwon bił dziewięć razy
o zmierzchu.

Płynęła Wisła do Dobrzynia,
rude słońce lizało fale po wierzchu,
czerniały lasy sosnowe,
szarzała mazowiecka równina,
stał Zamek Mazowiecki,
stała świątynia.

Tak działo się setki lat,
słyszeliśmy to ja i mój dziad,
pod kasztanami za Tumem
braliśmy zmierzch do ręki,
jak świętojański kwiat.

A dzwon płynął olbrzymią chmurą,
górą,
dziewięć razy
i setki lat.

Czegóż nas nauczyły wieki,
wsłuchanych w dźwięk daleki?
Trwać!
jak pod Warną
i żeby tutaj się zmarło.

WSPOMNIENIE Z 1931 R.

„Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!..."

Znajome słówka.
A ja siedzę z murarzem w więzieniu.
Głodówka!

I teraz ta cela parszywa,
ten kiepski kawałek chleba,
to się nazywa
okno do nieba?

Okno się odmuruje
młotem, piórem i kielnią,
na chleb się zapracuje
rzetelnie.

Ja wyjdę razem z tym murarzem
po chleb.
Jeśli jakieś bydlaki się przerażą —
w łeb!

W. B. BEZ TYTUŁU

Co mi tam po tytułach:
wystarczy własne nazwisko,
by po odbitym w Wiśle księżycu się tułać
i widzieć wszystko.

Ja słyszę, jak trawa rośnie,
i od tego serce mi rośnie,
ale co tam zielona trawa,
kiedy w dzień, co godzina czuję,
jak się z gruzów okrutnych dźwiga i buduje
Warszawa.

Ja nie chcę być szefem BOS-u,
bom nie inżynier,
ale umiem dźwigać pod niebiosa
Wrocławie, Szczeciny, Gdynie!

Węgiel dobywać? przędzę prząść? —
nic by z tego nie wyszło.
Ja na sto koni parowych chcę wsiąść
i pędzić w przyszłość!

Za to wszystko chcę otrzymać w darze
ten z Wisły księżyc srebrny,
ambasador rępubliki marzeń,
minister spraw niepotrzebnych.

O SZUMIE

Gdybym wierszy pisać nie umiał,
może by las piękniej szumiał,
może z jakiegoś strumyka
oświeciłaby mnie nagle muzyka
jakąś wiedzą o sprawach serdecznych,
radosnych i krwawych, i wiecznych.
ale ja już słuchać nie umiem.
sam szumię.

OBRĄCZKA

Miałem obrączkę i zdjąłem obrączkę,
bo Marysia miała taką samą i wkładała na rączkę,
kupowaliśmy to w Szwajcarii, i było już źle,
Zürichskie jezioro we mgle,
profesor doktor Rohr nie wiedział, co ma powiedzieć
a ja musiałem wiedzieć,
że...
że będzie źle.
że będzie życie we mgle,
że będę wiersze pisał
źle.

O CISZY

Tak bardzo płaczę po Oświęcimiu,
po tobie, Mario,
już prawie nie pamiętam, jak tobie było na imię,
już prawie wszystko umarło.

I chodzę sobie, roztargniony nieboszczyk,
chodzę, chodzę,
nikt się o mnie nie troszczy,
co spotkam — to śmierć na drodze.

Ja tak sobie jeszcze połażę, połażę,
może jeszcze jakiś wiersz napiszę,
a potem cmentarze,
coraz ciszej.

O KULI ZIEMSKIEJ

Gdyby tak Kulę Ziemską
objąć
— ot tak —
jak córkę,
gdyby tak ją przycisnąć do serca,
żeby poczuła...

A ja nic:
ot — błahy szyderca —
po jakichś tam księżycach się tulam.

Te wszystkie księżyce mi na nic
i ja sam na nic,
ja tylko ciągle w kółeczko:
„Kulo Ziemska, moja córeczko,
pokaż mi się jakąś gwiazdeczką".

JOASI

Córeczko miła, mężatko,
co ja mogę? —
wszystko poszło tak gładko,
że chyba krzyżyk na drogę.

Tak zwane „nowe życie":
redakcja, ZWM,
a co z własnym życiem zrobić? — widzicie:
bo ja wiem...

Pójdę sobie z Warszawy do Łodzi,
sam jak pies,
a co to kogo obchodzi,
że w gardle pełno łez?

KRZYWDA

Umysł pracuje, talent pracuje,
jak nigdy,
i do czego się dopracowałem? —
do krzywdy.

Anka nie przyszła,
Majka odeszła,
widocznie nie mają czasu
i koniec.
Wiele hałasu
o nic.

Idę sobie zamaszyście
i opada ze mnie życie, jak jesienne liście.
Jakie liście? — wierzby, brzozy, topoli,
ale to boli.

METEOR

Opętał mnie pewien meteor
no i nosi dookoła świata:
córki diabli wzięli,
spokój licho wzięło,
a tata lata.

Piszę miniaturki,
piszę bzdurki,
wyjątkowo nie dla mojej córki.
Nic nie będzie o czapli
na wysokiej desce,
bo wszystko wzięli diabli,
a meteor nosi mnie jeszcze.

KAWAŁEK LEWANTU

Chwieją się cedrów chojary,
jest jakieś niebo ogromne
(Balbek? Jerozolima?).
Chciałbym te czary
zapomnieć.

Chciałbym zapomnieć te gwiazdy
(ile ich było?)
i tę miłość zapomnieć,
zapomnieć, żeby jej nie było!

SZCZĘŚCIE

Największe ze szczęść,
to tylko jego część.

Najpiękniejszy poemat,
to ten, którego nie ma.

Najpiękniejsza kobieta,
to może ta?... —
jednak nie ta.

JASKÓŁKA

Naleciała na mnie fala miłosna,
jak powódź, co lody znosi.
Ty nie jesteś już taka młoda, ale jak wiosna,
i kto ciebie o to prosił?

Może moje serce prosiło na klęczkach
w rozmaitych rozpaczach i klęskach,
całując z rozpaczą na spółkę
ciebie — jaskółkę?

A może te jaskółki w niebie
podobne do ciebie,
latały, kwiliły i wylatały,
żebym był radosny i śmiały?

BABY KAMIENNE

Były kobiety,
a ja się starzeję.
Niestety:
dzieje...

Widziałem w Nieborowie baby kamienne
scytyjskie, sprzed tysiąca lat.
Baby były bez twarzy,
poważne,
groźne,
senne,
każda miała po tysiąc lat

Ja mam lat siedemnaście
a nie pięćdziesiąt.
Baby, baby,
pokażcie,
że lat pięćdziesiąt —
to przesąd.

WIERSZ

Ona śpi,
ja wiersze piszę,
męczę się,
wsłuchuję się w ciszę
w ciszę straszną,
nie mogę zasnąć,
jakieś upiory kołyszę
i wiersze piszę.

Nie śpię, spać ci nie daję, palę papierosy;
na stole budzik, chleb, dwie żółte chryzantemy
listopadowy wiatr za szybami krzyczy
wniebogłosy,
ja jestem niemy,
tylko na kształt krzywego drewna
wykrzywiam się na ten wszechświat...
Śpij, moja dobra, rzewna,
ja nie śpię.

Jeśli chcesz, to mi odbierz papierosy,
albo rękę połóż na włosy,
do snu się każ ukołysać,
naucz, jak wiersze pisać,
bo jak nie, to krokiem chwiejnym
pójdę szlakiem beznadziejnym,
Mokotowem, Żoliborzem,
znajdę jakiś kamiuszczek —
głowę położę.

NA ŻOLIBORZU

Na Żoliborzu są topole,
a ja niebo nad Żoliborzem wolę,
takie piękne w listopadzie,
kiedy w szarość błękit się kładzie,
kiedy właśnie przyszła do mnie miłość,
jak miło...

EROTYK

Kocham cię...
To proste.
I co jeszcze? —
córkę, pierwiosnki, Tatry.
Serce? —
jeszcze nie oschłe.
Byt? —
wcale nie łatwy.
Ja dziękuję ci za wszystkie wiersze,
nawet za te, których nie będzie.
Ty jesteś, jak powietrze:
we mnie, w Tatrach, wszędzie.

GOŹDZIK

Kupiłem goździk różowy
Wandzie.
Pochodzi, pochodzi w ten dzień grudniowy,
przyjdzie do domu, znajdzie.
Będą mijały październiki, listopady grudnie,
a ona przyjdzie do domu,
a ona przyjdzie do domu,
jak godzina dwunasta
w południe.

OŁÓWKIEM

Okropność, jeśli jest przy łóżku ołówek,
a we łbie kilka słówek:
te słówka to może bomby atomowe,
a może nosorożce,
a może to, co najdroższe
a co? —
straciłem mowę.

ESTETYKA

Gdybym był poetą estetycznym, jak
powiedział ktoś,
pisałbym wiersze estetyczne (sobie na złość),
ale ja bym wolał być *pokojowym* malarzem,
malowałbym umarłe twarze,
a potem łeb w wiadro z farbą
i tak by się dobrze *umarło.*

Władysław Broniewski.

ZDZISŁAW HIEROWSKI

Ilustracje do artykułu niniejszego zaczerpnięte zostały z książki „Dolny Śląsk" Instytut Zachodni, 1948

PISARZ NA ZIEMIACH ODZYSKANYCH *)

TRUIZMEM będzie już stwierdzenie, że bez silnej i wszechstronnej ekspansji kulturalnej na odzyskane ziemie opóźnimy poważnie, skomplikujemy i rozwleczemy jeszcze bardziej proces stapiania się ich z państwem i narodem.

A proces ten ma dwa ogniska i kilka istotnych, równorzędnych wariantów.

Pierwsze ognisko znajduje się właśnie tutaj, na ziemiach wielkiego Śląska, Pomorza Zachodniego, Warmii i Mazur. Tutaj bowiem musi się przede wszystkim i możliwie najszybciej dokonać zjawisko trwałego spolszczenia odzyskanych terytoriów poprzez ukształtowanie psychiki człowieka, który je zamieszkiwał i zamieszkuje. I tu zaraz zachodzą owe warianty. Bo w innym zupełnie kierunku iść musi kształtowanie psychiki miliona Polaków odzyskanych i świeżo włączonych w państwowo-narodową wspólnotę, a w innym kształtowanie nastawień wewnętrznych u przeszło czterech milionów tych Polaków, którzy tutaj przybyli. W tej czteromilionowej masie znów zachodzi przez swoje psychiczne konsekwencje istotne, dalsze rozszczepianie: na grupę społeczną osadników którzy przyszli tu zasadniczo na skutek dobrowolnego wyboru, oraz na liczniejszą chyba od nich grupę repatriantów, u których zmiana siedzib nastąpiła w wyniku nowego układu stosunków politycznych ze Związkiem Radzieckim. Te rozszczepienia możnaby jeszcze mnożyć. W grupie osadników są przecie tacy, którzy opuścili swoje ośrodki położone w Polsce na skutek zniszczeń wojennych. Ich motywy mają w sobie też coś z konieczności, konieczności przemijalnej. Dalszym zróżnicowaniem problemu może być sprawa powracających na te ziemie reemigrantów zarobkowych z Zachodu. Ale to są już aspekty mniej powszechne i zatem mniej istotne, które ulegną automatycznej chyba likwidacji przy generalnym rozwiązywaniu zagadnienia grupy napływowej.

Polacy odzyskani to żywioł silnie zakotwiczony, niezwykle mocno związany ze swoim środowiskiem i ziemią, żywioł powiedziałbym fundamentalny dla procesu naszego utrwalania się tutaj. Z drugiej jednak strony jest to element mocno zróżnicowany w swym stosunku do narodu i nowej państwowości: element, którego skala uświadomienia narodowego jest niezmiernie rozległa, sięgająca od czysto powierzchownej spólnoty językowej poprzez stan bierności narodowej, pewnego psychicznego separatyzmu aż do stanu jasnego, niewątpliwego i głęboko uświadomionego patriotyzmu z jego wszystkimi politycznymi konsekwencjami. Ten układ stosunków i ta rozmaitość typów narodowych jest logicznym wynikiem warunków politycznych, jakie tu na przestrzeni ostatnich lat kilkudziesięciu, nawet powiedzmy lat stu od wiosny ludów panowały. Zróżnicowanie to zniknąć może jedynie w okolicznościach jakie stwarza niepodległość, i to stopniowo pod naciskiem nie administracyjnych posunięć, lecz pod działaniem siły atrakcyjnej nowego państwa i kultury narodowej. Mamy tu więc bardzo delikatny, bardzo powikłany i najeżony tysiącami zadrażnień, które zrodziły się na samym progu niepodległości, problem związania polskiego żywiołu miejscowego, Ślązaków, Kaszubów, Warmiaków i Mazurów z nowym państwem polskim przede wszystkim poprzez integralne wtopienie ich w naród. Chodzi, inaczej mówiąc, o ukształtowanie w nich w sposób nowy i trwały więzi narodowej, a również o związanie ich z grupami napływowymi.

Inne zagadnienie przedstawia grupa napływowa. Tutaj więź narodowa jest mniej lub więcej intensywnie występującym faktem psychicznym i socjologicznym. Zachodzą natomiast komplikacje w formowaniu się i umacnianiu ich związków z nową dla nich i psychicznie ocenianą zasadniczo jako obcą ziemią. Regulacji i ukształtowania wymaga tutaj ich stosunek do nowego kraju, nowych siedzib i nowych zastanych tu czy napotkanych w wyniku ruchów emigracyjnych ludzi. Chodzi o likwidację konfliktów nie tylko pomiędzy elementem napływowym a miejscowym, lecz również o stosunki wewnątrz grupy napływowej i w końcu o jak najbardziej pozytywny i twórczy stosunek do samych ziem, których przyszłość została nam powierzona. Człowiek zmieniający siedzibę dobrowolnie czy pod naciskiem takiej czy innej konieczności, człowiek w przeważnej mierze wytrącony z równowagi życiowej przez następstwa ostatniej wojny, coraz mniej przywiązuje wagi do trwałości czynników materialnych. Tym silniej więc należy oprzeć jego stosunek do nowych warunków na związkach wewnętrznych natury emocjonalnej, na przezwyciężeniu istniejących w nim oporów psychicznych, na pogłębieniu motywów powierzchownych i koniunkturalnych, jakie nim często zwłaszcza w grupie osadniczej kierują.

A więc ustalić możemy na tej podstawie dwa oblicza problemu, który nazwiemy odzyskiwaniem dla polskości objętych przez nas terytoriów: pierwsze, wiązanie z narodem i państwem, drugie — wiązanie z nową ziemią.

I jest jeszcze drugie ognisko tego zagadnienia jako całości. Stosunek samego narodu, stosunek społeczeństwa, zamieszkującego inne ziemie do nowego kraju na północy i zachodzie.

W tym stosunku tradycja historyczna zwłaszcza ta odległa, sięgająca początków naszego państwa ma znaczenie zupełnie drugoplanowe, jest zbyt słabo odczuwana, nie stanowi impulsu do intensywniejszego przeżycia, działa powierzchownie, a może tylko podsyca niezdrowy nacjonalizm, który można określić znanym terminem megalomanii narodowej.

Bardziej konkretnym w swych następstwach jest tutaj motyw natury polityczno-gospodarczej, uświadomienie sobie znaczenia odzyskanych ziem dla gospodarki narodowej i sytuacji ekonomicznej państwa

KROLEWSKO-PRUSKI
PATENT
Do wszytkich
STANOW Y PODDANYCH
XIESTWA SLASKA
GRABSTWA KLOCKA
Krorym pilne przestrzegaią się
Przytudom Dworu Wiedeńskiego
zwięzk nie dawali
Owżem żeby przy powinney wiernosci
KU JEGO KROLEWSKIEY MOSCI
Nieodmiennie trwali y zostawali.
Od daty z Berlina d. 19. Decembr. 1744
W WROCŁAWIU U JANA JAKUBA KORNA.
BIBLIOPOLE

...aby być zrozumianym musiał nawet Fryderyk II przemawiać na Śląsku językiem tej ziemi"

* Fragmenty referatu, wygłoszonego na Zjeździe Del. Zw. Zaw. Lit. Polskich we Wrocławiu.

na zewnątrz i wewnątrz, ich znaczenia w układzie stosunków geopolitycznych z głównym nastawieniem na szachowanie niebezpieczeństwa niemieckiego. Te argumenty zostały sobie przez społeczeństwo Polski centralnej na ogół w stopniu dostatecznym przyswojone, utrwaliły się i mają swoją rolę w kształtowaniu się stosunku społecznego i jednostkowego do nabytków terytorialnych zachodnio - północnych.

Ale powszechność tych ostatnich ma także swoje niebezpieczeństwa, kryjące się w ich jednostronności. Ludzie nimi operujący są skłonni do upraszczania całości problemu, do jego zbytniego trywializowania a przede wszystkim do lekceważenia wszystkich innych składników, które wchodzą tu w grę. Te argumenty budzą przykre i szkodliwe nastawienia kolonizatorsko - eksploatatorskie, wyłącznie utylitarne w dosyć grubym sensie tego słowa. Istnieje więc zasadnicza potrzeba uzupełnienia tych nastawień przez rozszerzenie problematyki w świadomości szerokich rzesz Polaków z innych ziem. Reszcie Polski ziemie odzyskane muszą się ukazać nie tylko w grubej namacalnej aureoli pożytków i bogactw, jakie z sobą przynoszą, ale również co jest w nich najpiękniejsze, najbardziej porywające i przekonywujące zarazem. Nie chcę tu dawać konkretnych przykładów, jestem bowiem przekonany, że sama pod powłoką propagandowych sloganów i frazesów leżąca rzeczywistość tych ziem, rzeczywistość ostatnich lat kilkudziesięciu polityczna i społeczna, rzeczywistość minionej wojny i pierwszych dwóch lat wolności kryje w sobie tak bogaty materiał, tworzywo tak nowe, nieznane i fascynujące swą oryginalnością, że już samo jej właściwe ukazanie miałoby tu znaczenie olbrzymie. Chodzi o sam fakt poznania, poznania dającego przeżycie. Rezultaty, o które nam chodzi przyjdą w jego następstwie same i bez trudności.

II.

Gdzież teraz w tym całym splocie zagadnień jest pisarz, jego rola i zadania?

Nie ulega wątpliwości, że jego właściwe i główne miejsce nie znajduje się w tym zespole prac, które określamy jako upowszechnienie kultury. Te prace bowiem to przede wszystkim wielkie i powszechne poczynania oświatowe z ich niezwykle szeroką skalą i szczeblowaniem. To następnie sama organizacja faktów kulturalnych, tworzenie nowych form pracy, nowych ognisk, nowych form kulturalnego oddziaływania na masy. Tu pisarz może być często inspiratorem, doradcą, nawet swego rodzaju ekspertem, tu może on być współuczestnikiem pewnych przedsięwzięć, ale stawianie mu wymagań innych, obciążanie go nadmiarem obowiązków w zakresie organizacji i bezpośredniego udziału jest nonsensem.

Pisarz winien formom, w jakich podejmujemy i podejmować będziemy upowszechnianie kultury, dostarczać treści do tych form albo przystosowanej, jeśli to leży w jego możliwościach, albo od nich niezależnej, nadającej się do przystosowania. Zużytkowanie tej treści i jej rozpowszechnienie, zorganizowanie aparatu pracy kulturalnej należy do odpowiednich instytucji państwowych i społecznych oraz do ich ludzi.

Toteż nie lekceważąc bynajmniej potrzeby i pożytków bezpośredniej ingerencji pisarza w takie czy inne poczynania kulturalne zwłaszcza na tych ziemiach, nie na tym szlaku szukajmy drogi do jego zasadniczego udziału w pracy nad odbudową kultury polskiej na naszych zachodnich i północnych terytoriach.

Rola, jaką pisarz ma tutaj do spełnienia jest poważna, leży zaś przede wszystkim w granicach tego, co dla jego działalności jest najbardziej istotne, leży w granicach jego pracy twórczej.

Przyjmując istnienie silnego wpływu pisarza na kształtowanie się pojęć i poglądów w społeczeństwie, na urabianie wyobraźni narodu, wpływu którego nikt chyba kwestionować nie będzie, skonstatować musimy, że udział pisarzy w tworzeniu się powszechnego obrazu rzeczywistości polskiej na odzyskanych ziemiach jest dotychczas niewielki.

Stawiając tę tezę, chcę od razu zaznaczyć, że daleki jestem od uproszczeń.

Stefan Żółkiewski stwierdza wprawdzie, że nasza współczesna literatura — „to ekspress i goni swój czas z powodzeniem" — i cieszy się z tego tempa. Ale bliższe chyba jest pisarzowi stwierdzenie Mieczysława Jastruna, że „nie dość jest żarliwości umysłu i wysiłku serca, jeśli materia życia, którą pisarz chce przetworzyć w kształt sztuki, nie mieści się w formach jego wyobraźni", która wprawdzie podlega wpływom otoczenia, ale której „zadając gwałt, pisarz rodzi rzeczy martwe".

Dlatego też stawianie programu pisarzowi jest zawsze rzeczą kłopotliwą, żenującą wobec oczywistego faktu autonomiczności wyobraźni twórczej. Dlatego programu stawiać nie zamierzam, nie chcąc, by przypisywano mi rolę feralnej akuszerki, asystującej przy porodzie martwych, sztucznie zapłodnionych noworodków. Ograniczę się tylko do próby pewnej inspiracji która nie pozbawiona będzie chyba artystycznych przesłanek.

Przypisując pisarzowi polskiemu możliwości odegrania dużej roli w zespalaniu odzyskanych ziem z Polską, widząc możliwości wygrania tej roli poprzez jego twórczość, muszę przyjąć na siebie ową kłopotliwą trochę funkcję podnoszenia do godności problemu literackiego, problemu twórczego, jeszcze jednego wycinka naszej aktualnej rzeczywistości, muszę inaczej mówiąc dorzucać paliwa do owego pędzącego ekspresu, którym delektuje się Stefan Żółkiewski.

Rzecz bowiem idzie po prostu o to, by pisarze sięgnęli po tworzywo na tych ziemiach nagromadzone i gromadzące się.

Jednym z najprostszych i najłatwiejszych zarzutów, jaki może tu paść przeciwko takiemu postawieniu sprawy, jest popularna u nas i uzasadniona w pewnej mierze zresztą kwestia dystansu, kwestia tzw. perspektywy pisarza. Otóż nie przesadzajmy zbytnio z tą perspektywą, bo np nie jest ona niemal zupełnie potrzebna liryce, bo powieść czy dramat chętnie ją skracają nie czekając nim się „przedmiot świeży jak figa ucukruje, jak tytuń uleży". To ostatnie zjawisko nie tylko zachodzi wówczas, gdy pisarz nadąża za aktualną koniunkturą. Prorocy wprawdzie twierdzą, że dobre książki o wojnie i niewoli przyjdą dopiero za lat dziesięć, podobnie jak to było po roku 1918. Ale nie umniejszając wartości tego proroctwa, zauważyć musimy, że już dziś książek o tej tematyce mamy poczet spory i to nie najgorszych. Perspektywa została skrócona. Można sobie więc z nią poradzić i to z artystycznym dla dzieła pożytkiem. Nałkowska, Iwaszkiewicz, Andrzejewski, Żukrowski, Putrament potwierdzają, że tak jest. I jakoś to skracanie perspektywy nie zawsze narusza harmonię dzieła i jakoś dziwnie dalekie jest od koniunktury. Żyjemy po ostatniej wojnie znacznie szybciej i intensywniej, reagujemy tak samo. I nie zawsze powierzchownie.

Druga rzecz z tą perspektywą przedstawia się tak, że nie należy jej ograniczać w odniesieniu do tematyki, o której tu mowa, do roku 1945 stawiając przy tej dacie ścianę, poza którą wzrok nie sięga. Ziemie teraz na nowo Polsce przypadające mają za sobą długą drogę, która ich do tego wiodła. Ich sprawa ma już perspektywę historyczną, której nie zauważamy na ogół, przeskakując trochę ryzykownie przez wieki aż do Bolesława Chrobrego, Kazimierza Odnowiciela czy Bolesława Śmiałego. Tu wystarczy, by pisarz zaczął operować na przestrzeni ostatnich lat stu, by zamknął się w wieku dwudziestym, by odsłonił nawet kulisy ostatniej wojny z jej przebiegiem na tych terenach, gdzie przeżywała ją ludność polska w granicach Trzeciej Rzeszy. W tym bowiem obrębie czasu znajdzie tematykę, która stanowi korzeń i miąższ dzisiejszej rzeczywistości ziem odzyskanych, odsłania jej dalekie narodziny, odkrywa wszystkie warstwy, które się na nią składają.

Nie bądźmy jednostronni i powiedzmy, że i tutaj literatura nasza próbuje nadążać za czasem. To nadążanie widoczne jest przede wszystkim a może nawet wyłącznie we wrocławskim i katowickim środowisku literackim. Nie można przejść do porządku nad niektórymi osiągnięciami poezji, z których już teraz dało by się złożyć może nie wielką, ale interesującą pod wieloma względami, pełną świeżości antologię.

Nie można zlekceważyć prób prozatorskich Anny Kowalskiej czy Henryka Worcella. Znamy tylko ich urywki, ale „Notatki wrocławskie" Kowalskiej ze swoją precyzją w kreśleniu charakterów i typów, ze swą finezją artystyczną przy niepospolitej i najszlachetniejszej prostocie wyrazu, ale fragmenty urzekającej swym rzetelnym realizmem powieści dolnośląskiej Worcella wskazują bez wątpienia, że wyobraźnia pisarzy chłonie materiał, którym nasyca ją życie powojenne tych ziem, że dotrzymuje równo kroku wysiłkowi serca i żarliwości umysłu. Być może, że dołączy się do nich Jan Brzoza repatriancką powieścią „Ziemia", jeśli całość stanie na równi z głoszonym fragmentem.

Osobna znów dziedzina to powieść historyczna i dramat historyczny. W założeniach tych poczynań pisarskich Grabskiego, Gołubiewa, Dąbrowskiej, Zawieyskiego, Szewczyka tkwi silna tendencja do aktualizacji problemów odległej przeszłości, tendencja niejednokrotnie kryjąca w sobie poważne niebezpieczeństwa uproszczeń i deformacji, którym już swego czasu w pewnym stopniu uległa Zofia Kossak-Szczucka w „Wielkich i małych" czy „Nieznanym kraju". Tę drogę pisarza do nawiązania kontaktów z problematyką ziem zachodnich skłonny byłbym niezależnie od indywidualnych osiągnięć pisarzy uważać za pozornie tylko trudną i za dosyć okrężną.

Stosunkowo najwięcej mogliśmy tu oczekiwać po wcale wysoko u nas przed wojną postawionym reportażu literackim. Ale ten raczej zawiódł. Ani Józef Kisielewski, ani Wańkowicz, ani Wasylewski nie znaleźli naśladowców, którzy odważyliby się na próbę podobną, już bez „tirliporkowatej" kokieterii i efektownych ufryzowań a z głębszym sięgnięciem w istotę zagadnień. Osmańczyk zaczął doskonale w zimie 1945 „Krajem krzywdy", ale na tym poprzestał. Rozrzucone po prasie periodycznej reportaże są niejednokrotnie świetne, ale nie złożyła się z nich jeszcze jakaś całość godna bliższej uwagi.

Można więc chyba mówić o tych wszystkich przejawach zainteresowań pisarskich odzyskanymi ziemiami jako o jaskółkach, które jeszcze nie czynią wiosny.

Rzecz jest obiektywnie, ale nie w sposób usprawiedliwiający, wytłumaczalna. Dzieło sztuki jest m.in. rezultatem warunków społecznych, w jakich powstaje, a tylko garstka ludzi pióra nawiązała kontakt bezpośredni z warunkami społecznymi ziem odzyskanych. Pisarze nasi w znacznej, olbrzymiej części żyją w duchowej izolacji od rzeczywistości tu istniejącej. Wśród czynników społecznych, które oddziaływują na nich i determinują ich twórczość brak jest zespołu tych czynników, które są dla tych terenów charakterystyczne i które tu wyrastają. Pisarz nie odczuwa wewnętrznego nacisku problematyki, która się tutaj rozwija. Zna ją czasem teoretycznie, może nawet usiłuje zrozumieć i przemyśleć, ale nie dochodzi ona w nim jednak do siły twórczego imperatywu, nie absorbuje go w sposób twórczy, nie domaga się wypowiedzi.

Poza nieliczną grupą osiadłych tu literatów, pisarz polski jest na ziemiach tych tylko przelotnym gościem w sali odczytowej czy uzdrowisku. Z konstruowanych przez Tadeusza Mikulskiego w całość historyczną opisów takich wizyt literackich na przestrzeni XIX wieku widzimy, jak płytki i nieznaczny ślad pozostawiają one w samej psychicę zainteresowanego, a co za tym idzie i w literaturze. Rozproszeni wojną pisarze nie skierowali się na zachód, poszli utartymi drogami do środowisk z tradycją, lub nawet bez tradycji, ale gwarantujących minimum życiowych komplikacji. Ziemie od Olsztyna, poprzez Gdańsk, Szczecin aż do Poznania są z ludzi pióra ogołocone niemal zupełnie, w Katowicach i Wrocławiu jest ich zbyt mało. Zjawisko niewątpliwie niekorzystne, prowokujące do groteskowych sudecko - czartakowych koncepcji.

Ale nie chodzi tylko o rzecz, którą nazwałbym grubo „osadnictwem literackim na ziemiach odzyskanych". Chodzi także o studium tematu, którego u naszych pisarzy nie widzimy obecnie niemal zupełnie w zakresie problemów, jakie wysuwa odzyskanie ziem północnych i zachodnich.

Zresztą środki i drogi, jakimi pisarz może dojść i będzie usiłował dochodzić do tych zagadnień, są zasadniczo kwestią indywidualnego wyboru. Rzecz główna w tym, żeby dojść zamierzał i pragnął. Jest bowiem powołany do tego i ma po temu warunki, by wywrzeć swój mocny wpływ na kształtowanie się postawy życiowej i formowanie się nastawień psychicznych człowieka na tych ziemiach zamieszkałego.

Zdzisław Hierowski

Piastowie śląscy na fasadzie zamku piastowskiego w Brzegu.

Posąg ostatniej Piastówny w legnickim mauzoleum.

Posąg ostatniego Piasta w mauzoleum piastowskim w Legnicy.

SEWERYN POLLAK

NOTATKI Z PODRÓŻY

Gdzie rzecz niemożliwa zasypia na dłoniach przykładu...
Wielemir Chlebnikow

ZEGARKI pchnęliśmy o dwie godziny naprzód jeszcze wieczorem, gdyśmy wyjeżdżali z Brześcia. Ale dopiero kiedy zbudziwszy się o wschodzie słońca wyjrzałem przez okno wagonu, dostrzegłem, że przez noc dogoniliśmy wyprzedzający nas czas. Pociąg stał na małej stacyjce; na budynku stacyjnym spoza rosyjskiego napisu wyglądały zatarte łacińskie litery Horodzieje. Tak, to chyba jeszcze polski napis — na dwadzieścia kilometrów przed Stołpcami. I właśnie kontrast pomiędzy tym ostatnim nakreślonym łacinką napisem a odmiennym, niepolskim widokiem wsi z cerkiewką na wzgórzu uświadomił mi po raz pierwszy, że jestem w Związku Radzieckim, na Białorusi. Wzdłuż toru przebiegła mała dziewczynka w walonkach z książkami pod pachą. Pod dziwną jakąś, szeroką, niską budowlą, zasłoniętą częściowo fałdą gruntu, stał zaprzęgnięty w jednego konia wóz. Kobieta w ciepłej chustce na głowie podawała z wozu ciężkie worki mężczyźnie, który z wysiłkiem dźwigał je gdzieś w bok, poza pole widzenia. Siny poranek rozjaśniał się coraz bardziej — zza linii pobliskich zarośli, tuż za wsią, wschodził wąski, czerwony pasek słońca. Pociąg szarpnął. Browka, poeta białoruski, który spał nade mną, na górnym posłaniu, poruszył się niespokojnie.

— Co za stacja? — zapytał.

— Horodzieje.

— Do Mińska blisko — stwierdził spokojnie i na nowo ułożył się do snu. Nie zasnął jednak. Po dłuższej chwili usiadł, zwiesił nogi z posłania:

— Panie Pollak, smutna ziemia ta Białoruś.

Za oknem szarzały pola, przesuwały się zagubione śród łąk kępy drzew, odsunięte od toru niemiecką siekierą lasy.

— Tak, smutna, szara jakoś — stwierdziłem.

— Nie, nie o to chodzi, panie Pollak, każda ziemia smutna jest jesienią. Ale czy pan widzi? Tu nie ma ani jednego starego domu, tu nawet słupy telegraficzne wszystkie są nowe — wszystko trzeba było zaczynać od początku.

Browka zamilkł. Nagle spojrzał znów w okno i innym, wesołym już tonem powtórzył:

— Panie Pollak, do Mińska blisko!

A wtedy przypomniałem sobie jeden z niedawno przeczytanych jego wierszy: „Bywałem na wojnie, a wojna jest tak okrutna, że myślałem sobie czasami, iż jej nie przeżyję. Z ośmiu ran się wyleczyłem, wróciłem znów do szeregów, lecz jednej rany zaleczyć nie mogę. Tęsknota moja ucichłaby, gdybym mógł napić się tej wody żywej, którą piłem już nieraz, gdybym mógł ujrzeć cząbry i miodunki i bór wzdychający pod moim Mińskiem".

Zdaje się, że zrozumiałem, o co chodziło poecie białoruskiemu, Piotrowi Browce.

* * *

W drodze do Moskwy pociąg mija Mińsk, Borysów, Orszę, Smoleńsk, Wiaźmę, Gżack i Możajsk, mija rzeki — Świsłocz, Berezynę i Dniepr, mija historię Rosji, która była i naszą historią. Ale myśli o walkach napoleońskich wypiera wspomnienie niedawnych lat, gdy z niepokojem śledziło się na mapie najpierw posuwanie się Niemców na wschód, a potem z oczekiwaniem — ich odwrót po tejże drodze na zachód. Drogę, którą odbywamy teraz w niecałe dwie doby, odbywaliśmy niedawno przez nieledwie cztery lata. Na długie tygodnie zatrzymywaliśmy się tam, gdzie zatrzymywał się front. Znamy tu każdą większą miejscowość, każdą rzekę — wszystkie przeszkody w posuwaniu się Niemców na wschód i wszystkie etapy zwycięskiego pochodu na zachód wojsk radzieckich i naszej Pierwszej Armii. Tu, gdzieś w pobliżu tej drogi na mapie, widzianej w naszych wspomnieniach, znajdujemy dwie nazwy, które na zawsze już z terytorium Związku Radzieckiego przeszły do historii Polski: bolesną nazwę Katyń i zwycięską — Lenino.

W Smoleńsku wsiada do naszego wagonu poeta i dramaturg Konstanty Simonow, sekretarz Związku Pisarzy Radzieckich; Simonow jest posłem do Rady Naczelnej ZSRR. Przebywał tu w pobliżu w objeździe swego okręgu wyborczego, lecz przerwał podróż, by nas powitać. Opowiada o odwiedzinach u swych wyborców: okupacja niemiecka zniszczyła tu wszystkie osiedla ludzkie. Miasta i wsie powstają na nowo z gruzów i pogorzeli. Są wsie, gdzie Niemcy ustępując nie pozostawili ani jednego budynku. Do dziś jeszcze są ludzie, którzy mieszkają w lepiankach.

— Ale już się budują. Wracam z uroczystości otwarcia nowej szkoły.

* * *

Zorane pole w Związku Radzieckim różni się drobnym, lecz niezmiernie charakterystycznym szczegółem od pól Europy Zachodniej — nie ma na nim bruzd. To znamię odrębności — zmiana w pejzażu — świadczy o całym systemie społeczno-ekonomicznym. Olbrzymie przestrzenie, zorane pługami mechanicznymi, przecięte jedynie drogami, płasko rzucone pod horyzont — to widomy znak gospodarki kolektywnej. Głośniki radiowe w wagonach — to z kolei znamiona umiejętności kolektywnego spędzania czasu, zaprzeczenie indywidualistycznego nastawienia człowieka zachodu, który przywykł swe radości i troski skrzętnie ukrywać przed oczami bliźnich. Toteż, gdy wchodzimy do wagonu restauracyjnego, pierwszym naszym odruchem jest prośba do naszych rosyjskich towarzyszy, by, jak to się mówi stylem urzędowym „spowodowali" zamknięcie radia. Na interwencję poety Aleksandra Twardowskiego dwaj wyżsi oficerowie, obaj zresztą dwukrotni bohaterowie Związku Radzieckiego, jak o tym świadczyły ich odznaki — zareagowali w sposób dość ostry. Twardowski, bezradny, zwrócił się o pomoc do Erenburga.

— Jesteście panowie bojowymi oficerami, czytaliście więc z pewnością w czasie wojny moje artykuły. Nazywam się Ilja Erenburg.

Jeśliby zamiast Erenburga przed oficerami stanął nagle Homer z lirą w ręku, zmieszanie ich nie mogłoby być większe, a wykonanie nie wypowiedzianej jeszcze prośby bardziej szybkie i bardziej spontaniczne. W godzinę potem obaj oficerowie jeszcze raz podeszli do Erenburga i przepraszali go, że nie wiedzieli, iż jadą w towarzystwie znakomitego pisarza.

My, indywidualiści, odczuliśmy pewne zażenowanie. Zastanawiałem się, kto z naszych pisarzy mógłby poszczycić się w swej ojczyźnie taką, jak Erenburg popularnością i takim autorytetem. Nie znalazłem nikogo.

* * *

Pułkownik, który wsiadł w Borysowie do wagonu i zajął miejsce opuszczone przez Piotra Browkę, okazał się prokuratorem sądu wojskowego. Wracał do domu, do Moskwy po półtoramiesięcznym pobycie w Borysowie, gdzie przygotowywał akt oskarżenia przeciwko niemieckim zbrodniarzom wojennym. Wysoki, szczupły, o twarzy nerwowca i intelektualisty — z pozornym spokojem opowiadał szczegóły przewodu sądowego — rzeczy zbyt dobrze nam znane, banalne w typowości swej i powszechności. Toteż nic dziwnego, że w pół godziny po rozmowie zapomniałem nie tylko nazwiska oskarżonych, ale i szczegóły ich zbrodni. Pułkownik nie silił się zresztą na krasomówstwo, widać było, że rzeczy te przemyślał i z konieczności zobiektywizował. Jedno tylko mnie uderzyło. Gdy mówił o tym, że wielu spośród oskarżonych miało na sumieniu życie tysięcy ludzi, powodowany naturalnym odruchem nie zapytałem, lecz stwierdziłem:

— Oczywiście wszyscy dostali wyrok śmierci.

— Nie — odpowiedział — w Związku Radzieckim kara śmierci została zniesiona.

— Więc ludzi tych ominie kara — zawołałem z oburzeniem...

— Dostali ciężkie wyroki — po dwadzieścia lat. Ważniejsze od kary, która wedle pana byłaby wyrównaniem, jest to, że kara śmierci w poczuciu ludzi radzieckich jest integralnym naruszeniem pojęcia sprawiedliwości. A przecież wyrównania nigdy być nie może... A zresztą — dodał po chwili — to już leży w naszej naturze: nie umiemy się mścić. Tych ludzi i tak już unicestwiła historia.

* * *

W ogromnej sali Teatru Wielkiego, gdzie w pięciu kondygnacjach piętrzą się nad sobą amfiteatry i galerie, gdzie złocenia balkonów i czerwień obić i zasłon jarzą się zwielokrotnione blaskiem wspaniałych kryształowych świeczników, na tle wielkich portretów Lenina i Stalina — odbywało się w przeddzień trzydziestolecia rewolucji uroczyste posiedzenie moskiewskiej rady miejskiej. Przemawiał minister Mołotow. Słuchała go w tej chwili, w dżdżyste moskiewskie popołudnie, nie tylko zgromadzona tu, w sali publiczność — posłowie do Rady Państwa, ministrowie, przedstawiciele zagranicznych ambasad, delegacje z wielu państw — w tej chwili słuchała go przez radio cała Moskwa, cały Związek Radziecki, cały świat wreszcie.

A Mołotow mówił:

„Wszyscy prawdziwi przyjaciele pokoju — a tworzą oni olbrzymią większość wśród narodów każdego kraju — mogą polegać na tym, że Związek Radziecki do końca będzie bronił sprawy pokoju powszechnego".

Trzeba było być tam, w tej sali, aby usłyszeć entuzjazm oklasków, jaki zerwał się po tych słowach. Trzeba było widzieć żywą reakcję tych ludzi — najwybitniejszych w swoim narodzie — aby na jej tle zrozumieć słowa, które padły dalej:

„Wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych w sferach popierających ekspansję rozpowszechnia się nowa swoista religia: obok niewiary we własne siły — wiara w tajemnicę bomby atomowej, choć tajemnica ta dawno już nie istnieje".

Mołotow mówił długo. Mówił o ciężkich trudach trzydziestolecia, o wojnie, o odbudowie. I mówił o tym, że partia komunistyczna wskazuje dziś drogę do uwolnienia świata od krwawych wojen, do obalenia kapitalistycznej niewoli, do wielkiego postępu narodów i całej ludzkości. I mówił o tym, że żyjemy w takim wieku, kiedy wszystkie drogi prowadzą do komunizmu.

LOUIS ARAGON

MAGNITOGORSK 1932

Konik malutki nic nie rozumie
Co oznaczają te kesony
Te pnie żelazne te pancerki te pieśni
co wybuchają z dziwnych
kwiatów zawieszonych
Tu kłus nic nie pomoże. Słowa metalowe
lecą het
wzdłuż szosy gnane psotnym wichrem słupów telegraficznych
Konik malutki nic nie rozumie

Konik malutki nic nie rozumie
Krajobraz to tytan ćwiekami fabryk przykuty do ziemi
Krajobraz pagórkami uwiązł w sieć z baraków
Krajobraz się stroi w naszyjniki z dymów
Krajobraz rusztowań ma więcej niż much w upalny dzień
Krajobraz kląkł w socjalizm
Elektryczność
delikatnemi palcami przeciąga od niebios do pyłu

Konik malutki nic nie rozumie
Nikt w tych domach dla ludzi nie sypia
A gwiżdże tam zewsząd niby na psa
Jak długi kombajn podproduktów chemicznych
Opadają w miarę jazdy wagoników lamparciska ogniste
Grom surowców padających w kotły
Grom wybuchów śmiechu wysokich pieców
Grom oklasków wody za tamą
podczas numeru
niewidzialnego klowna, który spluwa żelazem

Konik malutki nic nie rozumie.
Wiszą czerwone chusty
z białymi napisami
rozpięte na poprzek nieba dróg
zawiązane maszynom na szyje
albo znów jak befsztyki na mordach fasad
Jest tłum cały przepisów higienicznych, aż
po samą głąb węglowego mroku
Jest
masa ideologii w nieładzie na tandecie gór

Konik malutki nic nie rozumie
Jakieś typy olbrzymie łażą pomiędzy barkami ziemi
pod ich robociarską dłonią
swojsko dudnią żebra przyszłości
Jakieś typy olbrzymie odczytują z transparentów na gmachach publicznych
tajemniczy szyfr codziennej produkcji żeliwa i koksu
Takie typy olbrzymie
dla których niebo z górami
streszcza się o zmierzchu w przygrywkę harmonii

O miła moja miła moja chodźmy do cyrku
gdzie popisuje się w woltyżu Włoch
co zwiał od Mussoliniego ukryty w ładowniach
czerwonego parowca, którego odjazd długo żegnał Wezuwiusz
Potem pójdziemy sobie do socjalistycznego miasta
któremu jeszcze balkonów brak
posłuchać co też tam rzekną o poezji
chłopaki z brygady Maksyma Gorkiego
I pomyśleć, że szlaka
nie znalazła jeszcze swego piewcy
Konik malutki nic nie rozumie

Na jednej z piersi miasta mrowią się tłumy całe
Oczy kobiet tutejszych czarne są (tak) iżbyś się w nich utopił
Kramiki mają wygląd uwielbianych bogdanek
Tylko zaróżowiony fotograf ma w głosie łzy
Obok namiotu weterynarskiego
całe grona par butów wiszą karnie na drążkach
bardziej niewiarygodne dla Baszkirskich oczu
niż auta
albo niż dla ciebie „Anti-Dühring" na koszach księgarskich
Konik malutki nic nie rozumie

I o czym to właściwie mówił na początku tego poematu głos
napowietrzny głos, który w miarę jak iść gonił za nami
z hali jednej do drugiej głos podejmujący kantyczkę bez której coś
nieokreślonego na pewno brakowałoby panoramie
A te słowa wprzęgały się wżebiały we fresk
rozległy
kędy gdzieś w kącie Szczegół mamut kowalski
z czułością spogląda na malutki biust Lenina z gipsu
Konik malutki nic nie rozumie

Nic nie rozumiesz koniczku mały
A czy nie lubisz tak czasami
bata i smaku, który bat przydaje sianu
I czyś nie widział het na wsi stronami
ludzi bardzo głodnych obok ikon ze złota
Mały koniczku nie kłusuj tak posłuchaj
Koniczku mały słów z głośnika, które
kluczem są Uralskiego rebusu słysz
Koniczku mały dobrze słysz posłuchaj

Technika
w
dobie
odbudowy
rozstrzyga
o
wszystkim

Koniczku mały koniczku dobrze mnie zrozum

Przełożył Allan KOSKO

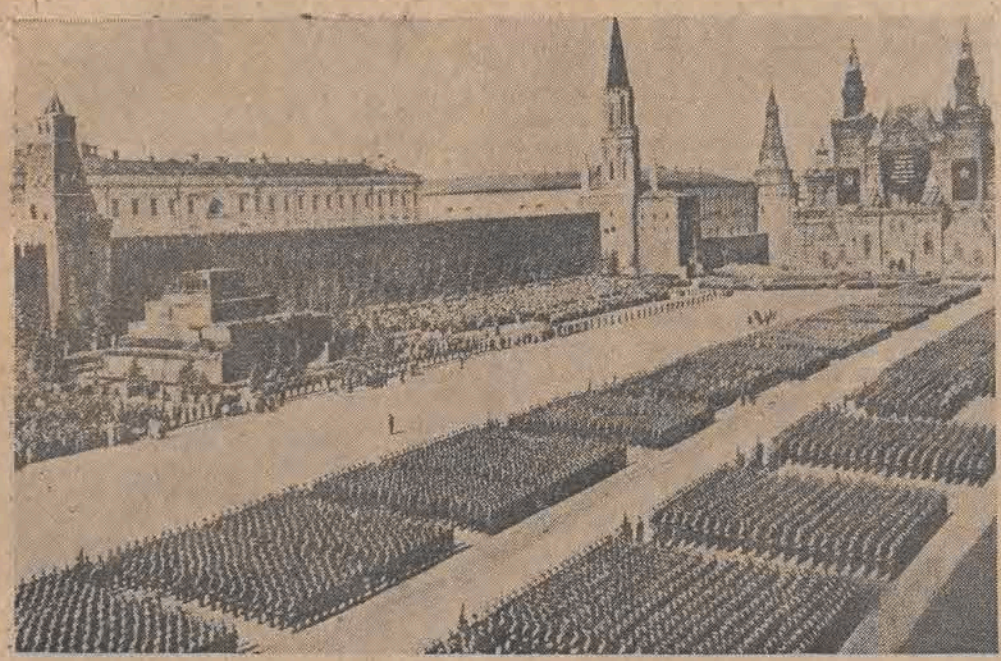

Przegląd wojsk na Placu Czerwonym

Moskwa — Kreml

Gdy słuchałem mowy Mołotowa, byłem w Moskwie zaledwie od kilku godzin. Z nikim jeszcze nie rozmawiałem. Rosję i Rosjan znałem z lektury i z obserwacji ich zachowania na uroczystym posiedzeniu w teatrze. Lecz jedno już wiedziałem na pewno — a kryło się to zarówno poza słowami mowy, jak i w zachowaniu się tych, których przed chwilą nazwałem najlepszymi w narodzie:

Na zachodzie nie znają dzisiejszej Rosji. Wyobrażenie o Rosjanach urabiano sobie tam na podstawie literatury i na podstawie obcowania z tymi rosyjskimi gośćmi Europy, którzy od połowy XVIII wieku aż po lata rewolucji stale napływali do wszystkich stolic świata. Byli wśród nich ludzie różni: arystokraci szukający rozrywek, rewolucjoniści szukający schronienia. Cechy charakteru mieli wspólne: szeroki gest, wylewność, prostotę, pewną tak zwaną „pryncypialność" w rzeczach błahych i w rzeczach ideologii. To wyobrażenie o „rosyjskim człowieku" pokutuje poza granicami Związku Radzieckiego do tej pory — nie tylko po mieszczańskich domach Paryża, Warszawy czy Londynu, z biedermayerowskimi meblami, z kanapami krytymi pluszem, lecz także po salonach ministerstw. To wyobrażenie dało możliwość wytworzenia w Ameryce atmosfery zastraszania. Jak bardzo różni się ono od rzeczywistego obrazu życia rosyjskiego? Postanowiłem sobie znaleźć odpowiedź na to pytanie. Czy udało mi się, zobaczymy w dalszym ciągu.

*

Iluminację Moskwy i uroczystą defiladę 7 listopada zdążył już opisać w „Przekroju" Jan Kott, tak że staję teraz wobec bardzo trudnego zadania mówienia o tym samym, „swoimi słowami". I choć interesują mnie nieco inne niż Kotta zagadnienia, nie mogę pominąć całej wizualnej, widowiskowej strony uroczystości moskiewskich, gdyż rozmiar ich i wspaniałość rysują się w pamięci w sposób niezatarty.

Moskwa tego wieczoru, gdy przemawiał Mołotow i przez kilka wieczorów następnych wypowiedziała wojnę nocy. Choć raczej nie — użyła nocy jako jednego z kontrastowych motywów dekoracyjnych dla burzy światła. Późnym wieczorem przechadzałem się po bulwarach nad rzeką Moskwą u stóp Kremlu. Czerwone gwiazdy na wieżach kremlowskich rysowały nowe, potężne, ludzką ręką wyniesione w niebo konstelacje. Setki tysięcy żarówek, znacząc linie architektury, odrywając je od ziemi, tworzą szkic idealny miasta, coś w rodzaju owego utopijnego miasta Sol, o którym niegdyś marzył Campanella. Zatopione w głębi rzeki, zwielokrotnione drobną łuską fali, odbite w głębi nieba świetlnym odblaskiem — stało przed nami tym bardziej realne — nie miasto utopii, lecz radosna stolica, święcąca trzydziestolecie Wielkiej Rewolucji.

A ludzie? Ludzie stali przed olbrzymimi ekranami, na których były wyświetlane barwne filmy, przed estradami, na których odbywały się walki zapaśnicze, przedstawienia teatralne, grały orkiestry — tańczyli i składali sobie wzajemne życzenia.

W hallu hotelowym zaaferowany starszy jegomość telefonuje. Długo wyszukuje w notatniku właściwy numer, sprzecza się o coś z telefonistką, by wreszcie dodzwoniwszy się powiedzieć:

— Właściwie, Fiodorze Iwanowiczu, nie mam do pana żadnej sprawy, chciałem tylko złożyć panu życzenia, pozdrawit' z prazdnikom. Tak, tak, Fiodorze Iwanowiczu, wszystkiego najlepszego, wszystkiego najlepszego.

Andrzej Rublew: „Trójca"

Tak samo cieszyli się ze swoich świąt wolności obywatele Grodu Słońca.

Lecz defilada na Placu Czewonym nazajutrz mówiła o innej, bardziej twardej wolności, mówiła o cenie, jaką tę wolność trzeba okupić. Była ilustracją mowy Mołotowa, jej realnym walorem.

Granitowe trybuny wzdłuż murów Kremlu wypełnione są po brzegi. Na trybunach — członkowie Centralnego Komitetu Partii, posłowie do Rady Naczelnej Związku Radzieckiego, Bohaterzy Związku, pisarze, uczeni, cudzoziemskie delegacje, attaché's wojskowi. A na placu ostre, równe kwadraty wojsk. Na trybunę mauzoleum Lenina wchodzą członkowie rządu i marszałkowie. I oto punktualnie o dziesiątej zaczynają grać słynne kremlowskie kuranty, a spod Spasskiej Wieży wyjeżdża konno marszałek Bułganin, przyjmujący defiladę. Potężne „ura" wielokrotnie przetacza się po obszernym placu, gdy marszałek objeżdża wojska i składa mu życzenia. A gigantyczna orkiestra wojskowa gra hymn Glinki „Sław się". To samo „ura" rozbrzmiewa po mowie Bułganina, a okrzyk jego na cześć Stalina przedłuża i zwielokrotnia salut stu armat.

Padał deszcz pomieszany ze śniegiem. Chmury nawisły nisko. Przenikał ziąb. Wzdłuż placu szły wojska moskiewskiego garnizonu. Szła akademia wojskowa im. Frunzego, szła akademia artyleryjska, akademia lotnicza. W szeregach jej ponad dwustu słuchaczy—to bohaterowie Związku Radzieckiego, przeszło dwudziesto-dwukrotni. A na to żeby zdobyć ten tytuł trzeba było iść na pewną śmierć i cudem jej uniknąć. Szli marynarze Czarnomorskiej i Bałtyckiej floty, obrońcy Odessy, Sewastopola i Leningradu. Przegalopowała w równych szeregach po osiemnastu kawaleria, ciągnęły czołgi, artyleria najcięższa, katiusze, wyglądające jak wozy straży pożarnej i wreszcie na wielkich ciężarowych autach — spadochroniarze.

Na nas, Polakach, dziwne ten przegląd wojska sprawiał wrażenie. Nowość otoczenia, obcość warunków, mury tak znane z tysięcy reprodukcyj, pomimowoli nasuwały przypomnienie mickiewiczowskich strof o innym przeglądzie wojska — w innym mieście i w innym czasie. I dlatego z tym większym wzruszeniem patrzeliśmy na te wojska, które — jak im niegdyś pieśni poety, tak teraz one światu — „zwiastują wolność, jak żurawie wiosnę".

Najwspanialsze jednak widowisko czekało nas po defiladzie wojskowej. Na olbrzymi Plac Czerwony spłynęły kilkoma szerokimi deltami, które zlały się w jedno wielkie morze — dziesiątki tysięcy demonstrantów. „Morza oczu, lasy rąs"— mówi gdzieś Chlebnikow. Nigdy nie wiedziałem, skąd biorą się u niego te przesadne metafory. Tu narzucały się one same. Cztery długie, chwiejące się, dojrzałe pola — białe, żółte, niebieskie, zielone. Pola w ruchu, krzyczące i śmiejące się. A nad nimi wielobarwny blask sztandarów — to byli sportowcy. Ilu ich było? Nie umiałbym na to odpowiedzieć — pięć, dziesięć, a może pięćdziesiąt tysięcy. Tu już cyfry nie miały znaczenia.

W ciągu tych kilkunastu dni, jakie spędziłem w Moskwie, próbowałem na własną rękę robić wycieczki „krajoznawcze". Wolałem nieraz poświęcić zwiedzenie jakiegoś muzeum czy wystawy dla samotnych przechadzek ulicami Moskwy, dla przejażdżek metro czy troleybusem, dla wędrówek po księgarniach. Nasza oficjalna przewodniczka z ramienia Komisji Zagranicznej Związku Pisarzy nazywała mnie „partyzantem" — wierzę, że miała ze mną wiele kłopotu, gdy jedno z jej „dzieci" jak nas nazywała, wymykało się stale spod jej opiekuńczych skrzydeł. Co zrobić — nie lubię oficjalności i nienawidzę podróży z Baedeckerem w ręku.

Czy wiele zyskałem na tej „partyzantce"? Chociażby taką rozmówkę:

Chciałem wybrać się do Samuela Marszaka, znakomitego pisarza dla dzieci i tłumacza poezji angielskiej. Potrzebny mi był w tym celu jego adres. W Moskwie w bardziej ruchliwych punktach miasta tak jak u nas podziemne szalety, których tam zresztą nie zauważyłem, znajdują się budki, gdzie za drobną opłatą otrzymać można informację — gdzie kto mieszka, gdzie znajduje się taki a taki urząd, teatr itd.

Wypełniam blankiet i oczywiście nie znam imienia ojca Marszaka. Obok mnie stoi człowiek w średnim wieku, nienajlepiej ubrany i na pewno nie „inteligent".

— Panu o jakiego Marszaka chodzi? Czy o pisarza?

— Tak, o pisarza.

— No to nazywa się Samuel Jakowlewicz. Mieszka przy ulicy Gorkiego.

— A skąd pan wie, zna go pan?

— E, nie, skądżeby. Ale któż by w Moskwie nie wiedział o Marszaku!

Tak, w siedmiomilionowej Moskwie nie tylko przypadkowy przechodzień powiedział mi adres Marszaka, lecz pięciu małych chłopców — na sześciu zapytanych — wskazało mi gdzie mieści się „Teatr młodzieżowy Obrazcowa.

Za to po księgarniach i antykwarniach moskiewskich nie należy chodzić bez przewodnika, zwłaszcza jeśli się pragnie kupić książkę, która ukazała się dawniej niż przed miesiącem lub dwoma. Nie wiem jak z pod ręcznikami, czy z książkami technicznymi, specjalnymi. Ale jeśli chodzi o poezję, o teorię literatury — można buty zedrzeć, nim się znajdzie przypadkowo rzecz, na której zależy. Wybory poezyj Jesienina i Błoka ukazały się zupełnie niedawno — miłośnicy literatury, którzy — a takich jest wielu — robią codzienny obchód po księgarniach Moskwy — wykupili je do ostatniego egzemplarza. Zastanowiło mnie, że rzadko można spotkać w księgarni moskiewskiej człowieka, który przychodzi nie wiedząc z góry o jaką książkę mu idzie.

Przewodnikiem moim po księgarniach moskiewskich był powieściopisarz Władimir Lidin — bibliofil, mający dostęp do sanctum sanctorum każdej księgarni. do półek z książkami antykwarycznymi. Dzięki niemu zdołałem kupić parę rzeczy ważnych dla mnie, choć nawet i jego protekcja nie po-

mogła, by wynaleźć chociażby rozsprzedane całkowicie wiersze Jesienina, Błoka czy Borysa Pasternaka.

*

Właściwie spotkanie z pisarzami, zwłaszcza w warunkach, gdy z góry wiadomo, że z konieczności muszą być one krótkotrwałe i dorywcze, nie mogą dać wiele. A przede wszystkim prawie nigdy nie dają klucza do twórczości pisarza, jak to sobie wielu ludzi mylnie wyobraża. Równie rzadko tym kluczem do jego dzieła są sądy pisarza o literaturze, zwłaszcza sądy wypowiedziane w czasie godzinnej rozmowy w kawiarni. Toteż nie będę tu przytaczał rozmowy z Lidinem o literaturze, lecz wspomnieć muszę o tym, co charakteryzuje go jako człowieka. Lidin, jak wielu sowieckich pisarzy, zna Europę, zna Polskę. Był w Krakowie w styczniu 1944 roku, a uprzednio, we wrześniu 1939 roku z jednym z pierwszych odziałów wkraczał do pogranicznego podówczas miasteczka, Rakowa. Z głębokim wzruszeniem wypytywał mnie o los Żydów polskich, a potem opowiadał, jak odnosili się małomiasteczkowi chasydzi do wojsk radzieckich. Żydzi rakowscy obawiali się o swoje swobody religijne. Opowiadał Lidin, jak — aby rozproszyć ich wątpliwości — rozmawiał z tamtejszym cadykiem.

— To był mądry człowiek — powiada Lidin — i równie dobrze jak ja umiał dowodzić swoich racyj, ale dopiero czas wykazał, kto z nas ma rację doprawdy. Niestety, spośród tych ludzi ocalała tylko maleńka garstka młodzieży — tylko ci, którzy poszli bić się z Niemcami. Szkoda tych ludzi, może więcej spośród nich zachowałoby życie, gdyby zrozumieli kroki historii.

*

Jeden z moich przyjaciół opowiadał mi, jak w młodzieńczych latach umawiał się ze swą ukochaną na spotkania w galerii sztuki.

— Tam było najspokojniej — powiadał. — W dni powszednie z rzadka tylko pojawiał się jakiś samotny miłośnik sztuki, a i ten ujrzawszy nas, wynosił się czym prędzej. Zwiedzając wystawy obrazów i muzea moskiewskie, przypomniałem sobie te zwierzenia mojego przyjaciela, który niewielkie zresztą znawstwo plastyki wyniósł ze swych romantycznych wędrówek.

W Muzeum Rewolucji, na wystawie malarstwa współczesnego w Bibliotece im. Lenina, w galerii Tretjakowskiej — olbrzymie tłumy. Przed galerią Tretjakowską na śniegu przez kilka godzin stoi długa kolejka — żołnierze, młode pary, kobiety z dziećmi, staruszki, robotnicy, inteligenci, uczniowie. Wszyscy czekają, aż wyjdą ci, którzy dostali się wcześniej. Przewodnicy dzielą ich na grupy, oprowadzają, objaśniają. Cóż ich interesuje w malarstwie? Zdaje się, że przede wszystkim tematyka. Tematyka to pierwszy stopień zainteresowania mas sztuką plastyczną. Dopiero po odpowiedzi na pytanie co obraz wyobraża, z rzadka następuje pytanie — jak jest namalowany? Pytanie następne: dlaczego obraz namalowany jest tak a nie inaczej? — stanowi już dalszy stopień wtajemniczenia plastycznego i dlatego daje się słyszeć stosunkowo rzadko. Pierwsza jednak, najtrudniejsza droga została przebyta — ludzie z własnego natchnienia, bez żadnego przymusu, korzystając z wolnego czasu, idą do muzeum, do galerii sztuki, do teatru. Idą tłumnie, tak jak u nas idzie się do kina. W tym tłumie zwiedzających młode pary nie wiele znajdą samotności, już kino byłoby lepsze — ci wszyscy ludzie chcą się czegoś nauczyć — a to już jest olbrzymie osiągnięcie.

*

Czy to rozszerzenie zakresu oddziaływania sztuk plastycznych z kolei wpłynęło na ich charakter i styl? W pewnym stopniu chyba tak, choć jest to proces znacznie bardziej skomplikowany, niż się to na pierwszy rzut oka wydaje. Malarstwo „tematyczne" o nastawieniu społecznym ma w Rosji dawne i głęboke tradycje. Gdy się przechodzi przez sale Galerii Tretjakowskiej i śledzi się kolejny rozwój malarstwa rosyjskiego, widać wyraźnie, że od połowy dziewiętnastego wieku, poprzez tzw. „pieredwiżnikow" (Kramskoj, Sawicki, Jaroszenko, Maksimow), najbardziej czułych na tematykę socjalną, zwłaszcza chłopską, poprzez naturalistyczne wpływy szkoły monachijskiej — rozwój malarstwa rosyjskiego nie idzie po linii poszukiwań formalnych, ściśle plastycznych. I wtedy dopiero rozumie się źródła współczesnego malarstwa rosyjskiego. A także rozumie się przy tym kierunek zainteresowań tak licznych jego odbiorców.

Toteż nic dziwnego, że sala, gdzie znajduje się słynna „Trójca" Rublewa, genialnego malarza-mnicha z XV wieku, najmniej jest z całej „Tretjakówki" odwiedzana. Twórczość Rublewa oparta jest na tradycjach sztuki bizantyńskiej, lecz dzieło jego jest mniej sztywne, mniej hieratyczne, głęboko ludzkie, tchnące przeczuciem Renesansu. Płynne linie kompozycji nadają jej plastyczność, a postaciom jakiś nieuchwytny ruch. „Trójca" Rublewa wzrusza swą wymową bezpośrednią i prostotą środków, jakimi ta wymowa została osiągnięta.

(D. c. n.)

Seweryn Pollak

GEORG LUKACS

przełożył JAN KOTT

Powieść jako mieszczańska epopea (II)

Specyficzność formy powieści

PODSTAWY prawdziwie naukowej teorii powieści stworzone zostały po raz pierwszy przez Marksa i Engelsa, w ich pismach o sztuce. Materialistyczne wyjaśnienie nierównomiernego rozwoju sztuki w porównaniu z technicznym postępem oraz wrogości kapitalistycznych metod produkcji dla sztuki i poezji daje klucz do zrozumienia nierównomiernego rozwoju poszczególnych rodzajów i gatunków sztuki. Genialne myśli Marksa o antycznym eposie i późniejszych, sztucznych próbach jego naśladownictwa w „Przyczynku do krytyki ekonomii politycznej" i w „Teoriach dodatkowej wartości", w odpowiednich rozdziałach książki Engelsa „Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa", poświęconych rozpadowi społeczności rodowej, wyjaśniają dialektykę rozwoju epickiej formy, której powieść stanowi jeden z najważniejszych stopni.

Powieść wchłonęła w siebie charakterystyczne cechy epickiej formy: dążenie do adekwatności formy i treści w wyobrażaniu życia, uniwersalność i szerokość w ogarnianiu materiału, nagromadzenie wielu planów, podporządkowanie zasady przekazywania życiowych zjawisk poprzez wyłącznie osobisty i subiektywny do nich stosunek (jak na przykład w liryce) zasadzie plastycznego przedstawienia: ludzie i zjawiska występują w dziele bezpośrednio, jak żywe obrazy zewnętrznej rzeczywistości. Ale dążenia te znalazły swój pełny i doskonały wyraz jedynie w antycznej poezji epickiej, która jest „klasyczną formą eposu" (Marks). Powieść jest w tym znaczeniu produktem rozpadu epickiej formy, która razem z upadkiem antycznego społeczeństwa straciła podstawy dla swojego rozwoju. Powieść dąży do tych samych celów, co antyczny epos, ale nie może ich nigdy osiągnąć, ponieważ w warunkach mieszczańskiego społeczeństwa, pośród których rozwija się powieść, metody realizowania epickich celów różnią się tak dalece od antycznych, że rezultaty są zupełnie odwrotne od zamierzeń. Sprzeczności formy powieści na tym właśnie polegają, że powieść, jako mieszczański epos, jest eposem takiego społeczeństwa, które unicestwia możność epickiej twórczości. Ale te same historyczne warunki, które, jak widzimy, są główną przyczyną artystycznych braków powieści w porównaniu z eposem, mają jednocześnie i swoje dobre strony. Powieść, będąca wynikiem rozpadu antycznego eposu, otwiera drogę do jego nowego rozwoju, do nowych artystycznych możliwości, których nie znała homerowska poezja.

Z podkreślonego wyżej przeciwstawienia pomiędzy teorią i praktyką w rozwoju poezji, z opóźniania się teorii za praktyką, mogłoby się pozornie wydawać, że materiałem do zbudowania teorii powieści i jej charakterystycznych odrębności mogą być jedynie same dzieła wielkich powieściopisarzy. Jednakże, obok , jeśli ją tak możemy nazwać, „oficjalnej" teorii wielkich poetów i myślicieli rewolucyjnego okresu mieszczaństwa, odnajdujemy u nich jeszcze „ezoteryczną" teorię, która znacznie wyraziściej obnaża istotne sprzeczności mieszczańskiego społeczeństwa.

Oto na przykład Hegel, powołując się w „Fenomenologii Ducha" na „Kuzynka mistrza Rameau" Diderota, wyprowadza bardzo daleko idące wnioski z konstrukcji i formy tego znakomitego utworu: „W świecie tym ani **rzeczywista istota** władzy i bogactwa, ani określone **pojęcia** grzechu i cnoty, ani świadomość dobra i zła, ani szlachetność i podłość, nie zawierają w sobie prawdy, ale są jedynie wzajemnie przeistaczającymi się momentami bytu, z których każdy jest zaprzeczeniem samego siebie... Język sprzeczności jest językiem najwyższym, rzeczywistym duchem tego kształtującego się świata".

Zasady tej heglowskiej „ezoterycznej" teorii powieści obejmują również i ezoteryczną poetykę Balzaka, który wypowiada ją przeważnie przez usta swoich bohaterów, (i dlatego najczęściej w osłabionej przez ironię formie).

Na przykład w „Straconych złudzeniach", mówi Blondet: „Wszystko jest dwustronne w dziedzinie myśli... Co stawia Moliera i Corneilla w rzędzie mistrzów, jeśli nie zdolność mówienia „tak" ustami Alcesta, a „nie" ustami Filinta, Augusta i Cynny? Rousseau w „Nowej Heloizie" napisał list za i przeciw pojedynkowi; czy ważyłbyś się rozstrzygnąć, jakie było jego prawdziwe mniemanie? Kto z nas mógłby wydać sąd między Klaryssą a Lowelasem, Achillesem a Hektorem? Który z nich jest bohaterem Homera? Jaka jest intencja Richardsona?" *)

W rzeczywistości poetyka ta bynajmniej nie prowadzi Balzaka (jak i Hegla w okresie „Fenomenologii") do nihilistycznego sceptycyzmu; oznacza ona jedynie, że Balzak w swojej twórczości doprowadza do ostatecznych konsekwencji najgłębsze sprzeczności mieszczańskiego społeczeństwa i zatrzymuje się na wyobrażeniu dynamicznego splotu tych przeciwieństw, jako napędowych sił całego społeczeństwa. To, że Balzak, podobnie jak Goethe i Hegel, dążył do znalezienia jakiegoś utopijnego kompromisu, godzącego sprzeczności i nawet wyobraził go w kilku swoich powieściach, nie ma dla nas znaczenia, ponieważ rola Balzaka w historii powieści na tym właśnie polega, że na głównej drodze swojej twórczości porzucił on te utopie i nie cofnął się przed ukazaniem rzeczywistych sprzeczności. **W tym jego wielkość i siła.**

Jednakże twórcze ogarnięcie antagonistycznych sprzeczności, jako napędowych sił kapitalistycznego społeczeństwa (sprowadzających się w swojej ogólnej formie do klasowego antagonizmu pomiędzy posiadającymi i najemnikami) jest tylko przesłanką dla formy powieści, a nie samą jej formą. Już Hegel zauważył, że prawidłowe zrozumienie „ogólnej budowy świata" tworzy jedynie przesłankę dla własnej „poetyckiej zasady", dla skonstruowania i opracowania akcji. Zagadnienie akcji jest właśnie tym centralnym punktem teorii formy powieści.

Każde poznanie społecznych stosunków pozostaje tak długo abstrakcyjne i bezwartościowe dla opowiadania, dopóki nie stanie się istotnym i skupiającym w sobie całość wydarzeń momentem akcji; każdy opis rzeczy i sytuacji jest martwy i pusty, dopóki jest opisem postronnego obserwatora, a nie posuwającym lub opóźniającym momentem akcji. To centralne stanowisko akcji nie jest jedynie formalnym wynalazkiem estetyki; przeciwnie wynika ono, z konieczności możliwie najpełniejszego i najdoskonalszego wyobrażenia rzeczywistości. Jeśli chcemy przedstawić rzeczywisty stosunek człowieka do społeczeństwa i przyrody (czyli nie tylko wyobrażenie człowieka o tych stosunkach, ale i jego byt w dialektycznym związku ze świadomością), to przedstawienie akcji jest jedynym odpowiednim sposobem. Ponieważ tylko wtedy, kiedy człowiek działa, w społecznym bycie znajduje swój wyraz jego prawdziwa istota, prawdziwa forma i prawdziwa treść jego świadomości, bez względu na to, czy zdaje on sobie z tego sprawę czy też nie, i bez względu na to, co myśli o sobie samym, o swoim życiu, i o rzeczywistości. Poetycka fantazja narratora na tym właśnie polega, aby wymyślić taką fabułę i sytuację, w których „istota" człowieka, pokazana by została w sposób rzeczywisty i typowy dla jego społecznego bytu. Dzięki temu darowi fantazji, który oczywiście wymaga głębokiej i konkretnej znajomości społecznych stosunków, wielkim twórcom udało się stworzyć takie obrazy współczesnego społeczeństwa, z których nawet o szczegółach ekonomii więcej się można dowiedzieć, niż „z ksiąg wszystkich zawodowych historyków, ekonomistów i statystyków tego okresu wziętych razem". (Engels o Balzaku).

Warunki rozwijania się akcji, jej treść i jej forma, zależą od stopnia rozwoju walki klas. Epos i powieść rozwiązują to wspólne dla nich i centralne zagadnienie w sposób diametralnie różny. Epos i powieść pokazują istotne cechy opisywanego społeczeństwa na przykładzie indywidualnych losów, czynów i cierpień jednostek. W związkach jednostki i zbiorowości, w obrazach indywidualnego losu odsłonięte zostają rzeczywiste cechy konkretnego, historycznego społeczeństwa. Jednakże w okresie homerowskim, kiedy barbarzyństwo osiągnęło wyższy stopień rozwoju, społeczność była jeszcze stosunkowo jednolitą. Jednostka, umieszczona w centrum opowiadania, mogła być typową, mogła wyrażać zasadnicze dążenia całego społeczeństwa, a nie tylko typowe sprzeczności wewnątrz społeczeństwa. Królewska władza „razem z radą i zgromadzeniem ludu oznacza tylko... wojenną demokrację" (Marks), i Homer nie pokazuje nam nigdzie takiego wypadku, gdy lud (albo część ludu) mógłby zostać do czegokolwiek zmuszony, wbrew swojej woli. Akcja homerowskich epopei — to walka stosunkowo jednolitego społeczeństwa, społeczeństwa jako kolektywu, występującego przeciwko wrogowi z zewnątrz.

Po rozpadnięciu się społeczeństwa rodowego powinna była zniknąć z eposu owa forma wyobrażania akcji, tak jak znikła ona z rzeczywistego życia społeczeństwa. Charaktery, czyny i położenie jednostek nie mogły już wyobrażać całego społeczeństwa, przestały być typowe dla całego społeczeństwa. Każda jednostka wyobraża odtąd jedną z walczących klas. Od głębi i prawidłowości ujęcia danej formy walki klasowej i jej istotnych cech zależy teraz rozwiązanie zagadnienia typowości ludzi i ich losów.. Im na wyższym stopniu społecznego rozwoju pojawiały się próby wskrzeszenia formalnych elementów dawnego eposu, tym bardziej fałszywe i pseudoepickie okazywały się rezultaty wyobrażania społeczeństwa jako jednolitej całości. Z chwilą powstania klasowego społeczeństwa, epos czerpać może swoją epicką wielkość jedynie z głębi i typowości klasowych przeciwieństw, ujętych w ich dynamicznym splocie. Przeciwieństwa te przejawiają się w epickiej narracji, w postaci walki jednostek w społeczeństwie. Stąd — zwłaszcza w późniejszej powieści mieszczańskiej—powstaje złudzenie jak gdyby walka między jednostką a społeczeństwem była jej głównym tematem. Jest to jednak tylko złudzenie.

Wzajemna walka jednostek nabiera charakteru obiektywnej prawdy tylko dzięki temu, że charaktery i losy ludzi wyrażają w sposób typowy i wierny zasadnicze momenty klasowej walki.

Wobec tego, że kapitalistyczne społeczeństwo stwarza jednak ekonomiczną podstawę dla wszechstronnych i ogarniających całe życie ludzi wzajemnych związków (społeczna produkcja), powieść kapitalistycznego okresu może dać obraz społeczeństwa w całokształcie rozrywających je przeciwieństw.

U Balzaka dookoła miłości i ślubu wielkiej damy, spiętrzone zostają wydarzenia, charakteryzujące przemiany całego społeczeństwa. Kiedy tymczasem miłosne historie np. w greckich powieściach (powieść „Daphnis i Chloe" Longa i inne) są tylko idyllami, oderwanymi od całego społecznego życia.

Dialektyka nierównomiernego rozwoju sztuki przejawia się jednakże w tym, że te same istotne przeciwieństwa, które stwarzają możliwość rozwinięcia współczesnej akcji w powieści, które czynią z niej przodującą formę sztuki dla całej historycznej epoki, prowadzą jednocześnie ku najmniej sprzyjającym warunkom dla rozwiązania zasadniczego problemu artystycznej formy, problemu akcji. Struktura kapitalistycznego społeczeństwa jest taka, że po pierwsze, społeczne siły objawiają się tutaj w abstrakcyjnej, bezosobowej i dla poetyckiej narracji nieuchwytnej formie (zauważył to już Hegel, ale nie rozumiejąc ekonomicznych przyczyn tego zjawiska, nie mógł go w zupełności wyjaśnić); po drugie, codzienna mieszczańska rzeczywistość nie sprzyja jasnemu poznaniu istotnych społecznych przeciwieństw; w mieszczańskim społeczeństwie nikt nie może ocenić wpływu własnych czynów na losy innych ludzi, a starcie interesów przybiera przeważnie bezosobowy charakter. Stąd zagadnienie formy sprowadza się u wielkich powieściopisarzy do pokonania oporów materiału, do wynalezienia takich sytuacyj, w których wzajemna walka jednostek miałaby ów poglądowy, wyrazisty, typowy charakter, nie będący jedynie przypadkowym starciem, w ten sposób by z rozwoju tych typowych sytuacyj rzeczywiście stworzyć dojrzałą, epicką akcję.

„Typowe charaktery w typowych warunkach" — tak określa Engels istotę realizmu powieści w liście swoim o Balzaku. Ale owa typowość oznacza jedynie to, co widzimy właśnie u Balzaka: konieczność oddalenia się od „średniej", codziennej rzeczywistości, aby powstać mogły epickie sytuacje, epicka akcja, aby istotne sprzeczności społeczeństwa zostały konkretnie pokazane w ludzkich losach i nie były jedynie tylko do

*) Przekład Boya-Żeleńskiego.

czepionym, abstrakcyjnym komentarzem. Stworzenie typowych charakterów (a tym samym i typowych sytuacyj), oznacza konkretne, obrazowe przedstawienie społecznych sił, oznacza nowe, a nie naśladownicze i mechaniczne, wskrzeszanie „patosu" antycznej sztuki i antycznej estetyki. Antyczna filozofia rozumiała przez patos zespolenie wąsko indywidualnego przeżycia, z jakąś wielką ideą, z obywatelskim porywem, słowem, ze społecznym życiem zbiorowości. Jedność indywidualnego i zbiorowego jest nie do osiągnięcia w mieszczańskim życu. Rozdzielenie społecznych funkcyj od prywatnych spraw skazuje każdą mieszczańską poezję na abstrakcyjną ogólnikowość; poezja taka właśnie przez swoją patetyczność traci cały patos w antycznym rozumieniu tego słowa. Ale ograniczenie się do osobistego działania, samotność i wzajemne oddalenie jednostek w mieszczańskim społeczeństwie nie jest przypadkowym zjawiskiem, lecz powszechnym prawem i wskutek tego w tym kierunku idące próby znalezienia „patosu" współczesnego życia, mogą się do pewnego stopnia kończyć powodzeniem.

„Tak nocna ćma po zachodzie słońca, które świeciło dla wszystkich, leci do światła naftowej lampki, która świeci dla jednego". (Marks).

Wielcy przedstawiciele realistycznej powieści bardzo wcześnie dostrzegli w osobistym życiu jednostek prawdziwy materiał powieści. Już Filling nazywał siebie „kronikarzem prywatnego życia", Restif de la Bretonne i Balzak ujmują zadanie powieści w tym samym duchu. Jednakże tylko wtedy owa historiografia prywatnego życia nie obniża się do poziomu banalnej kroniki, kiedy w każdym oddzielnym zjawisku ukazane zostają wielkie historyczne siły mieszczańskiego społeczeństwa. Balzak wypowiada to wyraźnie w przedmowie do „Ludzkiej Komedii": „Przypadek — oto największy na świecie powieściopisarz; aby praca pisarza przynosiła owoce, wystarczy studiować rzeczywistość. Francuskie społeczeństwo — to współczesny historyk, ja jestem tylko jego sekretarzem".

Ten dumny obiektywizm treści, ten wielki realizm w obrazach społecznego rozwoju zostaje urzeczywistniony w artystycznej twórczości jedynie wtedy, kiedy rozsuwają się ramy średniej codziennej rzeczywistości, kiedy pisarz, mówiąc słowami Balzaka, — dotrze do „patosu" prywatnego życia. Ale patos ten osiągnąć można jedynie okólnymi i bardzo zawiłymi drogami.

Społeczne siły, które dostrzega artysta, sprzeczności, które wyobraża, przejawiać się muszą w charakterystycznych rysach opisywanych bohaterów. Bohaterowie ci, wznosząc się dzięki porywom namiętności i jasności zasad ponad szarzyznę mieszczańskiego bytu, nie mogą zatracić jednocześnie indywidualnych cech indywidualnego człowieka. Ponieważ sprzeczności kapitalistycznego systemu przejawiają się w każdym jego punkcie, poniżenie i degradacja człowieka przenika całość życia w mieszczańskim społeczeństwie, każda wielka namiętność, przeżyta głęboko i do końca, czyni człowieką przedmiotem tych sprzeczności zamienia go w buntownika, który mniej lub bardziej świadomie występuje przeciwko niwelującemu automatyzmowi mieszczańskiego życia. Balzak w jednej ze swoich przedmów podkreśla, że zupełnie nie został zrozumiany przez tych czytelników, którzy dostrzegli w postaci ojca Goriot jakakolwiek pokorę; ten uczuciowy i naiwny prostak jest na swój sposób takim samym buntownikiem jak Vautrin. Balzak z niesłychaną jasnością dostrzegł moment, w którym we współczesnej powieści epicka akcja i epickie sytuacje rodzą się jednocześnie z patosem. W obrazach ojca Goriot, Vautrina (a dodajmy markizy de Baussant i Rastignaca) rzeczywiście ucieleśniony został pewien patos; namiętności wznoszą je na tak wielką wysokość, że w każdym z nich przejawia się któryś z wewnętrznych, historycznych konfliktów mieszczańskiego społeczeństwa, a jednocześnie każda z tych postaci znajduje się w stanie wewnętrznie usprawiedliwionego, chociaż nie zawsze świadomego buntu, będącego obrazem społecznych przeciwieństw. Tylko dzięki temu postaci te mogą na siebie wzajemnie oddziaływać, przyczem wielkie sprzeczności burżuazyjnego społeczeństwa przybierają konkretną formę indywidualnych i głęboko przeżywanych konfliktów.

Taka kompozycja powieści, ocalająca poetycką fikcję od zagubienia się w prozaicznej pustyni codziennego mieszczańskiego życia, nie jest jedynie indywidualną cechą Balzaka. Jest to chwyt, za pomocą którego Stendhal doprowadza do wzajemnego na siebie oddziaływania spóźnionego jakobina Juliana Sorela z romantyczną arystokratką i rojalistką Matyldą de la Mole, a Tołstoj kniazia Niechludowa z Katią Masłową. W ten właśnie sposób powstaje epicka akcja. Chwyt ten, mimo wszystkich różnic w twórczości obu pisarzy, oparty jest na jednej i tej samej zasadzie.

Jedność indywidualnego i typowego odsłonięta zostaje całkowicie jedynie w działaniu. W działaniu, jak mówi Hegel „jednostka zostaje całkowicie obnażona, wszystko co myśli i ku czemu dąży; najgłębsza istota ludzkiego bytu przemienia się w rzeczywistość jedynie w działaniu". Działalność, rzeczywista jedność człowieka i „losu", jedność człowieka z tą formą przejawiania się społecznych przeciwieństw, która decyduje o jego losie, pozwala właśnie na stworzenie nowej i złożonej postaci antycznego patosu. Człowiek staje się typowym charakterem nie dlatego, że przedstawia jakąś średnią statystyczną indywidualnych cech ludzi ze wszystkich warstw społecznych, ale właśnie dlatego, że w nim samym, w jego charakterze i w jego losie przejawiają się obiektywne, historyczne i typowe cechy jego klasy; przejawiają się one jednocześnie jako obiektywne siły i jako jego własny indywidualny los.

Od prawidłowego zrozumienia tej jedności zależy wartość epickich motywów, ich przydatność dla rozwinięcia szerokiej akcji, w której ukaże się obraz świata. Im konkretniej patos indywidualnego artystycznego obrazu zlewa się z tym społecznym przeciwieństwem, które określa jego istotę, tym bardziej kompozycja powieści zbliża się do epickiej wielkości starożytnych. Prawdopodobieństwo akcji, w sensie jakiejś statystycznej wierności, nie odgrywa przytym żadnej roli. Wielcy powieściopisarze począwszy od Cerwantesa aż do Tołstoja, zawsze z zupełną swobodą posługiwali się przypadkiem, a wewnętrzny związek poszczególnych wątków w ich dziełach był zawsze luźny. „Don Kichot" jest zbiorem oddzielnych epizodów, które wiąże ze sobą jedynie patos bohatera i kontrast jego postaci z osobą Szanso-Panszy i pozostałej prozaicznej rzeczywistości. A jednak oczywista jest tutaj jedność akcji w wielkim epickim stylu, bohaterowie bowiem zawsze w konkretnych sytuacjach odsłaniają to, co jest dla nich istotne. Tymczasem u nowszych powieściopisarzy sztuczne zasady konstrukcji są nieprzydatne i puste w sensie epickim, ponieważ nawet prawidłowo dostrzeżone sprzeczności pozostają jedynie przeciwieństwem charakterów i poglądów na świat, i nie rozwijają się w akcji.

Mogłoby się wydawać, że nowy patos jako zasada kompozycji powieści, oddala ją od eposu i zbliża do dramatu. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Antyczny społeczny patos, ilekroć przejawiał się bezpośrednio, znajdował rzeczywiście w tragedii swój czysty i adekwatny wyraz. Ale nowy, skomplikowany i wielostronny „patos prywatnego życia" przemienić się może w akcję, jedynie tylko dzięki wyobrażeniu wszystkich, pośredniczących ogniw, w postaci konkretnych ludzi w konkretnych sytuacjach i dlatego rozrywa formę dramatu. Nie zaprzecza temu dramatyczny charakter kompozycji niektórych powieści Balzaka (i nawet Dostojewskiego); w rzeczywistości nie można sobie bowiem wyobrazić dramatu, który by mógł wchłonąć w siebie tak wielostronne bogactwo nagromadzonych szczegółów.

Artystyczne braki dramatów wielkich powieściopisarzy (Balzaka, Tołstoja) nie są przypadkowe, tak jak nie jest przypadkiem, że wielość sprzecznych rysów mieszczańskiego życia znalazła swój adekwatny wyraz w tylu sławnych powieściach, kiedy tymczasem wszystkie próby uproszczenia i ograniczenia tej wielostronności, przystosowania jej do intensywnej jednolitości dramatu, były prawie zawsze nieudane.

(c. d. n.)

Georg Lukacs

tłumaczył **Jan Kott**

MACIEJ ŻUROWSKI

WSTĘP DO BALZAKA*)

Balzak

rys. A. Massona

DOBRZE jest zaczynać „Komedię Ludzką" od cyklu Lucjana de Rubempré. Te powieści, wśród których zwłaszcza „Stracone złudzenia" należą do szczytowych osiągnięć artystycznych Balzaka, stanowią najpewniejsze wprowadzenie w całą jego twórczość. Najpewniejsze — nie wszystkie bowiem drogi do Balzaka są pewne.

Lekceważąc „Stracone złudzenia" dzisiejsza krytyka francuska — najbardziej zdawało by się, miarodajna — doszła do wniosku równie nieoczekiwanego jak fałszywego: jej zdaniem autor „Komedii Ludzkiej" nie jest wcale realistą za jakiego zawsze uchodził. Już dawniej zgodnie z gustami dwudziestolecia międzywojennego, pisząc o Balzaku dyskredytowano realistę na korzyść mistyka i wizjonera. Teraz znowu wpływowy krytyk Albert Béguin twierdzi, że balzakowski obraz społeczeństwa nie jest prawdziwy, ponieważ odsetek blondynów i brunetów wśród postaci występujących w „Komedii Ludzkiej" nie mógł odpowiadać rzeczywistości, co wykazały sumienne obliczenia Piotra Abrahama — jak więc można mieć zaufanie do obserwacji pisarza, który nie zauważył koloru włosów swych współczesnych?... Trudno wyobrazić sobie bardziej naiwny stosunek do zagadnienia realizmu.

Postacie balzakowskie, zwłaszcza epizodyczne, są niekiedy skonstruowane jak u klasyków XVII wieku: „Astolf uchodził za pierwszorzędną głowę naukową. Mimo iż ignorant dziewiątej próby, wypocił wszelako artykuły Cukier i Spirytus w słowniku rolniczym, które to płody swego ducha złupił po kawałku we wszystkich artykułach dziennikarskich oraz dawnych dziełach gdzie była mowa o tych produktach. Cały departament wierzył, iż on pracuje nad traktatem o nowożytnej uprawie roli. Mimo iż spędzał całe rano w gabinecie, nie napisał jeszcze w ciągu dwunastu lat ani dwóch stronic. Jeżeli ktoś go zaszedł, przyjmował gościa przewracając w papierach, szukając zarzuconej notatki, lub też zacinając pióro; ale czas spędzany w gabinecie schodził mu na głupstwach: czytał pomału dziennik, wycinał figurki z korka, rysował fantastyczne wzory na bibule, przerzucał Cycerona, aby zeń wyłowić jakieś zdanie, lub ustęp, którego treść dałaby się zastosować do bieżących wypadków, następnie, wieczór, silił się sprowadzić rozmowę na przedmiot, pozwalający mu powiedzieć: „Jest w Cyceronie stronica, o której można by myśleć, iż napisał ją z myślą o tym co się dzieje dzisiaj". Za czym, recytował ustęp, ku wielkiemu zdumieniu słuchaczy, którzy powtarzali między sobą: „Doprawdy, Astolf, to istna studnia wiedzy". Osobliwy fakt obiegał całe miasto i podtrzymywał pochlebne sądy o panu de Saintot". („Dwaj poeci").

W zestawieniu z tak tradycyjnymi schematami uwydatnia się szczególnie wyraziście własna metoda Balzaka, wzbogacająca konstrukcję powieściową o nieznane przedtem wymiary a polegająca na umieszczeniu człowieka w bardzo konkretnej problematyce społecznej i ekonomicznej. Treścią „Straconych złudzeń" są doświadczenia młodego poety z Angoulême, który na gruncie paryskim poznaje siły rządzące współczesnym światem — dlatego też ta właśnie powieść powinna być uważana za jeden z centralnych utworów „Komedii Ludzkiej".

„I ja przybyłem, jak ty, z sercem pełnym fluzji, pchany miłością sztuki, niesiony żądzą sławy — zwierza się Lucjanowi de Rubempré dziennikarz Lousteau. — Egzaltacja, teraz już zdławiona, młodzieńcza gorączka, skrywały mi mechanizm świata: trzeba go było zobaczyć, uderzyć nosem o wszystkie kółeczka, potknąć się o osie, otłuścić się o wszystkie smary, usłyszeć chrzęst łańcuchów i śrubek. Jak ja, dowiesz się, że poza tym pięknymi marzeniami, istnieje gra ludzi, namiętności i potrzeb. Wmieszasz się z konieczności w straszliwe walki dzięł, ludzi, partii, gdzie trzeba się bić systematycznie, aby nie być opuszczonym przez swoich".

Jak refren wracają kilkakrotnie zdania podkreślające wszechwładzę pieniądza: „Jakiś głos krzyknął w Lucjanie: „Inteligencja, to dźwignia, którą porusza się świat. Ale inny głos odkrzyknął, że punktem wyjścia dla inteligencji jest pieniądz"... „Wielki człowiek z prowincji przechodził straszliwą szkołę. Pieniądz! Oto słowo zagadki". W salonach, w teatrze, u wydawców i w redakcjach widzi Lucjan zawsze tę samą „podszewkę sumień, grę kółek paryskiego życia, mechanizm świata".

Balzak demaskuje pieniądz jako motyw działania w najbardziej nawet uduchowionych dziedzinach: „Brakuje Francji wielkiego świętego poematu — rzekł biskup. — Wierzaj mi, chwała i fortuna staną się udziałem człowieka z talentem, który zechce pracować dla religii". Są wprawdzie w tym cyklu postacie mające inny cel w życiu niż zrobienie kariery i zdobycie majątku — jak niepraktyczny wynalazca Dawid Séchard lub poeta d'Arthez — ale ich los potwierdza również prawdę wyrażoną w „Straconych złudzeniach". Najsilniej potwierdza ją sam Lucjan de Rubempré:

„Boże! Złota za wszelką cenę! — mówił sobie Lucjan — złoto jest jedyną potęgą, przed którą ten świat pada na kolana. (Nie! mówiło mu sumienie, ale sława, a sława to praca! Praca! to było hasło Dawida). Mój Boże! po co ja tu jestem? Ale doczekam się triumfu! Przejadę po tej alei w karocy ze strzelcem! Będę miał margrabiny d'Espard!".

Losy bohaterów balzakowskich posłuszne są nieubłaganym prawom. Niespodzianie otrzymane pieniądze nie mogą uratować Dawida Sécharda: jego drukarnię i wynalazek zagarniają bracia Cointet, ponieważ znają się na interesach. Zbuntowany przeciw społeczeństwu przestępca Vautrin kapituluje i pod „uciskiem siły społecznej" wstępuje do policji. Niezręcznie poruszający się w „mechanizmie świata" Lucjan de Rubempré kończy samobójstwem. Niewiele brakowało, żeby zrobił taką samą karierę jak jego rówieśnik Rastignac (który występuje głównie w innych częściach „Komedii ludzkiej"). Przybywa on również z Angoulême i także bez pieniędzy. Po dwudziestu paru latach pobytu w Paryżu jest bogaty, zostaje ministrem i parem Francji, znajdując potwierdzenie swej dewizy, że „nie ma bezwzględnej cnoty, są tylko okoliczności". Symetria tych dwóch postaci, wyrażających jednakowo surowy sąd autora o epoce, świadczy, jak Balzak starał się nie tylko przeniknąć w głąb otaczającej rzeczywistości lecz także odtworzyć jej pełną pozornych niekonsekwencji powierzchnię.

Maciej Żurowski

Célestin Nanteuil — ilustracja z książki „Stracone złudzenia", Balzaka, Ed. Furne, 1842

*) Balzak: „Dwaj poeci", „Stracone złudzenia", „Cierpienia wynalazcy", „Blaski i nędze życia kurtyzany", „Ostatnie wcielenie Vautrina". Przekład Boya-Żeleńskiego, Spółdzielnia Wyd. „Książka".

KONSTANTY GRZYBOWSKI

PROBLEM NIEMIECKI

I.

STOSUNEK nasz do Niemiec zależy od trzech czynników. Zależy od zasad, na jakich będą budowane przyszłe Niemcy. Zależy od nastawienia i sposobu myślenia społeczeństwa polskiego. Dwa pierwsze z nich nie zależą od nas, względnie tylko w drobnej mierze zależą od nas. I w tym leży największa trudność. Jeśli przyszłe Niemcy (ściślej biorąc ich część zachodnia) będą odbudowywane z mniej lub więcej jawną tendencją uczynienia z nich politycznie przyszłego narzędzia „ideologii zachodniej" w walce z „ideologią wschodnią", społecznie — narzędzia dla utrzymania i wzmocnienia kapitalizmu w Europie — to wtedy możliwości jakiegokolwiek polskiego modus vivendi z Niemcami jako całością są bardzo niewielkie. Wtedy nie możemy traktować Niemiec jako — Niemiec — lecz jako narzędzia imperializmu amerykańskiego, imperializmu i politycznego i społecznego i gospodarczego. I wtedy nie istnieje problem stosunku polsko-niemieckiego, lecz problem stosunku demokracji ludowych i socjalistycznych do coraz bardziej odchodzących od demokracji państw kapitalistycznych.

Czynnik drugi — nastawienie i sposób myślenia społeczeństwa niemieckiego. Zależą one od tego, czyim narzędziem staną się Niemcy i czy staną się nim chętnie, bez oporu. Jeśli społeczeństwo niemieckie bez oporu, z wewnętrzną aprobatą — przyjmie rolę, jaką zdaje mu się wskazywać „polityka zachodnia", wtedy przepaść między Polską a Niemcami pogłębi się zamiast zmniejszyć, wtedy przekonanie, iż Niemcy kiedyś zażądają od „Zachodu" odszkodowania naszym kosztem za spełnianie tej roli, musi w Polsce rosnąć. Ale psychologiczno-socjalna akceptacja tej roli przez Niemców zależy także — choć tylko w pewnym stopniu — od stosunku „Wschodu" do Niemców, w każdym razie do tych Niemców, którzy chcą wyciągnąć konsekwencje z ery hitleryzmu — a więc także od naszego do nich stosunku.

I tu wydaje się czasami, jakby metody hitlerowskiego „myślenia" przeżywały swój pośmiertny tryumf wśród społeczeństw, które były ofiarą hitleryzmu. Wydaje się, jakby wśród tych społeczeństw na miejsce mitu o „tysiącletniej Rzeszy" rodził się mit o Niemczech, które przez nieprzewidzianie długi okres czasu będą musiały być i będą mogły być tylko przedmiotem polityki, tylko przedmiotem działania innych społeczeństw. Na miejsce mitu o narodach słowiańskich, „z natury", ze swego składu rasowego anarchicznych, barbarzyńskich, skazanych na to by były rządzone przez innych widzi się czasami mit o Niemcach „z natury", a więc także z przyczyn rasowych, barbarzyńskich, niezdolnych do współżycia z narodami cywilizowanymi. W miejscu mitu „das ewige Reich" — mit Niemca wiecznego barbarzyńcy. Jakoby traktowanie społeczeństwa jako czegoś, co jest niezmiennie i niezależnie od swej woli takim a nie innym, typowe właśnie dla hitlerowskiego, rasistowskiego ujmowania poszczególnych narodów — stawało się wyznaniem wiary namiętnych antyhitlerowców, z tą tylko różnicą, że nadaje się temu zupełnie odmienną treść, że się odwraca wartościowanie, zatrzymując hitlerowski sposób podchodzenia do zagadnienia.

Przypomina to łudząco przedwojenne metody antysemityzmu, także i polskiego. „Krew jest silniejsza od wody, woda nie zmyje krwi", mówił antysemita, zaprzeczając wszelkiej możności asymilacji Żydów, także asymilacji przez chrzest jako sposób wejścia do społeczeństwa w większości chrześcijańskiego. „Krew jest silniejsza od wychowania, demokratyzacja Niemiec jest utopią bo wychowanie nie zmieni Niemca" mówi współczesny anythitlerowiec. Po dwudziestu przeszło latach rosnących wpływów rasizmu, po sześciu latach dyktatury hitlerowskiej nad Europą i ta rasistowska metoda podchodzenia do zagadnienia i ten „ressentiment" są zrozumiałe. Ale właśnie te lata pokazały, do czego prowadzą rasistowskie metody i jakie są konsekwencje podziału narodów na „wybrane" i na wieki „potępione". Ale każdy „ressentiment" jest zawsze mętną mistyką i ucieczką przed rzeczywistością, jest najczęściej mistyfikacją służącą zupełnie konkretnym celom klasowym, zupełnie określonym interesom imperialistycznym.

Rzeczywistością są Niemcy. Rzeczywistością jest odmienna struktura psychologiczno-socjalna Niemiec, czyniąca z nich wyjątek i groźne niebezpieczeństwo w Europie, przeorane dziedzictwem myśli racjonalistycznej i demokratycznej. Ale mitem jest szukanie wytłumaczenia tego niebezpieczeństwa i tej odmienności w jakichś przyczynach „naturalnych", niezmiennych.

Nie „naturalna odmienność" narodu niemieckiego, ale spóźniony rozwój narodu niemieckiego, ale odmienność jego rozwoju jest przyczyną, dla której Niemcy są „inni", dla której Niemcy są niebezpieczeństwem. A ten spóźniony rozwój ma swe przyczyny historyczne, społeczne, gospodarcze. One to przede wszystkim uczyniły Niemców szczególnie skłonnymi do wiary w pewne barbarzyńskie mity, ta skłonność została wyzyskana przez rządzących, ta skłonność umożliwiła rządzącym „wytłumaczenie" Niemcom ich metod rządzenia, ich metod zawładnięcia światem. Tu leży wina narodu niemieckiego. Winien jest naród, który uwierzył w kłamstwo i uważał za dopuszczalne wszelkie metody, mogące służyć do realizacji tej wiary. Ale naród, który jest winien — to nie znaczy naród, który jest nieuleczalny.

II.

Rozwój dziejowy dokonuje się przez sprzeczności. Narastające zmiany wybuchają w pewnym momencie z żywiołową siłą i przekształcają z gruntu istniejące społeczeństwo. Niemcy nie przeszły przez zwycięską rewolucję absolutyzmu, jednoczącego państwo przy pomocy mieszczaństwa — zastąpiły ją podporządkowaniem sobie istniejących i nie likwidowanych stanów przez lokalne drobne absolutyzmy, zachowując współrządzące stanowisko klasy szlachecko-ziemiańskiej. Nie przeszły przez powstawanie nowej, rewolucyjnej, od dołu wyrastającej burżuazji — to feudałowie niemieccy, na podstawie swej feudalnej bazy i nie niszcząc jej, przekształcili się w feudalno-kapitalistycznych możnowładców i asymilowali te swego typu nielicznych arriwistów z nowych klas społecznych. Nie przeszły przez polityczną, demokratyczną rewolucję mieszczańską — to absolutystyczno-junkierskie Prusy, z całym swoim junkiersko - absolutystycznym dziedzictwem dały ramy polityczne kapitalizmowi niemieckiemu. Nie złamała — nawet nie usiłowała złamać tych wpływów republika. I także ich faszyzm, narzędzie ich kapitalizmu uszanował w Niemczech tylko jedno: wpływy feudalno-junkierskie.

Toteż Niemcami rządziła — i w wielkiej ich części rządzi do dziś dnia— ta grupa społeczna, która wydawała z siebie drobnych dynastów lokalnych i ich towarzyszy, krzyżackich rycerzy i dowódców wojsk Wallensteina, i wierne sługi Fryderyka zwanego wielkim. Nawet gdy przychodzili nowi ludzie, asymilowali się od niej (nawet gdy byli Żydami, wszak to Rathenau pisał, że na czele państwa winien stać „pomazaniec, żaden arriwista szczęśliwej kariery" i pisał to w latach, gdy był jednym z najbliższych Wilhelma II).

Niezmieniona, co najmniej od późnego średniowiecza, podbudowa społeczna rządów politycznych w Niemczech wydaje się być istotną przyczyną odmiennego rozwoju ideologicznego. Dlatego nie ma mowy o demokratyzacji Niemiec bez zmiany tej podbudowy. Jak długo junkier i stworzony na jego obraz i podobieństwo „Industriebaron" (tylko w Niemczech nawet w nazwie upodobniono go do feudalnego typu klasy rządzącej) będą faktycznymi rządzącymi Niemiec, tak długo Niemcy, będą rządzone tymi samymi metodami i w tych samych celach. Reforma rolna i uspołecznienie przemysłu w Niemczech jest nie tylko posunięciem gospodarczym ale politycznym. Wiara w możność przemiany klas rządzących w Niemczech okazała się już tylekrotnie pomyłką, że jej dalsze podtrzymywanie byłoby albo głupotą albo bezcelową mistyfikacją. I być może, że wiara w masy niemieckie też się okaże pomyłką — ale jest ona ostatnią możliwą szansą. Zburzyć dokładnie dotychczasową podbudowę społeczno-gospodarczą Niemiec — to jedyna droga, jedyna próba stworzenia czegoś nowego, co może być inne od dawnych Niemiec. I jedyna możliwość stworzenia w Niemczech klas społecznych, które coś będą zawdzięczać okupantowi, dla których przegrana wojna nie będzie klęską polityczną ale zwycięstwem społecznym, dla których obawa nowej wojny będzie zawsze obawą powrotu dawnych stosunków i utraty nowego stanowiska. Jak dotąd — rozumie to tylko jeden z okupantów.

Czyli — tylko ta linia polityczna, którą realizuje w Niemczech Związek Radziecki stwarza podłoże, na którym zmiana mentalności politycznej Niemiec, na którym ucywilizowanie Niemiec może się okazać możliwym.

III.

Istnieją w Niemczech dwie siły społeczne. Pierwszą z nich jest to wszystko, co w przeszłości w Niemczech rządziło a więc ściśle ze sobą zespolone burżuazja niemiecka i sfery junkiersko przemysłowe. Drugą to wszystko, co dotąd było w Niemczech przedmiotem rządzenia — niemiecki robotnik w pewnej mierze niemiecki chłop. Istnieje ponadto inteligencja niemiecka w ogromnej większości i swym pochodzeniem i swą mentalnością związana z sferami junkiersko-burżuazyjnymi. Wysuwa się nieraz w końcu tezę, że siłą polityczną, na której możnaby oprzeć odbudowę Niemiec jest katolicyzm niemiecki.

Związek Radziecki zajął w sprawie przebudowy Niemiec stanowisko jasne: opiera ją społecznie na robotniku, chłopie i tej części inteligencji, która bądź zawsze była związana z lewicą niemiecką, bądź gotowa jest przemyśleć i zrewidować dotychczasowe swe stanowisko. Opiera ją politycznie na Zjednoczonej Partii Socjalistycznej (SEP). Czy można ją próbować oprzeć na innych siłach? Na zachodzie Niemiec usiłują się ich obecni władcy oprzeć politycznie na Socjaldemokracji (SPD) i na katolikach niemieckich (CDU i CSU). Jest pomyłką pogląd, jakoby socjaldemokracja reprezentowała robotnika niemieckiego. Od dawna, już w republice weimarskiej, odgrywało w niej znaczną rolę skrzydło czy to w swej sytuacji socjalnej czy w swej mentalności drobnomieszczańskie. Dziś występuje to tym silniej. Hasło: wyrwać klasy pośrednie kapitalizmowi przekształciło się w tej partii w praktykę ucieczki w objęcia klas pośrednich, a więc tych które w Niemczech w najwyższym stopniu przyczyniły się do zwycięstwa hitleryzmu, które dziś najsilniej reprezentują hasła rewizjonizmu. To nie jest partia, którąby była zdolna do przebudowy Niemiec w sposób gwarantujący pokojowy rozwój stosunków z sąsiadami.

A katolicy? Weźmy jako przykład ich przywódców duchowych, episkopat niemiecki i ich przywódcę politycznego Brüninga. Episkopat niemiecki odbył niedawno swą doroczną konferencję. W konferencji tej wzięli udział m. in. (cytuję wedle oficjalnego komunikatu): „wschodnie diecezje reprezentowali: prałat dr Hertz z Piły, wikariusz kapitulny dr Piontek z Wrocławia, wikariusz kapitulny dr Kather z Warmii, wikariusz kapitulny Monse z Kłodzka". Episkopat niemiecki nie uznaje nie tylko, iż „wschodnie diecezje" są obecnie częścią państwa polskiego, ale nie uznaje nawet decyzji Watykanu, który ustanowił inne osoby, Polaków, administratorami apostolskimi tych diecezji. Wódz polityczny zaś, Heinrich Brüning ogłosił niedawno w „Deutsche Rundschau" list, będący czymś pośrednim między autoreklamą a samoobroną. Trzeba się bowiem wytłumaczyć, dlaczego dwukrotnie w r. 1933 głosowało się z wszystkimi katolickimi posłami Reichstagu za Hitlerem, po raz pierwszy, gdy się mu dawało pełnomocnictwa, po raz drugi gdy się aprobowało wystąpienie Hitlera z Ligi Narodów. Trzeba się także wytłumaczyć z tego, iż w czasie swych rządów nie uczyniło się nic, by złamać hitleryzm. I oto dowiadujemy się od Brüninga, że nie jest winien ani on ani społeczeństwo niemieckie, winni są tylko komuniści i Polacy, bo przecież nie można było niszczyć hitleryzmu bez równoczesnego zlikwidowania drugiej (tak samo dla Brüninga rewolucyjnej i antydemokratycznej) partii komunistycznej — a na to siły niemieckie nie starczały. Bo Polacy chcieli już w r. 1931 zająć Śląsk, chcieli w 1933 r. skłonić Francję do wojny prewencyjnej przeciw Hitlerowi — i w ten sposób zmusili wszystkich Niemców, nawet socjalistów, do podkreślenia w Reichstagu solidarności ogólno-narodowej niemieckiej — pod przywództwem Adolfa Hitlera. Obojętne, czy podane przez Brüninga fakty są prawdziwe, czy nie. Istotnym jest co innego. Istotnym jest że w niecałe trzy lata po klęsce hitleryzmu polityk katolicki tłumaczy Niemcom, że nie oni są winni, że nawet Hitler nie jest może tak bardzo winny, że winowajcami są przede wszystkim Polacy i komuniści.

Te dwa fakty ilustrują, sądzę, dość wymownie dlaczego trzeba odrzucić koncepcję budowania nowych Niemiec na siłach katolickich. I duchowni i świeccy przywódcy katolików niemieckich nie chcą widzieć winy Niemiec, nie chcą uznać klęski Niemiec, nie chcą uznać nowego stosunku sił na Wschodzie Niemiec.

IV.

Arthur Rosenberg w swej „Historii Republiki niemieckiej" wskazywał trafnie, że już w r. 1929 żądanie rewizji granicy polsko-niemieckiej przestawało być w Niemczech aktualne, że podtrzymywały go sztucznie pewne, rządzące klasy społeczne, których wyrazem był Stressemann. Niemcy przestaną widzieć katastrofę swego narodu w obecnej granicy polsko-niemieckiej, jeśli zostanie złamana przewaga tych klas społecznych, w których interesie jest ich rewizja, jeśli junkier, czy wielki przemysłowiec z ziem obecnie polskich przestanie być siłą polityczną Niemiec. Jeśli ten junkier czy przemysłowiec będzie widział tak, jak widzi obecnie na zachodzie Niemiec, że ludzie jego klasy zachowali swe pozycje gospodarcze, społeczne i polityczne — będzie zawsze agitatorem trzeciej wojny światowej. I dopóki junkier i wielki przemysłowiec będą kierowali życiem Niemiec (jak dotąd na zachodzie) chłop niemiecki wysiedlony z ziem polskich będzie chłopem bez ziemi, robotnik niemiecki będzie robotnikiem bez pracy — i będzie także tęsknił do trzeciej wojny.

Zmiana struktury gospodarczo-społecznej całych Niemiec może stworzyć warunki dla porozumienia polsko-niemieckiego. Już dziś ze strefy, w której struktura ta uległa zmianie dochodzą głosy, których na próżno oczekujemy z zachodu. Już dziś Ludwig Renn, były żołnierz brygady generała Świerczewskiego pisze we wspomnieniu o nim o „wielkich burzycielach, którzy żyją z siania nienawiści między narodami, którzy chcieliby zniszczyć to, co pozostało z Polski, Ukrainy, Niemiec". I o tym należy pamiętać. I nie należy tych ludzi, tych demokratów niemieckich łączyć w tym samym pojęciu, w którym się łączy niemieckich hitlerowców. Choćby to był jeden na tysiąc Niemców. Z pewnością — długo jeszcze będzie to skromna mniejszość w Niemczech. Ale jeśli chcemy, by kiedyś przestała ona być mniejszością — musimy w nich, mimo wszystko co było, mimo wszystko co nas dzieli, widzieć towarzyszy na wspólnej drodze.

Konstanty Grzybowski

WŁADYSŁAW KOZŁOWSKI

8% GENERAŁA CLAY'A

POCZĄTKOWO mniej śmiało wysuwane żądania amerykańskie w stosunku do Ziem Zachodnich, zostały postawione ponownie i mocniej przez Gen. Clay'a. Roszczenia te, podobnie jak uprzednio, zostały oparte na podstawach gospodarczych — i humanitarnych. Raport Gen. Clay'a stwierdza, że 28 proc. żywności niemieckiej pochodziło z ziem przyznanych Polsce, — skutkiem inkorporacji tych ziem — Niemcy mrą z głodu. Kilka miesięcy przedtem gen. Marshall utrzymywał, że ziemie te dostarczały 20 proc. żywności niemieckiej. Jak widać więc, wartość produkcyjna tych ziem w ocenach amerykańskich wzrasta w zależności od temperatury przyjaźni niemiecko-amerykańskiej i wartości Niemiec dla amerykańskich planów. Jak na paromiesięczny okres — wzrost znaczny. Amerykańscy generałowie w prawdziwie amerykańskim tempie i z prawdziwie kawaleryjską brawurą „szarżują" statystyką. 8 proc. na 20 — to 40 na sto. Tak silny przyrost temperatury — staje się niebezpieczny dla sąsiadów. Cyfry, szczególnie w ustach mężów stanu, mają nieodpartą siłę przekonywującą. Rzadko komu bowiem przyjdzie ochota do ich sprawdzania. Są więc tem niebezpieczniejsze. Niepotrzeba Bismarcka aby to zauważyć. W tym wypadku jednak trzeba uciec się do cyfr, aby sobie obiektywny sąd o sprawie wyrobić — i trzeba usunąć elementy emocjonalne — aby pohamować wybuch oburzenia, aby zachować sąd jasny o sprawie.

Ponadto trzeba, choćby w największym skrócie, zaznajomić się z normami jakie pod względem zaopatrzenia zostały wyznaczone dla Niemiec Układem Poczdamskim, trzeba się zorientować jak wyglądała zdolność Niemiec do zaspokojenia potrzeb własnej konsumcji własną produkcją, jak wyglądał import żywności do Niemiec przedwojennych (i na jakie cele był zużywany) — przede wszystkim zaś — jak wygląda i jak wyglądał „przeciętny europejski poziom życia" — do niego bowiem, zgodnie z postanowieniami poczdamskimi ma być dostosowany standard życia niemieckiego. Stąd, nie będzie trudno znaleźć możliwości — i potrzeby pod względem zaopatrzenia w żywność, jak również skąd się wzięło clayowskie 28 proc.

Konstrukcja przepisów ustalonych w Poczdamie w sprawie poziomu życia niemieckiego — nie pozostawia miejsca na różnice interpretacyjne. Przepisy są skonstruowane jasno i nie budzą żadnych wątpliwości.

Artykuł 15(b) Układu Poczdamskiego (w którym zresztą kolejno — Roosevelt i Churchill — a następnie Truman — przyznawali Polsce pełne prawa do Ziem Odzyskanych)— zakreśla wyraźnie miary i normy w jakich życie gospodarcze ma się obracać i jaki „poziom życia" zostaje Niemcom wyznaczony. Poziom ten był oznaczony bardzo wielkodusznie. Nie o to jednak chodzi. Artykuł ten wyraźnie mówi: „Kontrola nałożona na gospodarstwo niemieckie ma podtrzymać produkcję i dopływ dóbr i usług w wysokości koniecznej do zaspokojenia potrzeb wojsk okupacyjnych — itd. — oraz **istotnych („Essential"** w oficjalnej treści angielskiego tekstu) **dla utrzymania przeciętnego standartu życia niemieckiego, nie przekraczającego przeciętnego poziomu życia krajów europejskich".** (Przy określaniu „przeciętnego poziomu życia europejskiego" — nie bierze się pod uwagę poziomu życia w Związku Radzieckim oraz w W. Brytanii).

Inny przepis Układu — (Art. 11), mówi, że gospodarka niemiecka będzie „ostro kontrolowana i ograniczona do wysokości potrzeb pokojowych Niemiec powojennych, w zatwierdzonej skali, w ten sposób, aby wypełnić cele artykułu 15". Inne znów przepisy mówią o redukcji przemysłu, (co nie zostało wykonane), przepisy bliższe w tej materii są zawarte w układzie z marca 1946 roku, — (też nie zostały wykonane), o redukcji, o likwidacji, o ograniczeniu, o reparacjach, o repatriacjach — itd. itd. — (co również nie zostało wykonane, nie zostało wykonane, nie zostało wykonane itd). Poziom życia niemieckiego — jest oznaczony wysoko, i winien być zgodnie z przepisami ustalonymi — i w ich ramach wykonany. Poziom ten został ustalony wielkodusznie. Wielkodusznie, ponieważ przyznaje Niemcom prawo zaspokojenia potrzeb w wysokości „średniej europejskiej" — nie poniżej jakby to należało zastosować zgodnie z zasadami stosowanymi przez Niemców w stosunku do zwyciężonych, choćby dla negatywnej satysfakcji zbiedzonej przez Niemcy Europy. Jak bowiem przedsta-

wiał się „średni poziom spożycia" przed wojną,w porównaniu z poziomem spożycia w Niemczech?

Po przestudiowaniu bliższym przede wszystkim niemieckich (i innych) statystyk*) — okazuje się, że spożycie podstawowych środków odżywczych na głowę ludności przed wojną — poza nieznacznymi wyjątkami — było w Niemczech najwyższe niemal na Kontynencie. Odnosi się to w równym stopniu do podstawowych środków żywnościowych jak i do wysokogatunkowej i najwartościowszej z punktu widzenia odżywczego żywności — luksusu w Polsce. I tak — średnie spożycie mąki np., nawet w grupie państw najzamożniejszych na kontynencie było niższe o 10 do 15 proc. aniżeli w Niemczech. W krajach uboższych — przeważających w Europie — spożycie mąki pszennej i żytniej było niższe o 15 do 25 proc. aniżeli w Niemczech. Łącznie, przeciętny, „średni poziom europejski" — wymagany literą Poczdamu — był niższy o około 20 proc. (obliczając według wysokości zaludnienia poszczególnych krajów).

Przy tak wysokim spożyciu podstawowych środków żywnościowych — „herrenvolk", według cyfr niemieckich, zjadał na głowę ludności (o ile to słowo byłoby właściwie użyte)— znacznie więcej aniżeli inne narody środków o wysokiej wartości odżywczej. Konsumcja mięsa, tłuszczu, nabiału, cukru itd. — przerastała spożycie średnie w Europie w sposób dużo drastyczniejszy. Spożycie tych środków — przewyższało spożycie na głowę ludności w państwach najbogatszych w Europie.

Spożycie mięsa w Niemczech w r. 1938 wynosiło np. 53 kg. (plus 1.1 kg. drobiu i parę kg. ryb), gdy tymczasem Belgia konsumowała zaledwie 42 kg. (bez drobiu niezależnie), Francja — 36.5 kg., Szwajcaria (kraj czteromilionowy, o najwyższym dochodzie społecznym i najwyższej konsumcji najwartościowszych środków żywności) — 45.3 kg. Kraje kategorii „średnio zamożnej" — jak Czechosłowacja — spożywały 25.4, Włochy— 16.1, Polska i inne, uboższe a najliczniejsze — znacznie poniżej 20 kg. (a wystarczy zajrzeć do planów CUP'u — aby zobaczyć czego się możemy spodziewać obecnie — wskutek gospodarki Herrenvolku na naszych ziemiach).

Streszczając — w grupie krajów najbogatszych w Europie (których łączne zaludnienie zaledwie sięgało zaludnienia Niemiec) — spożycie mięsa było niższe o około 20 proc., w grupie krajów uboższych (o łącznym zaludnieniu 36 milj.) — spożycie było niższe o około 40 proc. aniżeli w Niemczech, w grupie krajów biednych (o zaludnieniu ok. 280 milj.) — spożycie było niższe o ponad 50 proc., a w grupie najbiedniejszych — choć na szczęście nielicznej — poniżej 33 proc.!

„Średnia europejska" — nie przekraczała w spożyciu mięsa i podobnych wysokogatunkowych środków odżywczych 40—45 proc. niemieckiej diety. Przytem kompozycja diety niemieckiej była znacznie wszechstronniejsza i bogatsza aniżeli w innych krajach Europy.

Obecne spożycie europejskie — jest jeszcze niższe. W czasie wojny — było ono obniżone poniżej zdolności do przeżycia. Obniżenie to odbywało się na benefis niemiecki. Stąd rysująca się w oczach Niemców i Amerykanów — dysproporcja pomiedzy standartem życia w Niemczech obecnych, a standartem w czasie— i przed wojną — staje się wyrazistsza — choć w rzeczywistości, „obniżona" conajwyżej do poziomu krajów najzamożniejszych (a przecież należałaby się krajom głodzonym przez Niemcy jakaś „nawiązka"). Obecnie doprowadzenie spożycia niemieckiego do poziomu „średniego europejskiego" w skali przedwojennej — wymagałoby raczej dalszej redukcji w spożyciu zbóż itp. o 20 proc., a nawet 25 proc., w zaopatrzeniu w mięso, ryby, cukier, tłuszcze itp. — o 60 do 70 proc. Wydaje się, że taka redukcja nie nastąpiła. Tymczasem zaś, powinna nastąpić jeszcze dalsza redukcja — do poziomu średniego spożycia w Europie TERAZ.

Jak Niemcy zaspakajały tak wysokie potrzeby konsumcyjne kraju? Wbrew ogólnemu mniemaniu, znakomita większość była pokrywana produkcją krajową, nie zaś importem. Niemiecka zdolność produkcyjna przed wojną była bardzo wysoka. Myli się, i to bardzo poważnie i gen. Marshall, i gen. Clay — oceniając udział Ziem Zachodnich na 20 i 23 proc. ogólnej niemieckiej produkcji żywnościowej. (Pszenicy produkowano tam zaledwie 13 proc. ogólnej cyfry niemieckich zbiorów, żyta — jedyna wysoka cyfra — ok. 22 proc., innych zaś produktów rolnych i hodowlanych nie więcej aniżeli 15 do 18 proc.). O ile wzrastające „odsetki" w ocenach gen. Clay'a — są miarą wzrostu sympatii proniemieckich — o tyle omyłki w odniesieniu do konsumcji — nie zaś produkcji i jej rozłożenia na terenach Niemiec przedwojennych — są wynikiem dokonywania ocen niemieckiej konsumcji przedwojennej (a następnie — obecnych deficytów) — na podstawie sum importowych żywności, nie zaś, według nawet tak wysokich, kwot spożycia na głowę ludności.

Niemcy istotnie poświęcały znaczne sumy na import środków żywnościowych. Na szczęście — dla Niemców — i nieszczęście jej sąsiadów (na szczęście, bo ludność niemiecka „pękałaby" z przejedzenia dumpingowym zbożem) — import szedł na inne cele.

Import szedł na zapasy wojenne, a w odniesieniu do zbóż — na PASZĘ dla bydła. Około 2.500.000 ton żyta (co się równa prawie połowie całości spożycia na cele konsumcyjne ludności) rocznie — oraz 500.000 ton pszenicy (co się równa 10 proc. spożycia przez ludność) — szło na paszę*) (Spasza się i teraz pszenicę i żyto — w kraju rzekomo głodującym. Ale to jest sprawa niemieckiego „bambra"). Około 2 milj. ton zbóż odkładano w ostatnich latach na zapasy wojenne.*) Ale to jeszcze nie wszystko.

Mimo wysokiej konsumcji na głowę, produkcja krajowa zaspakajała niemal całość wysokich potrzeb niemieckich. Już w roku 1935, a więc przed „Czterolatkami" rolniczymi Niemiec, — jak stwierdzają sami Niemcy — Reich był samowystarczalny w zakresie podstawowych produktów.

Według raportu Instytutu Badania Koniunktur w Berlinie z kwietnia 1935 r. (por. Zał. tabelę) — niemiecka produkcja żyta, pszenicy, owsa, cukru, mięsa, (poza wieprzowym), mleka itd. pokrywała w 98 do 100 proc. wysokie zapotrzebowanie niemieckich żołądków. W innych środkach, ważniejszych (łącznie z mięsem wieprzowym) — w 90 proc.

Streszczając rachunek: potrzeby niemieckie były wyższe od przeciętnych europejskich o 50 proc. Produkcja krajowa zaspakajała je prawie w całości. Niemcy utraciły w Ziemiach Zachodnich około 18 proc. produkcji żywnościowej. Całość Europy — w znaczniejszej mierze aniżeli w Niemczech ucierpiała w czasie wojny, obniżając „średni poziom" w stosunku do okresu przedwojennego dużo znaczniej aniżeli to nastąpiło w samych Niemczech. Licząc jednak (znów wielkodusznie), że Niemcy ucierpiały w tym samym stopniu co inne narody na skutek działań wojennych — spadek niemieckiej konsumcji — idąc za produkcją — wyniósł zaledwie tyle (w stosunku do całości poziomu europejskiego) ile wynosiła strata w Ziemiach Zachodnich — a więc 18 proc. Niemiecka produkcja rolna i hodowlana powinna być obniżona o conajmniej 50 proc w stosunku do całości europejskiej aby wypełnić wspaniałomyślne postanowienia poczdamskie. Niemiecka produkcja żywności powinna reprezentować w chwili obecnej nadwyżkę 32 proc. w stosunku do potrzeb, uregulowanych w Poczdamię. Jest więc jeszcze znaczna rezerwa.

Nie wliczamy do rachunku odsetka suchotników w środkowej i wschodniej Europie (a nawet Zachodniej) wyprodukowanych przez Niemców w czasie okupacji. Nie wliczamy „Beri-beri" przyniesionego do Europy gospodarką niemiecką, nie wliczamy lat głodu, krzywicy, tyfusu.

W tych warunkach, powoływanie się na potrzeby gospodarcze Niemiec — wydaje się sprzeczne nietylko z intencjami i literą Układu, ale również z prymitywnym poczuciem słuszności i sprawiedliwości. Chyba, że ma służyć jako jeden z argumentów do spiesznej re-hitleryzacji Niemiec. Dlatego 8 proc. generała Clay'a jest tak niebezpieczne dla Europy.

WYSOKOŚĆ PRODUKCJI KRAJOWEJ ŻYWNOŚCI W STOSUNKU DO KONSUMCJI NIEMIEC

(R. 1935. **przed** ukończeniem 4-latki rolniczej)

według tygodniowego raportu „Institute fur Koniunkturfos":

	% konsumcji:
Żyto, pszenica, jęczmień, owies, cukier, kartofle, mięso (za wyj. wieprzowego), mleko, chmiel	98—100
Słonina, ryby słodkowodne, jarzyny	90— 97
Wieprzowina, owoce	80— 90
Ptactwo, jaja, drzewo	70— 80
Wszelkiego rodzaju tłuszcze (łącznie z przemysłowym), skóry, futra	50— 60
Warzywa strączkowe itd.	40— 50
Tytoń	20— 30
Len, tanina (garb.) itp.	10— 20
Wełna	5— 10
Nasiona olejowe, oleje twarde	1— 5

Tabela ta przedstawia obniżoną już konsumcję z ost. lat przedwojennych. Podkreślone towary przekraczają powyżej 100 proc. średnią konsumcję w Europie. (Por. Tabele) — i dotyczą głównie luksusowych towarów importowanych. (por. tabelę powyżej).

KONSUMCJA NA GŁOWĘ W NIEMCZECH W R. 1937 (w kg.)

Mąka pszenna	55.4
Mąka żytnia	54.8
Mięso	**45.9**
Tłuszcze zwierzęce	**8.1**
Masło	**8.9**
Margaryna	**5.4**
Mleko (w lt.)	**111.0**
Jaja (szt.)	**122.0 (140)**
Ryby	**12.2 kg.**
Cukier	**24.0**
Owoce południ.	**5.8**
(w latach poprzednich 8-9)	
Kawa	**2.1**
Piwo	**63.0 lt.**
(poprzedn. ok. 901)	
Cygara	**129 szt.**
Papierosy	**610 szt.**
Tytoń i tab.	**0.5 kg.**

Władysław Kozłowski

*) Vide C. W. Guillebaud, prof. ekonomii Uniw. w Oxfodzie „The Economic Recovery of. Germany — 1933-1938". Podaje on cyfry zużytego zboża na paszę za źródłami niemieckimi na str. 199, na następnych zaś wzmiankowane inne dane.

*) Rocznik Statystyczny Rzeszy za lata 1936-7 8-9, Rocznik Statystyczny Ligi Narodów za powyższe lata oraz Raporty Instytutu Badania Koniunktur.

MIECZYSŁAW JASTRUN

W SYTUACJI PANA JOURDAIN

ZJAWISKA literackie niepokoją i będą niepokoiły tych, którzy nie umiejąc zdobyć się na gruntowne widzenie rzeczy, zastanić chcą syntezę — szufladką. Sposoby szybkiego i skutecznego załatwienia się z tym czy innym nowym zjawiskiem są różne. Był okres w literaturze naszej, gdy liczba 3, trójka, niemal mistyczna, mająca dobrą i długą tradycję, bardzo była pomocna badaczom literatury i krytykom w tej czynności.

Po ukazaniu się „Trylogii" Sienkiewicza usiłowano każde trudniejsze zjawisko literackie zamknąć w szufladce, na której wypisany był kaligraficznym, aptekarskim pismem wyraz: „TRYLOGIA". Poszczególne dramaty Słowackiego i Wyspiańskiego łączone w takie trójki mistyczne, stawały się w odczuciu przynajmniej owych trójkarzy bardziej przystępne, były zakwalifikowane i w ten sposób w jakimś sensie unieszkodliwione.

Wyspiański napisał kiedyś o tej manii trylogicznej złośliwy wierszyk, w którym wyśmiewał tych, co „przez analogię uznają całość za trylogię" i dowodził nie bez słuszności, że:

Śniadanie, obiad i kolacja
W trylogię również się zamyka,
Ergo i w tym leży racja
W duchu Nietzschego Fryderyka.

Dzisiaj ta mania trylogizywania minęła, zdaje się, na czas jakiś, choć nie wiem czy na przykład Gołubiew nie zamierza napisać trylogii, której poszczególne tomy nosiłyby tytuły: „Giezło", „Bindas", „Czędo". Widzę już oświetlone wystawy z wielką fotografią autora i z napisem na szarfie objętej liśćmi laurowymi:

nowa trylogia znakomitego autora etc.

Wszyscy byliby zadowoleni, a zwłaszcza krytycy i recenzenci, gdyż magiczne słowo TRYLOGIA zwalniałoby ich od czytania i interpretacji. Ale, powtarzam, szczęśliwe te czasy minęły.

Na wszystko jednak jest rada. Zaczęto szukać innych wyrazów, równie skutecznych. Praca ta jest już na ukończeniu i dotyczy głównie poezji, gdyż o tym gatunku, jak niektórzy twierdzą, zamierzającym, najtrudniej napisać coś rozsądnego. Pewna sroka o dużym talencie, znalazła brylant nielada: KLASYCYZM, odkrzyknęła jej druga: ROMANTYZM, trzecia: SYMBOLIZM. Sam nie wiedziałem, kiedy wpadłem w trylogię. A więc wszystko się zgadza. Chciałbym tylko wiedzieć, co te wyrazy znaczą w odniesieniu do współczesnej żywej poezji. To już jest sprawa trudniejsza. Tego mi nikt nie wytłumaczy. Niemniej urok owych szacownych terminów jest niezawodny. Wiadomo — poeta X jest klasykiem, poeta Y jest symbolistą etc. Wszystko od razu staje się jasne i nie ma powodu do niepokoju. Pewien poeta chcąc życzliwie unieszkodliwić swego kolegę nazywa go w szeptanej propagandzie symbolistą, inny znalazł jeszcze ciekawsze określenie: klasyk awangardy, inny znów mówi: toż to jawny romantyk i mistyk.

Wyuczono papugę wyrazów o sztuce,
Przyznać trzeba, że łatwość miała w tej nauce.

Niezupełnie mogę pogodzić się z tak nieścisłymi definicjami. Myślę ze współczuciem i zrozumieniem o kłopotach pana Jourdain. I kiedy mówię: „Michasiu, podaj mi tę różę", myślę: czy to nie romantyzm? Poszedłem do kolegi mojego, Pawła, i zapytałem: jak myślisz, czy to nie romantyzm? A on, blady na tle rokokowego wnętrza swego pokoju, odpowiedział mi: „To rokoko, ale się tym nie przejmuj, czytałem dzisiaj w nocy do piątej nad ranem piękną książkę o realizmie rokokowym". Podziękowałem, i pocieszony poszedłem do pustych, jak zwykle, i poważnych apartamentów redakcji „Kuźnicy":

Tymczasem, okazało się, że w jednym z ostatnich pokojów pałacu „Kuźnicy" czekała na mnie grupka młodzieży literackiej. Jeden z młodych poetów zapytał mnie wręcz: „Dlaczego nie dają nam wzoru do naśladowania, przecież nie możemy wzorować się na klasykach ani na romantykach. „Kuźnica" zaleca nam lekturę Kochanowskiego i Majakowskiego, mamy chaos w głowie". Cóż mogłem odpowiedzieć? Młody poeta miał rację. Niestety, z tymi wzorami w literaturze nie jest dobrze. Nie ma właściwie wzorów. Literatura jest niepowtarzalna, poeta musi nie tylko umieć grać na instrumencie, musi przede wszystkim zbudować własny instrument. Nie ma wzorów, gdyż im większy poeta, tym mniej nadaje się do naśladowania, tym trudniej go naśladować. O ile wiem, Mickiewicz nie stworzył szkoły. Nie znam uczniów Rilkego. A więc poeta nie powinien czytać swoich poprzedników? Przeciwnie, powinien znać wszystko, co przed nim napisano i co pisze się współcześnie. Horacy zalecał czytanie „dniem i nocą" poetów greckich, z których sam wyrósł. Ale czytanie nie jest łatwą sztuką. Nawet literaci nie zawsze umieją czytać. Korzystanie z dorobku poprzedników polega nie na naśladowaniu, lecz na wyciąganiu wniosków. Niektórzy z młodych poetów chcą zamiast wniosków od razu wyciągać kasztany. By móc z pożytkiem poznawać dawnych i współczesnych poetów, trzeba mieć w sobie współczesność. A tego nie można nikogo nauczyć. Nie łatwo również przekonać niektórych naszych krytyków, że poezja, jeśli chce żyć i wzruszać, nie może poprzestać na kontynuacji prądów, które były w 1924 lub 1937 roku nowe i ożywcze, a dziś są martwe. Nie łatwo przekonać, bo to jest ich młodość, czas gdy jeszcze mieli wrażliwość. Jeśli można jeszcze zrozumieć ospałość kronikarzy, trudniej pojąć upór poetów, którzy w roku 1947 wskrzeszają coś w rodzaju ekspresjonizmu. Należy wymagać od poetów, aby szukali wielkiej metafory, a nie poprzestawali na małych robótkach. Najlepsze nawet rzemiosło nie zastąpi rzeczywistej treści.

Należy życzyć sobie, by utwory poetów nie były zaciemniane w tym celu tylko, by wydawać się mogły czymś więcej niż są w istocie. Najlepsze wiersze poetów francuskich, do których zresztą większość debiutantów ustosunkowuje się zbyt bałwochwalczo, są jasne i czyste. Ale — zapyta mnie ktoś — czy Eluard nie jest symbolistą przypadkiem? Czy w poezji Apolinaire'a, Jacoba i Aragona nie ma cech symbolizmu, klasycyzmu lub romantyzmu? Nie wiem, albo może i wiem o tyle, o ile wszelka poezja od Safony, trubadurów prowansalskich i Dantego zawiera pierwiastki symboliczne w znaczeniu tak ogólnym i powszechnym, że nie ma sensu mówić o nich. Jeżeli mówicie: romantyzm, jeżeli mówicie: symbolizm, mówcie tak abyśmy wiedzieli o co chodzi, mówcie o prądach, ujętych w brzegi okresu, epoki. Inaczej szkoda czasu.

Tak myśląc spojrzałem w okno, w którym świecił księżyc romantyczny, popatrzyłem na różę symboliczną na biurku, odwróciłem głowę i powiedziałem z klasycznym spokojem: „Michasiu, przynieś mi pantofle".

MIECZYSŁAW JASTRUN

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

SKRZYDŁO

(fragment powieści)

GDY ZACHLAPANY kwietniowymi kałużami, lub znużony majowym skwarem w mieście, pukał po swojemu do drzwi parterowego mieszkania — wiedział co go czeka. Ta obdrapana kamienica w uliczce na Powiślu była owej wiosny codzienną stacją w jego niespokojnej wędrówce. Joanna otwierała drzwi — i stała tam, w mrocznej sieni, z małomównym uśmiechem, z błyszczącymi oczyma...

Ale ten lokal nie nadawał się do tkliwej sjesty. Pokój rozbielony równomiernym światłem był tylko pracownią rzeźbiarską Joanny — nie miał Tomasz nawet na czym usiąść, a w poruszaniu się przeszkadzały rozmaite głowy i całe postacie z gliny, poobwijane mokrymi szmatami. Na ścianie wisiał samotnie zlew z kranem, pod którym Joanna myła po pracy ręce.

Tomasz miał zaledwie swoje dwadzieścia pięć lat wtedy, gdy o dwa lata starsza od niego Joanna stała przed nim, pośród martwych aktów kobiecych, tak wyprostowana, jakgdyby chciała drżeniem ramion zrzucić z siebie kitel roboczy, pod którym — przy pracy nazbyt nużącej dla jej wątłych sił — była tak samo naga, jak otaczające ją posągi. Onieśmielało to Tomasza. A przecież w tym geście, a właściwie w tym niespełnionym zamiarze gestu, było doprawdy tyleż miłości, co i naturalnego pragnienia rozpusty. Joanna podówczas rzeczywiście kochała Tomasza. I Tomasz — przeciwnie, niż jego ewangeliczny imiennik — dowierzał jej bez trudności.

Dowierzał jej słusznie. Nie był nigdy, ani wtedy, ani później — poza paroma w życiu momentami rozpaczy i pożałowania godnego obłędu — człowiekiem, który spodziewa się po drugich więcej, niż mają mu do dania. Ale Joanna właśnie miłość do dania mu — miała. Nie było powodu, aby tego nie dostrzegać czy nie uznawać.

Na ulicy, która wyprowadzała z Powiśla pod górę ku centralnym arteriom miasta, w znanej kawiarni, gdzie — niby z czasopism ilustrowanych wyjęte — pochylały się ku sobie twarze ówczesnych poetów, krytyków, powieściopisarzy, dramaturgów, aktorów, architektów i malarzy, w mrocznych przestworzach kina, które jak cień historii wydobywały mglistym konturem istnienie różnych klas społecznych — wszędzie, każde spotkanie się ich rąk było emocją dla obojga, każde spojrzenie Tomasza na ciemną i wysmukłą, niemal bizantyjską Joannę napełniało go mimowolną dumą. Z jej sublokatorskiego pokoju wymykał się wczesnym rankiem, dopóki reszta domowników spała, a Joanna pilotowała go — ciepła — na palcach bosych nóg, bez słowa i bez oddechu, aby nikogo nie obudzić.

— Coś robił dziś przez cały dzień? — pyta Joanna, jedyna w pracowni żywa i nieupozowana pośród tych wszystkich zamarłych w geście postaci ludzkich, myjąc białe jak z marmuru ręce w kaskadzie wody nad zlewem. Tomasz nie odpowiada. Wpatruje się w swoją dłoń otwartą, jak w niewydrukowany kalendarz, zasępia się, zamyśla, niemal garbi — pod ciężarem całodziennych kłopotów i niepowodzeń, pod nieprzeniknioną chmurą niepokoju.

— Nie martw się, będzie jeszcze gorzej — kracze Joanna.

Wtedy Tomasz otrząsa się z zewnętrznych oznak przygnębienia — pełen nagłego gniewu i buntu wobec złowróżbnego śmiechu dziewczyny.

— Sama nie rozumiesz, dlaczego tak mówisz! — gromi ją twardo, z tą szorstką energią w głosie, która często myli ludzi co do bezmiaru jego wewnętrznych rozterek. — Gdy ja jestem przygnębiony, gdy ja jestem pesymistyczny, to wiem dokładnie dlaczego. Twój pesymizm jest irracjonalny, nieludzki!

Ale Tomasz się przechwalał — tak mówiąc. W rzeczywistości wszystkie istotne przyczyny, na które chciałby się tu powoływać, błyskały jedynie przed jego oczyma na krótko — niepowiązane ze sobą, nieuchwytne — i przepadały w mgłach.

Tomasz Podleski był młodym poetą.

Młodzi poeci w owych czasach, bez względu na to z jakiego pochodzili środowiska, nie rozumieli prawd ekonomicznych tak bezpośrednio, jak bezpośrednio rozumiał je młody strajkujący tokarz, czy górnik. Tomasz żył przypadkami. Utrzymywał się raczej z drobnych pożyczek, niż z jeszcze bardziej znikomych honorariów autorskich. Było to życie pełne szamotania się i upokorzeń, których nie mogły wyrównać słowa pochwały za dobry wiersz, wydrukowany w miesięczniku literackim.

Tomasz czuł rzeczywistość, ale nie ogarniał właściwych przyczyn tego wszystkiego, co widział dookoła — i co krytykował. Był „opozycjonistą", sarkastycznym wrogiem panującego ustroju ekonomicznego i reżymu politycznego — ale był wrogiem naprawdę nie groźnym. Nie rozumiał historii, nie widział jej dość jasno. Umiał nierzadko wybuchać nienawiścią, albo ironią, lecz z najdotkliwszym swoim niepokojem — cóż miał robić? Gasił go co chwila w chłodnych dłoniach, w gorącej miłości Joanny. Ciemne oczy — jeżeli nie odwracały się z roztargnieniem, jeżeli patrzyły na twardą twarz Tomasza — lśniły słodko jak rozgrzeszenie.

Były to czasy, w których ludzi jego pokolenia i starszych starano się — w ówczesnym systemie rządów — odsuwać jak najdalej od problemów państwowych, od polityki, od wszelkich spraw publicznych. Jedynie z usług ludzi bardzo głupich lub bardzo cynicznych grupa rządząca korzystała łaskawie, wygwizdując na nich jak na fujarkach, swoje fałszywe melodie. Z drugiej strony tylko nieliczni — dzięki swej głębszej wiedzy teoretycznej z zakresu historii i ekonomii — zdobywali się na postawę ideologiczną dostatecznie sprecyzowaną, aby mogła być groźna politycznie. Tych wyłapywano pod jakimkolwiek pretekstem — choćby pod pretekstem posiadania w domu maszyny do pisania — i zamykano za „komunizm", którym to terminem posługiwano się tak szeroko, jak to tylko było w danej chwili potrzebne.

Natomiast Tomasza i jemu podobnych — bagatelizowano po prostu, utwierdzając ich w bezsilności, lekceważono. Była to metoda — dla osławionego „łamania charakterów" równie dobra, jak przekupstwo w stosunku do innych, słabszych, a bez porównania skuteczniejsza, niż więzienie. Tomaszowi wydawało się w owych czasach, że jest człowiekiem bardzo postępowym, a był w gruncie rzeczy czymś w rodzaju intelektualnego liberała, utopijnym demokratą o mglistej ideologii. I to właśnie — w konfrontacji z codziennym, praktycznym kształtem zjawisk, z własną opłakaną sytuacją materialną, z przejawami systemu politycznego w kraju, z narastającymi w świecie wydarzeniami, których nie ogarniał w ich przyczynach głębszych, niż bezpośrednie — to było głównym źródłem jego pesymizmu i jego bezsiły.

Joanna nie dociekała tych rzeczy. Dla niej cała trudność współżycia z Tomaszem sprowadzała się do trudności ściśle finansowych, których przyczyny widziała po prostu w swojej i jego niezaradności. A jednak kochając go — bazowała instynktownie na jego męskim stosunku do życia. Gdy niezadowolona ze swego dzieła, ze ślepo patrzącej głowy kobiecej, którą nadaremno usiłowała poprawić gniotąc i rozcierając glinę palcem, cofała się kilka kroków wstecz z oczyma coraz bardziej roztargnionymi — pragnęła właściwie jednego: wyjechać z tego miasta z Tomaszem, schować się gdzieś z nim razem w jakimś zachwycającym górskim ustroniu, zasnąć w jego bądź co bądź mocnych ramionach. Aż tak wielki — w gruncie rzeczy — był jej lęk przed życiem.

Tej wiosny miasto było przewiewne, jak pokład okrętu. Krótkotrwałe kałuże, krótkotrwałe chmury, krótkotrwałe słońce. W białym pałacu, wśród rozkwitających drzew parku, zgarbił się i umarł uparty dyktator, co w najmniejszym nawet stopniu nie wpłynęło na zmianę sytuacji politycznej w kraju. Sytuacja ta bowiem opierała się nie tylko na systemie dość sprawnie już zorganizowanym i kierowanym przez całą wojskową klikę dyktatora, wspieraną kapitałem wielkich właścicieli ziemskich, przemysłowców i finansistów — ale opierała się też w olbrzymiej mierze na politycznej naiwności, na słabości ideologicznej społeczeństwa. Warstwa chłopska zbyt daleka była od rewolucji. Masy robotnicze rozczłonkowane, rozbite. Głęboko w trzonie klas średnich i inteligencji rozrastał się — pod patronatem rządzących — straszliwy produkt degeneracji tkanki mieszczańskiej, nowotwór faszyzmu.

Pokolenie Tomasza szło albo z tym obłędem, albo po prostu z mgłą na oczach — ku zbliżającej się rzeźni. Ci rówieśni mu, którzy rozumieli procesy historyczne — nie dość silni dzięki słabości innych — tylko zaciskali pięści.

Faszystowskie Włochy przygotowywały się do bliskich już podbojów i interwencji. Hitlerowskie Niemcy robiły to samo w sposób jeszcze groźniejszy. Demokracje zachodnie koiły dusze wszystkich zaniepokojonych powiewem głębokiego liberalizmu, którym niewzruszenie przepojone były ich społeczeństwa, ich instytucje, ich formy ustrojowe. Łykano tę daleką atmosferę, jak pigułki nasenne, mniej uwagi poświęcając wymowie cyfr, notujących wzrost bezrobocia w tych krajach. A tymczasem — za tą atmosferą liberalną, jak za zasłoną dymną — wielki kapitał finansował niemieckie i włoskie przygotowania wojenne, aby ratować się od kryzysu.

Doświadczenia rewolucji rosyjskiej kryły się za murem — dla przeciętnego człowieka — nieprzeniknionym. Tomasz, jak wielu mu podobnych, sycił swój światopogląd urokami liberalizmu angielskiego — i tak, jak inni, do rewolucyjnego sąsiada wschodniego czuł niechęć, nieomal odrazę, mimo iż z celów forsownej w kraju i w świecie propagandy zdawał sobie teoretycznie sprawę. Propaganda ta była zbyt naiwna, zbyt wyraźnie jednostronna. Toteż przy całej swej niechęci łowił rzeczywiście z najlepszą wolą każdy wyślizgujący się z ciemności błysk prawdy. Tej wiosny robił to z uwagą większą, niż kiedykolwiek. Szukał przecież — jak człowiek w śmiertelnym niebezpieczeństwie, którego nie umie zmierzyć — równowagi pod stopą.

Szukał Ignacego Ziemby.

Nie znalazł go tam, gdzie zwykle siadywał przy szklance czarnej kawy ten człowiek tak małomówny i pospolity z wyglądu, że Tomasz nie odrazu zorientował się w niezwykłej atrakcyjności jego umysłu. Był on kreślarzem w pracowni słynnego architekta, Hirszberga. Hirszberga znał Tomasz już od paru lat i często przesiadywał u niego, popijając herbatę, którą podawała mu cicha,

STEFAN SZCZIPACZOW

DOMEK W SZUSZEŃSKIM

FRAGMENT POEMATU

I.

I znów w pogodzie nastąpiła zmiana.
Noc nad Szuszeńskim bez gwiazd i miesiąca.
I wzdłuż i wszerz zamiecią w krąg zawiana
Syberia ciągnie się na wiorst tysiące.

Jeszcze nie w jasnych pokojach Istpartu,
gdzie się o daty potykasz co krok,
ale jedynie na atlasu kartach
kraj Minusiński odnajdzie twój wzrok.

Jeszcze upłyną długie nędzy lata,
zanim rozbłyśnie października świt,
i te z pokładu „Aurory" armaty
są jeszcze rudą, która w górach tkwi.

Pali się świeca kołysząca cienie...
Zamieć ponura wieś od świata grodzi,
lecz tu, gdzie myśli, gdzie pracuje Lenin,
Po przez Szuszeński ziemska oś przechodzi

Już po północy, okno całe w śniegu,
a wciąż pracuje pióra jego ostrze.
Skroś zamieć zła dziewiętnastego wieku,
dwudziesty wieku, on już ciebie dostrzegł.

On wie, w czym Rosji siła niepojęta
i jaka przyszłość ją rozjaśni nowa.
Cóż, że atrament jeszcze niewyschnięty,
lecz nieśmiertelne są już jego słowa.

Domek od świata dzieli przestrzeń biała
lecz mróz na szybie wyhaftował wzór,
tu geografia jest Sybiru cała
od oceanu do Uralskich gór:

oto tu srebro jej równin szerokich,
tu, w igłach cały, las zasypał śnieg,
tam dojrzeć można gór wysokich stoki
i jak jelenie rogi linie rzek.

Na stole też bieleją nie stronice,
ale ten sam rosyjski śnieżny świat,
gdzie wciąż gubernie... i gdzie on w tablicach
Pamiętał także o tej jednej z chat...

w krąg ośnieżonej, z pochylonym płotem,
gdzie dwa tygodnie temu oto
rodzina ojca opłakała,
gdzie matka mnie na świat wydała.

Teraz przejęta ojca zgonem
o przyszłym losie syna wróży.
Przymarzły drzwi pokryte szronem
i wiatr śnieżycą w chacie kurzy.

W sieni, gdzie teraz pełno trwogi,
to brzęknie coś, to znowu skrzypnie w drzwiach.
A tam, gdzie zdarto deski od podłogi,
zlodowaciały widać piach.

Po deskach owych stąpał pradziad,
gdy wystrojony szedł na ślub,
trumnę z nich zrobić ktoś poradził,
w której pochłonął ojca grób,

Lecz on rozważył wszystko — i milczenie...
Na stole świecy niespokojny blask.
Cóż, że noc długa i, że zewsząd cienie
on całą Rosję widzi w taki czas.

Widzi stąd kręte zaułki Kazania
i biblioteki, i moskiewski gród,
i w oczach jego Petersburg się słania,
w granicie Newa toczy nurty wód.

Dzwonek umowny — wchodzi bez obawy.
Pokój... Na ścianie zegar pochylony
i ciężar czasu ciągnie łańcuch rdzawy,
odmierza sekund pochód monotonny.

Noc za rogatką głuche kroki liczy.
Natrętnym szpiclom trzeba zmylić ślady,
i znowu w kółku robotniczym
spogląda w oczy uczniów, blady.

O, ci nie zdradzą — na śmierć się odważą,
oczy każdego jak płomienie dwa.
W nich się marzenie twoje, Rosjo, jarzy,
w nich, klaso robotnicza, młodość twa.

Przełożył Kazimierz Andrzej Jaworski.

DEDALA

opanowana w każdym geście siostra architekta. Ale sam Hirszberg nie był bynajmniej cichy. W pokoju pełnym rysunków Picassa i akwareli Matissa — rozprawiał chodząc z kąta w kąt ten wieloletni Paryżanin o malarstwie, o architekturze, o poezji z taką kulturą i wiedzą, z taką prowokującą inteligencją, że Tomasz ani się spostrzegał, jak tkwił już całym sobą w najgwałtowniejszej dyskusji.

Dobrze było spędzać popołudnia z Hirszbergiem i zapominać o herbacie, która niedopita stygła! Tomasz Podleski, sam urodzony w domu, którego ołtarzem nie był nigdy drobnomieszczański kredens z porcelaną, ale biblioteka, reprodukcje Rafaela i obrazy modernistów — umiał cenić sjesty u Hirszberga.

Obok prywatnej pracowni architekta był duży pokój, obwieszony projektami budowli i masą rysunków technicznych. Tam, przy wielkich stołach pracowali trzej jego kreślarze. Zaintrygowało to Tomasza, że Hirszberg przy całej swej niezależności myśli i sądów, traktował jednego z nich ze szczególnym szacunkiem. I gdy pochylali obaj głowy nad rysunkami, wyglądało to, jakby dumali nad czymś znacznie ważniejszym. Tam zawarł Tomasz — zrazu tylko ciekawą, później dramatyczną — znajomość z Ignacym Ziembą.

Ale nie prędko doszło do ich pierwszej rozmowy. Intelektualizm i zmysłowość artystyczna Hirszberga były zbyt absorbujące, aby Tomasz mógł od tych spraw oderwać uwagę. Tym bardziej, że istniała jeszcze poza tematam' dyskusji rzecz inna między czterdziestoletnim architektem a młodym Tomaszem. Rzecz niedopowiedziana, omijana, a jednak wypełniająca sobą — przynajmniej tak się wrażliwemu Tomaszowi zdawało — najbardziej nawet znikome chwile milczenia. Rzeczą tą była sprawa Joanny.

Tomasz poznał Joannę w towarzystwie Hirszberga. Joanna przyjechała z Paryża z Hirszbergiem. Ponad wszelką wątpliwość Joanna była kochanką Hirszberga, chociaż oficjalnie i rzekomo — zaproszona została przez niego, jako rzeźbiarka, do współpracy w międzynarodowym konkursie na projekt jakiegoś ozdobnego gmachu, czy też mauzoleum. Tomasz zobaczył ją po raz pierwszy na otwarciu jesiennej wystawy obrazów. Wśród ruchomego tłumu zaproszonych — stała z Hirszbergiem na środku jednej z sal, w brązowym aksamitnym kostiumie, z trochę roztargnionymi, ciemnymi oczyma, w brązowym kapeluszu z miękkim dużym rondem, obca, inna niż wszyscy, nietykalna dama z portretu.

Niższy od niej Hirszberg, niższy, ale wyróżniający się swą piękną męską głową intelektualisty, z przyjacielskim uśmiechem pokazał jej Tomasza, który gapił się na nią, młodzieńczo ponury i onieśmielony z nagłego, aż przygnębiającego olśnienia. W tydzień potem Joanna przestała widywać się z Hirszbergiem.

Mimo swego młodego wieku, Tomasz wiedział już, że wyrzekanie się miłości kobiet tak samo nie przynosi szczęścia ich dotychczasowym towarzyszom życia, jak i poddanie się tej miłości. A jednak czuł swoją nieszlachetność wobec Hirszberga, czuł się winnym, jakgdyby rzeczywiście, rozwój tej całej sprawy od niego tylko był zależny. I jednocześnie dziwił się. Dziwił się chwilami szczerze, jak w ogóle mógł stać się dla Joanny człowiekiem ważniejszym od dojrzalszego, starszego, pełnego powodzenia i sławnego już architekta.

— Cóż chcesz? — tłumaczył Hirszberg z uśmiechem bardziej wyrozumiałym, niż ironicznym, podczas ich pierwszej i ostatniej rozmowy na ten temat. — Cóż chcesz? Joanna zakochała się w tobie po prostu. Pewnie w twojej młodości właśnie. Może wierzy w twoją przyszłość. Podobno kobiety miewają intuicję. Co, Tomaszu? Z pewnością. Cóż ja na to poradzę? A, prawdę mówiąc, to, że się zakochała, że się umiała, wybacz Tomaszu, tak właśnie wbrew swoim doraźnym interesom zakochać, to przywraca mi moje uznanie dla niej...

Ostatnie zdanie wypowiedział już w zamyśleniu. Przy następnej wizycie Tomasza, rozmowa toczyła się ze zwykłą werwą po stronie znakomitego architekta — o prozie Joyce'a i o surrealistach.

W tych okolicznościach nie łatwo było na terenie domu Hirszberga nawiązać bliższą znajomość z Ziembą. Dopiero gdy przypadkiem odkrył Tomasz niewielką kawiarenkę, w której Ziemba codziennie w przedobiedniej porze wypijał jednym łykiem swoje pół czarnej i nie siedział przy stoliku nigdy dłużej, niż piętnaście minut, nawet gdy się tam z kimś spotykał — wtedy dopiero rozpoczęły się pierwsze próby wymieniania myśli.

Słowa, które Tomasz usłyszał, mogłyby rozbudzić coś więcej, niż jego ciekawość. Przeraźliwie jasny pogląd na sprawy, tak dla Tomasza ciemne, mógłby nim wstrząsnąć do głębi. Ale Tomasz nie przeszedł jeszcze swojej „smugi cienia". Ignacy Ziemba zaś, ten pracowity kreślarz z biura architektonicznego, schowany za swoją pospolitą powierzchownością, jak za okopem, nie był człowiekiem skorym do rozmów z obcymi. Tomasza tolerował, a nawet nie taił przed nim niektórych swych myśli, prawdopodobnie tylko dzięki rekomendacji Hirszberga. Ponadto może polubił go z czasem w jakiś swój szorstki, specyficzny sposób. Lub też ze swej strony chciał raz w życiu spojrzeć z bliska w otchłań zupełnie nieznanej mu rozterki.

Ale tej wiosny spotkania ich się urwały. Ziemba przestał pokazywać się w kawiarence, nie widać go tam już od kilku tygodni. Nie pracuje już też w kreślarni Hirszberga. Hirszberg, pochylony z kredką w ręku nad poszkicowanym arkuszem, nie umiał wytłumaczyć Tomaszowi tej przeciągającej się nieobecności. Albo też nie chciał.

Tymczasem Tomasz natknął się na idącego Ziembę nagle, w tłumie przechodniów, w samo południe, na najruchliwszej ulicy miasta.

— Panie Ignacy — zawołał — cóż się z panem działo?

Ale Ziemba był bardziej lakoniczny niż kiedykolwiek. Po prostu nie chciał rozmawiać z Tomaszem.

Spadł przelotny deszcz i w asfalcie warszawskim zabłysło odbicie nieba. Tomasz poczuł się zmęczony i ciężki. Wizyta u wydawcy skończyła się zupełnym niepowodzeniem. — To nie to — oświadczono mu dobrodusznie, zwracając rękopis, — nowele dzisiaj nie idą. Na innej ulicy, w redakcji tygodnika, w którym miesiąc temu drukowano mu wiersze, otrzymał już trzeci raz z rzędu zapewnienie, że honorarium otrzyma najdalej za tydzień.

Zaszedł do kawiarni, aby rozejrzeć się wśród znajomych, do których nic go nie ciągnęło. Z za najbliższego stolika uśmiechnął się do niego sam Gabrysiewicz. Był dyrektorem Ligi Morskiej i Kolonialnej, a jednocześnie chyba najbardziej obojętnym Tomaszowi źródłem uśmiechu. Elegancki i jak gdyby pochylony nieco pod brzemieniem tajemnic stanu, dał Tomaszowi znak przychylny, aby się przysiadł.

— A może pan by pojechał? — zagadnął bez wstępów, obyczajem ludzi czynu, którzy nie tracą czasu na zbędne wyjaśnienia.

— Gdzież to? — zdziwił się jednak Tomasz, jako że był człowiekiem zwyczajnym.

Dyrektor Gabrysiewicz patrzył mu prosto w oczy. — Nasze zamierzenia — zaczął cedzić tonem poufnym — są zamierzeniami ludzi przewidujących rozwój wydarzeń i nie rezygnujących z niczego. Z niczego. Pan wie, jak bardzo potrzebujemy własnych kolonii w Afryce. Czeka na to cierpliwie całe życie gospodarcze kraju. Ale trzeba przygotować teren. Zakupujemy więc tymczasem za każdą cenę odpowiednie farmy, zakładamy na nich plantacje, osadzamy tam naszych tęgich polskich gospodarzy. Oczywiście przede wszystkim rolników. Ale nie święci przecież garnki lepią. Prawda? Tylko trochę męskiej inicjatywy, przedsiębiorczości! Cóż pan na to, panie Tomaszu?

Kolonie w Afryce... Tomasz Podleski zaniemówił. Spojrzał na brunatne Niemcy, na czarną Italię, na flotę handlową Anglii, a nade wszystko na owo „życie gospodarcze kraju" — i wybuchnął gwałtownym śmiechem, któremu starał się nadać pozory wesołości, a w którym dusił wezbraną nagle w obliczu idiotycznego absurdu całą swoją rozterkę, cały swój niepokój i całą gorycz niepowodzeń.

Śmiech Tomasza stawał się stopniowo tak urągliwy, że dyrektor Ligi Morskiej i Kolonialnej odchrząknął parokrotnie. — Znam pańskie niedowiarstwo i pańską ekscentryczność, drogi panie Tomaszu — zakończył chłodno. — Ale radzę panu, aby pan wreszcie o pewnych rzeczach zaczął myśleć poważnie.

I wstał. Pożegnali się na ulicy przed kawiarnią. Gabrysiewicz wsiadł do oczekującej limuzyny. — Niechże pan pozdrowi ode mnie panią Joannę — powiedział znowu uprzejmie i łaskawie, aby się rozstać z Tomaszem po przyjacielsku. A może i z innych powodów.

Obok kawiarni rozciągał się pawilon wystawowy plastyków, w którym Tomasz poraz pierwszy zobaczył Joannę. Jakże czuł się opętany wtedy — i jakże czuje się osamotniony tu, na chodniku ulicznym, w tej chwili. Joanna. W brązowym aksamitnym kostiumie, w miękkim kapeluszu z rondem, dama z portretu. Prześliczna, czarująca.

Tomasz zaczął oddalać się od tego miejsca, wymijając przechodniów. Była godzina szósta, i trzeba było schodzić już ulicami wdół ku Powiślu.

Tam czekały na zmierzch wiosenne kałuże. Gdy Tomasz zapukał do drzwi w umówiony sposób — Joanna, Joanna w długim, białym kitlu była tam, jak zawsze. Tomasz wszedł pomiędzy zamarłe w rozmaitych gestach posągi. Przeciągnął dłonią po swym czole i twarzy.

— Co robiłeś dziś przez cały dzień? — zapytała, myjąc ręce w kaskadzie wody nad zlewem.

Tomasz nie odpowiedział. Zbliżała się pora zmroku. Joanna zrzuciła kitel, na moment zabłysły jej piersi, włożyła granatową suknię, wyszli razem ku miastu.

Juliusz Żuławski

LUCJAN Z SAMOSATY

Diogenes i Aleksander

Lucjan z Samosaty jest pisarzem greckim z drugiego wieku po Chr. Śmiało można go nazwać Voltaire'm starożytności, żyjąc bowiem w epoce kwitnących jeszcze antycznych pojęć religijnych i narastających już wyobrażeń dogmatyki chrześcijańskiej stał się bezlitosnym satyrykiem tego, co było zabobonem w tych obydwu kierunkach. Światopoglądowo reprezentował sceptycyzm oświecony, z wyżyn którego dosięgał satyrą nie tylko obyczajowości, ale i filozofii, a sam skłaniał się ku cynizmowi, któremu nadawał postać gwałtownych ataków na bogaczy i na pojęcia im służące. Chociażby jego korespondencja literacka z ojcem bogów Kronosem, zjadliwie demaskująca przymierze bogów z bogaczami, mogłaby — mutatis nominibus — stanowić zupełnie współczesną satyrę na wykorzystywanie religii do obrony interesów klasy posiadającej.

Jest świetnym pisarzem, który z postępowymi poglądami łączy nader konserwatywne rygory purysty językowego. Jego ulubioną formą literacką jest dialog, od wieków zresztą przed nim zakorzeniony w greckiej prozie dyskursywnej. Napisał między innymi słynne „Rozmowy umarłych", wielokrotnie później naśladowane, żeby wspomnieć tylko Fontenelle'a, Fenelona i Savage Landora. Z tych właśnie dialogów wyjęta jest nasza rozmowa między Diogenesem z Synopy i Aleksandrem Wielkim, który — według powszechnie znanej anegdoty — na pytanie, kim chciałby być, gdyby nie był Aleksandrem, miał odpowiedzieć, że w tym wypadku pragnąłby zostać jedynie Diogenesem. Nie bez znaczenia dla literackiej koncepcji dialogu jest fakt, że ten, który posiadł najwięcej bogactw i władzy w świecie starożytnym oraz ten, który najbardziej w tym świecie bogactwami i władzą pogardza — ambitny zdobywca i „Sokrates obłąkany" (jak Diogenesa nazywali starożytni) umarli w tym samym 323-cim roku przed Chr., tyle, że Diogenes był podówczas 81-letnim starcem, a Aleksander 33-letnim młodzieńcem.

A. S.

Diogenes: No i cóż, Aleksandrze? Jednak i ty umarłeś tak samo jak my wszyscy?

Aleksander: Jak widzisz, Diogenesie. I nie ma w mojej śmierci nic osobliwego, skoro byłem człowiekiem.

Diogenes: A więc Ammon kłamał gdy mówił, że jesteś jego synem, podczas gdy ty byłeś synem Filipa?

Aleksander: Oczywiście, że Filipa, bo jako syn Ammona nie byłbym umarł.

Diogenes: A tu o Olimpiadzie coś takiego opowiadano, że miała schadzki z wężem i że widziano go w jej łóżku, skutkiem czego ty się urodziłeś, a Filip, który uważał się za twojego ojca, został oszukany.

Aleksander: I ja słyszałem to samo co ty, ale teraz widzę, że ani matka ani wróżbici Ammona nie mówili prawdy.

Diogenes: Wszelako ich kłamstwo okazało się nie bez pożytku dla twoich czynów, Aleksandrze, bo iluż to padało ze strachu w przekonaniu, że jesteś bogiem! Ale powiedz mi raczej, komu zostawiłeś tak olbrzymie państwo?

Aleksander: Nie wiem, Diogenesie, bo nie zdążyłem wydać żadnych rozkazów, tyle żem w chwili śmierci przekazał pierścień Perdikkasowi[1]). Ale z czegóż ty się tymczasem śmiejesz, Diogenesie?

Diogenes: Z czegóżby innego niż ze wspomnienia, co robiła Grecja, ledwieś objął władzę, jak ci schlebiała, jak wybrała za patrona i za wodza przeciw barbarzyńcom, a byli tacy, co łączyli twój rodowód z dwunastoma bogami, budowali ci świątynie i składali ofiary jako synowi węża. Ale powiedz mi, gdzie cię Macedończycy pogrzebali?

Aleksander: Jeszcze leżę w Babilonie trzydziesty dziś dzień, ale mój gwardzista Ptolomeusz przyobiecał, że gdy uwolni się od dokuczającego mu obecnie zamętu, przeniesie mnie do Egiptu i tam pogrzebie, abym się zjednoczył z bogami egipskimi.

Diogenes: Jakże więc nie mam się śmiać, Aleksandrze, skoro widzę, że nawet w Hadesie poddajesz się głupstwu i żywisz nadzieję na zostanie Anubisem lub Ozyrysem? Raczej lepiej by było, żebyś, boski panie, porzucił złudzenie, bo nie godzi się, aby wracali na górę ci, którzy już raz przebyli tę wodę i dotarli do jej ujścia. Zresztą ani Eak nie spełnia niedbale swych obowiązków ani Cerbera nie da się zlekceważyć.

Ciekaw zaś jestem bardzo, w jakim byłbyś nastroju, gdybyś przebiegł myślą, co za rozkosze zostawiłeś na ziemi, tu przybywając, ilu adiutantów, gwardzistów i satrapów, ile złota i hołdowniczych ludów, co za Babilon i Baktry, ile olbrzymich słoni, zaszczytów, sławy i to, że się ściągało wszystkie spojrzenia, jadąc z przepaską na głowie i w spiętej klamrą purpurowej szacie? Czyż nie odczuwasz bólu na myśl o tym? Czemu płaczesz, głupcze? Czyż nie uczył cię mądry Arystoteles, że darów losu nie należy uważać za trwałe?

Aleksander: Ten filozof? To najzgubniejszy ze wszystkich pochlebców. Tylko ja mogę znać wszystkie sprawki Arystotelesa, a więc o jakie rzeczy mnie błagał, jakie listy przysyłał, jak wyzyskiwał moją ambitną żądzę wiedzy, prawiąc pochlebstwa i chwaląc to z powodu piękności (jak gdyby i ta była przejawem dobra), to zpowodu czynów i bogactw. A i to jeszcze poczytywał za godziwe, że bezwstydnie brał ode mnie pieniądze. To oszust, Diogenesie, i kuglarz wierutny. Jego to mądrości zawdzięczam, że żal mnie ogarnia za tym wszystkim, coś przed chwilą wyliczył, jakby to były najwyższe dobra.

Diogenes: A czy ty wiesz, co masz uczynić? Ja ci dam lekarstwo na twój ból. Skoro ciemierzyca[2]) tu się nie rodzi, to pełnymi ustami pij wodę letejską, pij po raz drugi i dziesiąty. W ten sposób przestaniesz się dręczyć z powodu dóbr Arystotelesa. Ale dostrzegam oto Klitusa, Kallistenesa i wielu innych zmierzających w tę stronę, aby cię rozszarpać i pomścić krzywdy, które im wyrządziłeś. Pójdź przeto inną drogą i pij nie raz, powiadam.

przełożył **Adolf Sowiński**

[1]) Syn Aleksandra W.

[2]) uważana przez starożytnych za lekarstwo na obłęd.

KAZIMIERZ BRANDYS

CZĘŚĆ DRUGA

SAM

NAD GŁOWAMI śpiących ludzi zbierają się podobno dobre i złe duchy, przez całą noc wiodąc spór o to, które z nich dla siebie zagarną nadchodzący dzień. Jeśli dobre duchy zwyciężały, dzień miał być szczęśliwy; jeśli złe — biada nazajutrz nieszczęsnej ludzkiej głowie! Trzeba stwierdzić bezstronnie, że od roku 1939 dobre duchy nad żydowskimi głowami zachowywały się tchórzliwie; ktoś nawet powiedział, iż nie jest wykluczone, czy złe nie założyły dla nich obozów w rodzaju Treblinki. Jedno bowiem było niewątpliwe: od czterech lat Żydzi nie mieli szczęśliwych dni. Wstawali z łóżek i barłogów bladzi, milczący, wychudli, jakby od świtu przygnębieni obojętnością Mesjasza, który nie przychodził. Z wróżb, zawartych w księgach ich proroków, spełniały się tylko najgorsze, a obłąkany żebrak, z piersią okrytą wrzodami, codziennie przysięgał na rogu Żelaznej i Leszna, że widzi nad głową każdego Żyda unoszące się skrzydła kruka. Trudno byłoby rozstrzygnąć, ile w tym kryło się prawdy; — zły los jednak nie oszczędzał nawet żydowskich dzieci. Ludzie poważni zapewniali, że gubernator niemiecki Frank, rezydujący w Krakowie, podczas swego spaceru w warszawskim ghetcie sam strzelał z pistoletu do ośmioletnich Żydków, przekradających się przez dziurę w murze. Podobno miał wyższe ambicje, mieszkał na Wawelu i kazał się nazywać królem Polski. Pierwszy to był król polski, co strzelał do małych dzieci.

Widocznie tej nocy na Chmielnej złe duchy również zwyciężyły nad głową Jakuba, bo gdy obudził się po krótkim śnie, nie znalazł już woreczka z biżuterią, który mu powierzyła pani Rozenowa. Pamiętał, iż zasypiając czuł go jeszcze na piersi, więc zaczął przetrząsać pościel, w nadziei, że może zdarł go przez sen. Ale pościel jak pościel — nie kryła w sobie skarbów, a pod łóżkiem, gdzie zajrzał, macając rękami podłogę, także było pusto. Jakub przymknął oczy; klęcząc, oparł głowę o twardy brzeg posłania. Pomyślał, że nie dotrzymał obietnicy wobec pani Rozen; wypił za dużo i dał się oszukać lekkomyślnemu Gieniowi; widocznie pani Rozen zapomniała o swoim błogosławieństwie.

Po drugiej stronie firanki panowała cisza. Jakub wychylił się z wnęki; zobaczył pusty pokój, z rozgrzebanym tapczanem i resztkami wczorajszej kolacji na stole. Szybko wciągnął spodnie i zakradł się do toaletki. Otworzył jedną szufladkę, potem drugą; w jednej znalazł próżne słoiki po kremie, druga pachniała piżmem. Kiedy ją zamykał, drgnął nagle, bo wydało mu się, że w pokoju jest ktoś prócz niego obecny. Ale to był on, Jakub; przestraszył się własnego odbicia w lustrze. Zbliżył twarz do zimnej, gładkiej tafli i aby się o tym upewnić, powiedział głośno: — Jakub...

— Jakub... — powtórzył za nim cudzy głos. To Gienio, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię, wrócił z łazienki, która znajdowała się na korytarzu, i stał w otwartych drzwiach. On także przestraszył się pewnie, bo przybladł trochę i nie patrzył Jakubowi w oczy.

— Dlaczego mi to zabrałeś... — powiedział powoli Jakub — nie trzeba było tak robić. Czy myślisz, że chciałem z tym uciec?

— To nie ja — mruknął Gienio. — To Lucynka. Ona ciebie nie zna, Jakub.

— Ale ty mnie przecież znasz — mówił cicho Jakub — a jednak pozwoliłeś na to. Czy myślisz, że chciałem zatrzymać te rzeczy dla siebie? Twoja babka kazała mi się tobą opiekować, przyrzekłem jej...

— Nic jej nie mogłeś przyrzekać! — rozzłościł się nagle Gienio i wykrzywił twarz jak do płaczu. — Opiekować się! Tyś zwariował, Jakub, a ona miała gorączkę. Opiekować się? Ty mną? Przecież przed chwilą patrzyłeś w lustro, więc chyba wiesz... Jesteśmy po drugiej stronie muru, Jakub. Tu Żydów łapią jak zające... Spójrz na swoją twarz.

Jakub odwrócił się do lustra; znów zobaczył swoją twarz. Musiał przyznać w duchu, że jego wargi były grube i ciemne, oczy wypukłe, o połysku dojrzałych oliwek, a włosy tak skręcone i gęste, jak karakułowe futro pani Rozen, które zabrali Niemcy.

— Czy widzisz jakie masz czoło? — mówił Gienio. Stojąc za plecami Jakuba, także patrzył w lustro. — Tylko Żydzi mają czoła tak nisko zarośnięte. Spójrz jeszcze na swoje białka, Jakub. Są prawie błękitne. A który Polak ma taką śniadą cerę, w zimie, kiedy nie chodzi się nad Wisłę? Opiekować się... Lucynka powiedziała, że takich jak ty nie ma już po tej stronie i że małe dzieci nie dały by ci przejść ulicą. „On zgubi swoją twarzą — mówiła — siebie i nas, ale przedtem odbiorą mu pierścionki". Czy ty rozumiesz, Jakub? Taka twarz to dzisiaj zaraza dla wszystkich, co się boją o własne. Nikim się tu nie możesz opiekować, bo twoja opieka to śmierć, twoja przyjaźń, to śmierć...

Od dłuższej chwili Jakub nie słuchał, lecz uważnie spoglądał w lustro, gdzie obok jego twarzy, nieco głębiej odbijała się twarz Gienia Apfla. Tym razem również nie można było zaprzeczyć: Gienio, z jasnymi włosami, gładko przyległymi do skroni, z oczyma o niebieskich źrenicach i rzęsach koloru lnu, wydawał się — mimo, że jego uszy były lekko odstające — jak gdyby ulepiony z innej gliny niż on. Więc Jakub zamyślił się i powiedział marszcząc brwi: — Nie pamiętałem o tym.

Tego dnia zauważył na palcu Lucynki jeden z pierścionków pani Rozenowej, a nazajutrz w pokoju na Chmielnej odbyła się zabawa. Gienio okazał się nadzwyczaj pomysłowy: wieczorem zastawił szafą wnękę tak zręcznie, iż tylko kto bywał tu poprzednio, mógłby się domyślić, że za szafą nie ma ściany, lecz polowe łóżko, na którym leży Jakub Gold z dłońmi zaplecionymi pod głową. Wprawiło to Gienia w znakomity humor, krzyknął więc do Jakuba; — Jakub, czy mnie słyszysz? — Słyszę — odpowiedział Jakub trochę stłumionym głosem. — Jak tam jest? — wypytywał Gienio. Jakub stwierdził uczciwie: — Bardzo dobrze, Gieniu. Można tu mieszkać nawet rok. Gienio ucieszył się i obiecał Jakubowi, że kiedy goście będą zajęci zabawą, postara się wsunąć pod szafę talerzyk z pieczystem, aby Jakub nie sądził źle o jego przyjaźni. — Ja jestem złoty chłopak, Jakub — mówił do szafy z akcentem szczerości — za przyjacielem skoczyłbym w ogień. Owszem, człowiek miewa swoje humory, ale czasy są ciężkie dla wszystkich.

Zabawa trwała długo w noc; do uszu Jakuba dochodziły śmiechy, brzęk szkła, dźwięki patefonu, a nawet odgłosy kłótni. Bał się poruszyć, by go nie zdradziło skrzypnięcie łóżka, lecz zasnąć byłoby także niebezpiecznie, gdyż Pan Bóg, nie wchodząc w drobiazgi dzielące ludzi, których stworzył, pozwalał Żydom chrapać nie gorzej od szczepów aryjskich. Kiedy za szafą puszczano ładną płytę, Jakub czuł się wzruszony i wyobrażał sobie, że zamurowano go żywcem, jak Mazepę w tragedii Słowackiego, którą widział w szóstej klasie na szkolnym przedstawieniu. Ale czasem opadał go strach, bo przecież było jasne, że co innego Mazepa, natura kozacka, a co innego Jakub Gold, który pochodził z ulicy Łąkowej w P. Mimo iż sytuacja mogła się wydać podobna, wiele dzieliło ich różnic, a przede wszystkim ta, że Mazepa cierpiał na skutek omyłki, natomiast w wypadku Jakuba jego twarz wykluczała nieporozumienia. Leżąc po ciemku, Jakub dotykał jej rękami i kiedy za szafą goście śpiewali chórem: „Sto lat niech żyje nam!" — myślał, że gdyby Pan Bóg zechciał tej nocy spełnić jego gorące życzenie, poprosiłby o czapkę niewidkę.

Właśnie w chwilę potem, ledwie skończono śpiewać, zapadła tak niespodziewana cisza, iż Jakub zdumiał się i usiadł na łóżku, nadsłuchując, czy nie nastąpi teraz czyjś solowy popis. Rzeczywiście, z ciszy wydarł się nagle wysoki, ostry krzyk. Jakub zrozumiał, że ludzie w pokoju stracili chęć do zabawy i że krzyk brzmiał z korytarza. Trudno by rozpoznać, kto krzyczał, mężczyzna czy kobieta; to krzyczała rozpacz, która wszystkim ludziom daje podobny głos. Za szafą ktoś powiedział szeptem, żeby nie otwierać drzwi; Jakub usłyszał skrzypnięcie krzesła, a zaraz potem drugi krzyk. Nie trzeba się dziwić, że przycisnął do piersi obie ręce — tydzień temu taki sam krzyk słyszał na Lesznie, kiedy ludzi wyganiano z kamienic. Przyszło mu do głowy, że żydowska rozpacz powędrowała za nim przez mury aż tutaj. Krzyk nie rozległ się jednak po raz trzeci, tylko w pokoju, niedaleko szafy, ktoś mruknął: — Wychodzą — a Jakubowi wydało się, że to powiedział Gienio Apfel głosem trochę zmienionym. W moment później dobiegł gwar z korytarza; ciężkie kroki tuż pod drzwiami wprawiły w drżenie posadzkę, aż szkło na stole zaczęło lekko dzwonić. Wtedy koło szafy ochrypły głos Gienia znowu szepnął: — Poszli... Jakub wciąż siedział na łóżku, z głową wysuniętą naprzód, badając rękami serce, jak gdyby właśnie ono było bohaterem chwili. Dopiero, kiedy poprzez sklepienia wyłowił uchem dalekie zawarcie bramy — opuścił ręce. W pokoju panował już zgiełk, otwierano drzwi, kilka głosów na raz opowiadało sobie, że Żyd, którego zabili na miejscu, był synem krzyczącej Żydówki, którą wzięli do auta. Jakub słuchał uważnie, czując, że jego serce chce powtórzyć ten wysoki krzyk starej kobiety wołającej do Boga. — Taki głos — pomyślał — wydaje z siebie Żyd, kiedy zrozumie, że Bóg go nie widzi. Pod szafą nieznajomy mężczyzna wzniósł toast za powodzenie zebranych i Jakub znowu usłyszał Gienia, który mówił: — Było gorąco — po czym odezwał się patefon.

Gdy w czasie wojny z Hitlerem Żydowi udało się umrzeć w łóżku, poczytywano to za sukces, rodzina wysłuchiwała powinszowań, sam zaś nieboszczyk przechodził do wspomnień, jako autor strategicznego manewru, który wywiódł w pole przeciwnika. Rekord w tej dziedzinie pobił doktór Kon, ogólnie szanowany pediatra, posuwając się aż tak daleko, że na Wielkanoc roku 1943 zamknął spokojnie oczy w warszawskiej klinice „Omega", gdzie chorował na raka, ukrywany przez lekarzy-przyjaciół. Ta niezwykła śmierć wywołała pełne zazdrości komentarze wśród garstki ocalałych, którym groziła śmierć powszechnie wówczas przyjęta. Mówiono potem, że doktór Kon zawsze był „bon viveurem" i pozostał nim do końca. Na ogół bowiem Żydzi w tych latach zamykali oczy w warunkach dużo gorszych. Nie należy więc potępiać Jakuba Golda, że gdy usłyszał krzyk starej Żydówki, której zabili syna, przez resztę nocy dziękował Bogu za śmierć swojej matki. Sam dziwił się tej myśli, a przecież była logiczna: jego matka umarła na łóżku, niezbyt co prawda wygodnym, lecz jednak pod starą kołdrą z Łąkowej i z głową na czystej poduszce. Choroba trwała kilka tygodni, Jakub czuwał przy matce na zmianę z panią Rozen, wtedy jeszcze żywą, a nawet wesołą, choć nogi już jej puchły. Kiedy gorączka spadała, chora mówiła cicho: — Jakubek... — na co Jakub pochylał nad nią swą dawno niegoloną twarz i śmiał się: — Zobacz no, mamo, jaka sierść wyrosła twojemu Jakubowi... Wówczas pani Rozen grzmiała grubym głosem, jak zwykle gdy pragnęła usłyszeć siebie samą: — Idź, prześpij się, bo wyglądasz gorzej niż Piotrowicz, a my tu sobie, stare, pogadamy. Zawsze mówiła Piotrowicz zamiast Piotrowin i nie wolno jej było poprawiać. Jakub szedł zatem spać do pokoju pani Rozen, ale kiedy potem wstawał, aby ją zastąpić, nieraz witała go od progu przygasłymi oczami; wiedział wtedy, że w czasie jego snu znów powróciła gorączka.

Tej zimy, gdy dni wstawały szkliste i zastygłe od mrozu, wielu ludzi za murami poddawało się „generałowi zarazie" na chodnikach ulicznych, leżąc z rozpostartymi rękoma, podobni do zmarzniętych wron. Niektóre domy, gdy nikt nie pozostał w nich żywy, ogłaszały kapitulację zbiorową; można je było rozpoznać po deskach przybitych na krzyż u bram; znaczyły, że dom jest martwy i nie chce się dłużej bronić. Ponieważ Niemcy ze strachu przed tyfusem niechętnie wtedy przekraczali mury ghetta, rozeszła się wieść, że zaraza odegra tę samą rolę, co niegdyś Morze Czerwone, i Żydzi przejdą przez nią do Ziemi Obiecanej. Lecz na ogół nie dawano temu wiary, wskazując na dowolność analogii.

Jakub spędzał przy matce noce, zawiniety w płaszcz; zwilżając jej usta, słyszał, że prowadzi szeptem długie rozmowy z jego ojcem, przy czym raz powiedziała nawet dość wyraźnie: — Dziękuję ci, Leonie... Z początku Jakuba ogarnął lęk, lecz potem przyzwyczaił się do tego i po kilku dniach odpowiadał jej spokojnie: — Proszę cię, moja droga — sądząc, że nie oszukuje jej tą odpowiedzią, której udzielał zarazem w imieniu swoim i ojca. Gorączka trawiła ją zbyt szybko, i mimo, że pani Rozen krzyczała w chwilach lepszego humoru: — Pani jest kozak, pani Gold, zwycięży pani Hitlera! — jej ciało z dnia na dzień nikło pod kołdrą, stawała się coraz lżejsza, jak gdyby pragnąc, aby spotkanie z ojcem Jakuba, które mogło nastąpić jedynie wysoko nad ziemią, odbyło się bez kłopotu. Toteż, w przeciwieństwie do innych pacjentów z Leszna, którzy na tę samą chorobę umierali w burzliwym obłędzie, matka Jakuba odeszła cicho i niepostrzeżenie, niby na chwilę tylko przerywając jedną ze swych rozmów. Tego wieczoru mówiła wprawdzie trochę mniej wyraźnie, i kiedy Jakub usłyszał szept, musiał przybliżyć ucho do jej warg, aby zrozumieć, że powtarza jego nazwisko i imię. — Jakub Gold — mówiła ledwie dosłyszalnie — mój syn, panie strażniku. Numer... Wówczas Jakub odgadł, że w gorączce przywidział jej się dzień wizyt w więzieniu; chciał podpowiedzieć matce swój więzienny numer, którego zapomniała; — lecz on także nie umiał go teraz odnaleźć w pamięci. Właśnie w tej chwili karbidowa lampka zaczęła przygasać, więc odwrócił się i potrząsnął nią, aż wokół pojaśniało. Wtedy usiadł znowu i zmarszczył brwi z namysłem, szukając w głowie zagubionych cyfr. Ale już nie były jej potrzebne.

Jeśli więc człowiek umiera zgodnie z prawami medycyny, jeśli dają mu czas, by przyzwoicie skonał a innym — by mogli go opłakać, nie należy się zbytnio uskarżać na los. W rok po jej śmierci żydowskie matki ginęły nagie obejmując swoich nagich synów, w tłumie duszonym przez zielonkawy gaz o nazwie „Cyklon"; inne zabijano strzałem w głowę, zmusiwszy przedtem do krzyku, jakiego człowiek nie powinien wyrzucać z piersi. Dlatego Jakub chwalił Pana Boga, za to, że jego matka nie żyje, a fakt, iż mogło się to wydać niemoralne — nie był jego winą.

Kiedy rano Gienio odsunął szafę, zobaczył Jakuba już ubranego. Siedział na łóżku, obejmując rękami kolana, na których oparł głowę. — Jakub... — powiedział Gienio. Ale Jakub nie poruszył się; można by sądzić, że zasnął w tej niewygodnej pozycji. Wtedy Gienio zawołał Lucynkę. — Coś się z nim stało — szepnął wystraszonym głosem. — Dotknij go — poradziła Lucynka. Oboje stali w koszulach, oczy mieli jeszcze zapuchnięte od snu, włosy potargane. Tak ujrzał ich Jakub, kiedy podniósł głowę. Nie spał przecież i nic się z nim nie stało; słyszał jak Gienio odsuwa szafę, jak mówi do niego, a potem wzywa Lucynkę. Lecz Jakub wiedział, że po tej nocy nie byłoby przyjemnie rozpocząć dzień od widoku jego twarzy. Ranek wstał pogodny, wszystko uczynił wyraźne jak na dłoni, do kryjówki wlewało się światło — więc znów przymknął oczy i podparł głowę rękami.

— On nie może tu zostać — usłyszał szept Lucynki. Jakub spodziewał się tych słów, rozumiał bowiem, że po tej stronie murów ludzie także nie chcieli umierać; nie czuł jednak dość sił, aby zachować się jak dzielny człowiek. Siedział na łóżku, skulony, pełen wstydu, i gdyby ktoś obcy zajrzał tu przez drzwi, wiedziałby od razu, że schwycono Jakuba na nieładnym uczynku. — Jakub — powtórzył Gienio. Jakub otworzył oczy; zobaczył, że Gienio zrobił się blady, jak zawsze gdy zamierzał postąpić zgodnie ze swym słabym charakterem. Tym razem jednak poruszył tylko ustami i umilkł, przenosząc wzrok z Jakuba na Lucynkę. Oczy Jakuba tego dnia doprawdy musiały mieć szczególny wyraz, bo kiedy spotkał jej spojrzenie, Lucynka zaczęła krzyczeć, żeby na nią nie patrzał. Płacząc, zasłoniła twarz rękami, wtedy koszula opadła jej z ramienia, odkrywając pierś z różowym koniuszkiem. Kiedy indziej Jakub pewnie by się zawstydził, teraz jednak zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji nie był już mężczyzną, lecz tylko niebezpieczeństwem. — Gieniu — mruknął — powiedz, co ja mam robić...

— Zawsze byłeś taki zaradny — próbował się uśmiechnąć Gienio — przecież tam właśnie ty, Jakub, wiedziałeś co robić.

— Tam — zamyślił się Jakub — było co innego. Człowiek mógł się bronić. Tam nikt się mnie nie bał. Ja także się nie bałem. Ale tu... tu jest zupełnie inaczej...

— Niech pan tam wraca — pisnęła Lucynka. — Przecież można wrócić tą samą drogą. Niech pan stąd idzie.

Jakub pokręcił głową.

— Nie — powiedział — tą samą drogą nie można wrócić. Nie wdrapię się na mur. Ale może pójdę inną drogą.

— Tak — zachęcił Gienio — na pewno są jakieś przejścia. Jakub zawsze da sobie radę.

— Nie wiem — szepnął Jakub — boję się wyjść na ulicę. Pozwólcie mi poczekać, aż się ściemni.

Ale Lucynka zaczęła krzyczeć, żeby szedł natychmiast, a Gienio wahał się, znów blady i niezdolny do decyzji.

— Poszedłbym zaraz — tłumaczył Jakub — gdybym inaczej wyglądał. Tam na pewno kręci się dużo szpiclów. Nie mam takiej twarzy jak Gienio Apfel...

— Jabłkowski — szepnął Gienio — nazywam się Jabłkowski. Mam papiery na to nazwisko.

Wciąż stali nad nim, śledząc każdy jego ruch. Jakub namyślał się, marszcząc czoło i usiłował obudzić w sobie dawną zaradność, która po tamtej stronie murów zdobyła mu ludzki szacunek. Ale nie można było samego siebie oszukać: od chwili przejścia przez mur Jakub czuł się słaby, jak Samson po obcięciu włosów; ogarniał go strach, że za chwilę będzie musiał zejść z łóżka i opuścić kryjówkę. — Gdyby Wacek Pankrat mnie odnalazł — myślał — na pewno by mi pomógł. Tylko więzienie łączy ludzi, tam jest się podobnym do innych. Nie widział Pankrata od czasu, kiedy

SON (II)

się pożegnali na Kopińskiej. Potem trudno było się spotkać, ponieważ Niemcy rozdzielili murami przyjaciół, a nawet małżeństwa — mimo, iż w świecie cieszyli się opinią ludzi familijnych.

— Postanów coś, Jakub — odezwał się Gienio, który przytulił do siebie zdenerwowaną Lucynkę — zobacz, w jakim ona jest stanie. Wiesz przecie, że ja, gdybym mógł...

Jakub zwiesił nogi z łóżka i wstał. Oboje cofnęli się o krok, patrząc na niego ze strachem. Był zupełnie do nich niepodobny, co więcej — wydawał się niepodobny do wszystkich innych ludzi, do nikogo i niczego na świecie. Doprawdy, chyba tylko Pan Bóg mógłby wówczas o nim powiedzieć: — To jest Jakub Gold, ładny żydowski chłopiec, którego ulepiłem własnymi rękami. Ktokolwiek inny w tych latach musiałby zadrżeć na jego widok i pomyśleć, że to co widzi przed sobą nie jest człowiekiem, lecz tylko śmiercią dla jeszcze żyjących. A przecież spójrzmy: głowa Jakuba ma ładny kształt, jego włosy kręcą się podobnie jak u weneckich chłopców na renesansowych obrazach, a oczy, odkąd twarz mu schudła, są smutne i nie ma w nich złości. Widocznie wojna oślepiła ludzi. I cóż dziwnego: powstała z długiej nienawiści, która odbiera wzrok.

III.

Dzień był nadzwyczaj jasny, kiedy Jakub znalazł się na ulicy. W takich dniach ginęło podobno najwięcej Żydów, gdyż zachowywali się wówczas niespokojnie, jak gdyby wiatr ich zagnał na pełne morze, gdzie człowiek nie ma oparcia. Tak czy inaczej, należy stwierdzić, że powietrze sprzyjało im w tych latach jedynie wtedy, gdy było równie ciemne jak oni sami. Już zresztą w poprzedniej wojnie znaczenie barw ochronnych zostało docenione w całej rozciągłości.

Gdyby mały człowieczek, stojący w bramie na Chmielnej, nie był go obrzucił podejrzliwym wzrokiem, kto wie czy Jakub potrafiłby uczynić krok naprzód. Ze strachu przed jego oczami ruszył jednak prędzej niż inni i potrącił przechodzącą kobietę, której wypadła z ręki torba. — Uważać... — warknął tuż przy nim obcy głos. Jakub mruknął: — Przepraszam — i zaczął biec przed siebie, czując na plecach cudze oczy. Dopiero kiedy zabrakło mu tchu, zatrzymał się przy witrynie, za którą w sztucznym śniegu z waty stała choinka z czerwonymi lampkami i złotą gwiazda na szczycie. Jakub pomyślał, że widzi to po raz pierwszy od wielu lat; przypomniało mu się, jak w P., wracając ze szkoły, oglądali z Tolem Szarlejem wystawy świąteczne na Długiej—(Mój ojciec nie uznaje mniejszych choinek niż pod sam sufit — mówił Tolo) — i zdumiał się, że w takiej sytuacji podobne wspomnienia mogą przyjść do głowy. W szybie zobaczył swoją twarz, której odbicie przesłoniło choinkę i śnieg; przeląkł się i podniósł kołnierz płaszcza.

Po chwili doszedł do rogu Marszałkowskiej, skąd było słychać dzwonienie tramwajów. Tu przystanął, rozglądając się bezradnie, bo nie wiedział którędy trzeba iść, aby odnaleźć mury. Popychany przez tłum, zmarznięty, oszołomiony zgiełkiem, oparł się plecami o ścianę domu, usiłując uporządkować w pamięci ulice miasta, po których Żydzi nie chodzili od trzech lat. Ale co chwila obce oczy, patrzące mu w twarz, sprawiały wielki zamęt w jego głowie, myśli rozsypywały się od razu. Mecenas B opowiadał niedawno, że kiedy po raz pierwszy znalazł się na ulicy po ucieczce z ghetta, cudze spojrzenia rzucały nim we wszystkie strony, jak fale zabłąkaną łodzią. — Sztuka tkwiła w tym — twierdził — aby ustawić się dziobem przeciw falom i załapać nadzieję, jak pomyślny wiatr. Wtenczas łódź, proszę was, była ocalona.

Lecz Jakub nie czuł w sobie nadziei; przeciwnie, mogło by się zdawać, że lęk podciął mu nogi: wciąż stał w tym samym miejscu, jakby czekając aż ściana, o którą się opierał, sama z nim ruszy przed siebie. Miał jeszcze tyle rozsądku, aby zasłonić kołnierzem twarz; z pod nasuniętego daszka widać było tylko jego oczy; ale żydowskie oczy łatwo poznawano w tych dniach. Od paru chwil patrzał na niego chudy mężczyzna w kaloszach, w szarym paletku i czapce z nausznikami. Kręcił się na rogu, drepcząc w kółko, wreszcie przemówił do Jakuba. — Panie, odejdź pan stąd — powiedział bez złości i dodał, że niedaleko są tacy, co mogą z Jakuba zrobić Hitlerowi prezent na gwiazdkę. — Po co pan tu stoisz? — tłumaczył, przydreptując w miejscu dla rozgrzewki — po co się pan gapisz, jakbyś własne ślepia wystawiał na sprzedaż. Wracaj pan za mury, narzeczona tam czeka. Roześmiał się i wysmarkał nos na śnieg, ująwszy go delikatnie w dwa palce; potem znów zaczął podskakiwać, jak wróbel, nawołując przechodniów, żeby kupowali choinki, których gęsty lasek stał na placyku za rogiem. Jakub poczuł dla niego wdzięczność i powiedział: — Dziękuję. — Ech! — wzruszył ramionami sprzedawca, trochę zdziwiony — mnie nic do tego, rób pan co chcesz... Na gwiazdkę! — wrzasnął naraz, zastawiając sobą Jakuba — drzewka zielone, drzewka! Jakub skurczył się za jego plecami. Trzech ludzi w hełmach szło powoli chodnikiem.

Tymczasem zaczął padać śnieg. Zszarzało trochę, wielkie, strzępiaste płaty skośnie opuszczały się na ziemię, tłum zgęstniał, ale jakby przycichł, tylko tramwaje wciąż dzwoniły, zgrzytając po szynach. Niewiadomo kiedy i którędy Jakub zaszedł na pustą ulicę, gdzie ruch był pewnie niewielki, bo śnieg leżał na jezdni biało i spokojnie. Domy miały tu tylko jedno piętro, kilka z nich, w tym jeden drewniany, stało w głębi, oddzielone płotem od chodnika; z podwórza dolatywał odgłos kucia podków, a kobieta w chustce szła pod ścianą, dźwigając czerwone wiadra. Postawiła je obok Jakuba i uśmiechnęła się do niego, strząsając śnieg z chustki. — Rury zamarzły — powiedziała — a tu śpiesz się, kobieto, bo chłopy zaraz od roboty wrócą! Miała pomarszczoną twarz i jasne okrągłe oczy. — Tak — odrzekł Jakub; przypomniał sobie, że jego matka chętnie wdawała się w pogawędki z takimi kobietami, zwłaszcza na wsi, podczas wakacji, gdy czasu było więcej.

— A pan z drogi? — spytała, znów podnosząc wiadra.

— Z drogi — odparł Jakub. Poprawił plecak na ramionach i wtedy rozchylił mu się kołnierz, odsłaniając twarz. Ruszył naprzód, a gdy po kilku krokach odwrócił głowę, kobieta stała w tym samym miejscu, patrząc za nim bez ruchu. Uciekł więc, biegnąc blisko ścian w kierunku poprzecznej ulicy. Była zamknięta w głębi czerwonym murem. — Boże mój... — szepnął Jakub.

Ostatkiem sił skręcił na prawo. Dzieliło go teraz od muru zaledwie pięćdziesiąt kroków. Zapomniał o ostrożności i stał na środku jezdni. Mur sięgał pierwszego piętra. Jakub pomyślał, że przejść tędy nie można, wracać nie ma po co. Śnieg padał mu na twarz mokrymi gwiazdami, które topniały szybko. Wokoło było pusto i Jakub na próżno rozglądał się za ludzkim śladem. Zdawało się, że pozostawiono tę ulicę samej sobie, jak gdyby mur, wyrosły od ściany do ściany, zniechęcił wszystkich mieszkańców. Po drugiej stronie również panowała cisza; okna w domach były zamknięte, nie dobiegał stamtąd żaden głos — może śnieg, który także spadał tam na ziemię, głuszył kroki przechodniów.

Lecz w chwilę potem Jakub podniósł głowę; patrząc po dachach zrozumiał, że tu, gdzie stoi, nie jest sam, bo z komina na lewo wypływał dym, powoli wnikając w niebo. Usłyszał jednocześnie szelest za plecami, więc obejrzał się i zobaczył małego chłopca, który ciągnął po śniegu drewnianą krowę na kółkach. Jakub chrząknął uprzejmie, po czym dotknął daszka, mówiąc: — Dzieńdobry. Ale chłopiec nie odpowiedział, tylko zasłonił sobą krowę, przyglądając się Jakubowi biękitnymi oczkami. — Nie bój się — powiedział Jakub — nie zabiorę ci jej. Chłopczyk zmarszczył brwi i mruknął: — Tylko spróbuj... Mój tatuś by ci dał. Spod wełnianego czepka z pomponem sterczał mu nosek czerwony od mrozu; gruby szal, który przepasywał go nakrzyż aż pod pachami, spinała agrafka, a jego rękawiczki pochodziły widocznie z dwóch odmiennych źródeł, gdyż jedna była zielona, a druga niebieska. — Nie myślę nawet próbować — uśmiechnął się Jakub — ale powiedz mi, ile masz lat? — Cztery — oświadczył chłopiec trochę znudzonym głosem i zaczął ciągnąć krowę naokoło Jakuba. — Cztery... — powtórzył Jakub tknięty dziwną myślą, której nie wyrzekł głośno: jeżeli masz cztery lata, to znaczy, że urodziłeś się tuż przed wojną, więc jest możliwe, że nie wiesz jak wygląda żydowska twarz...

— Słuchaj — odwrócił się do chłopca, który przykucnął nad krową — gdzie mieszka twój tatuś? Spójrz na mnie... — dodał ciszej, odchylając kołnierz. Chłopczyk nie odpowiadał, zajęty pomocą dla krowy, która leżała na boku, nie chcąc wstać. — Spójrz na mnie — prosił go Jakub; przykucnął koło niego i wyciągnął rękę, aby postawić zabawkę. Ale wtedy chłopczyk wrzasnął wniebogłosy i zaczął uciekać w stronę domu na swych krótkich nóżkach, porzuciwszy w śniegu przewróconą krowę. Jakub wziął ją do ręki, wstał i poszedł za nim.

Drzwi do suteryny były jeszcze uchylone; nie pukając, zapytał od progu, czy może wejść. Chłopczyk stał już bez czapki, młoda kobieta rozwijała go z szala, na kuchni bulgotała woda. — Nie bój się — powiedział Jakub, kiedy chłopczyk znów skrzywił się do płaczu — odnoszę ci tylko twoją krowę. Mężczyzna, śpiący z głową na stole, obudził się i spojrzał na Jakuba. Milczeli wszyscy chwilę; Jakub wciąż czekał w drzwiach; stojąc nieruchomo, słyszał jak stopniały śnieg kapie z jego płaszcza na ziemię. — Czego pan tu szuka? — mruknęła kobieta, odgarniając ręką pasmo włosów z czoła. — Przejścia — odparł Jakub nieco ochryple; wskazał oczami stronę, gdzie znajdował się mur. Spostrzegł, że tamci oboje wymienili ze sobą spojrzenie i przeląkł się. — Przecież pani widzi — szepnął — kim jestem. Dam wszystko, co mam w plecaku. Znów zasłonił twarz, tym razem tylko po to, aby jej widokiem nie wzbudzać w nich złości.

— Cmentarz — odezwał się nagle mężczyzna z za stołu — tam już, panie, jeden cmentarz, po co się pchać w mogiłę. Niech pan wraca do miasta, tu przejście było, póki tam w domach byli ludzie. — Nie ma teraz ani żywej duszy — dodała kobieta, uroczyście krzyżując ramiona na piersiach — dziesięć ulic wymietli przez jedną noc. Takich jak pan brali pierwszych. Teraz nawet płaczu tam nie słychać, tylko wiatr...— westchnęła, przesuwając garnek. — Niech pan wraca — powtórzył mężczyzna — nie ma tam po co iść.

Jakub oparł się plecami o drzwi, bo poczuł, że sił mu brak. Wtedy mężczyzna przysunął stołek i powiedział, żeby Jakub odpoczął. — Zaraz się zciemni — oznajmiła kobieta — będzie pan mógł wracać.

— Proszę państwa — odezwał się Jakub — ja tam nie mogę wracać, bo nikt mnie nie weźmie do siebie, nawet na jedną noc. Dlatego muszę przejść przez mur. Dam plecak i płaszcz, nie bardzo jeszcze zniszczony.

Mężczyzna poczęstował Jakuba tytoniem; skręcając bibułkę spytał, kogo Jakub ma za murem. — Nikogo — odpowiedział Jakub — ale wolę być razem z innymi. — Dziesięć lat jestem tu dozorcą — rzekł powoli mężczyzna — więc tamtych ludzi znam nie od dziś. W tym domu — wskazał palcem sufit — mieszkała przed wojną żydowska bieda. Tej zimy niejeden chłopak przekradł się stamtąd na drugą stronę i żaden nie chciał wracać za mur. Każdy powiadał: tyle nas zostanie, co wy się zlitujecie. Szli do miasta, jeden za drugim, kiedy się zciemniło. I jak pan myśli? Że wszyscy poginęli? Ja mówię, panie, że może dużo poginęło, ale jeżeli kto głowę wyniesie, to tylko jeden z takich, co nie chcieli wracać... Niech pan sobie przypomni — poradził — niech pan sięgnie do głowy raz i drugi, a znajdzie się sposób.

— Nie mam tu nikogo — powtórzył Jakub.

— Zawsze się kogoś ma na świecie — powiedziała kobieta — tylko nie zawsze człowiek o tym wie. Czasem inni ludzie przeszkodzą, albo trafi się na złą godzinę.

— To prawda — potwierdził Jakub.

Dozorca, który milczał chwilę, teraz zapytał Jakuba, czy pochodzi z Warszawy. Jakub zaprzeczył ruchem głowy, a potem dodał, że chociaż urodził się gdzieindziej, to jednak w Warszawie mieszka już ósmy rok. — Lecz mimo to — tłumaczył — nie znam tu nikogo... Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale po tych słowach umilkł z otwartymi ustami, jak gdyby przyłapano go na kłamstwie.

Na ulicę Kruczą Jakub dotarł w zupełnej ciemności. Po śnieżnym dniu wieczór zapadł wilgotny, nisko przykryty chmurami. Ludzie poruszali się w milczeniu, słychać było tylko człapanie nóg po rozmokłych chodnikach. Jakub przestał się bać. Odgłos jego kroków brzmiał tak samo, jak kroki innych przechodniów. Ocierał się o nich w przejściu, nieraz naumyślnie, aby móc powiedzieć: — Przepraszam — zwykłym swoim głosem, który nie wzbudzał podejrzeń. Ciemność była bezpieczna, Jakub szedł więc powoli, ciesząc się nią, podobnie jak ludzie z miasta cieszą się zapachem lasu. Co pewien czas zatrzymywał kogoś, pytając o drogę; trochę wzruszony — słuchał ludzkich słów, które poprzez mrok zwracano do niego życzliwie. Powtarzał wtedy kilkakrotnie — Dziękuję, dziękuję — i, przywołując rozsądek, odchodził w swoją stronę. Dopiero na Kruczej przyśpieszył kroku. Kiedy odnalazł dom, którego szukał, Jakub poczuł, że ucieka z niego nadzieja. — Sześć lat — pomyślał z rozpaczą — czy on jeszcze mieszka w tym domu?... Przeraził się nagle swojej myśli, gdyż zrozumiał, że jego los zawarty jest w najbliższej chwili. Zawsze przyjemniej nie wiedzieć, która chwila rozstrzygnie o naszym losie, i albo mieć o nim pojęcie bardzo niedokładne, albo też ufać, że zależy on tylko od nas samych.

Na schodach nie było światła. Jakub przystanął na pierwszym piętrze, nadsłuchując, czy z góry nie rozlegną się kroki. Wolał spróbować szczęścia, niż pokazywać twarz dozorcy. Nie chciał także zbyt szybko rozstawać się z życiem. Trzeba to wyjaśnić: godzina była późna, bezdomnym niewiele pozostało czasu; o tej porze, kto nie miał dachu nad głową, tego czekały puste, czarne ulice. Tam noc tylko tym różniła się od śmierci, że trwała dłużej. Więc Jakub bał się usłyszeć złą nowinę; postanowił czekać na schodach, póki go nie wypędzą albo nie przygarną.

Lecz po kilku minutach z dołu dobiegł go odgłos kroków. Ktoś wchodził powoli, odpoczywając często, jakby niósł ciężar. Kiedy przybliżył się na odległość stopnia, Jakub usłyszał nagle swoje własne słowa: — Przepraszam. Czy tu mieszka pan Józef Malina?

Nieznajomy milczał przez moment; Jakub czuł na sobie jego wzrok. Poczem w ciemności rozległ się spokojny głos, który w długi czas później brzmiał w uszach Jakuba. — Panie Malina... — szepnął wtedy — panie Malina... I czując, że opuszczają go siły, schwycił się ręki kasjera. — Kto to? — zapytał głos Maliny, a jego ramię podtrzymało Jakuba. W ciemności błysnęła latarka; krąg światła przesunął się powoli i padł na ścianę, ukazując twarz Jakuba, po której spływały grube krople potu.

W chwilę później obydwaj siedzieli w kuchni Malinów. Z pod stołu wylazł czarny pudel i usiadł naprzeciw nich, patrząc poważnie na Jakuba. — Nazywa się Atos — wyjaśnił kasjer — mój syn przywiózł go ze Szwajcarii na krótko przed wojną. Przyzwyczaił się do nas.

Jakub słuchał, trzymając po swojemu głowę nisko opuszczoną. Czekał, kiedy Malina zapyta go, po co tu przyszedł. Na takie pytanie trudno było odpowiedzieć szczerze: przyszedłem tu, panie Malina, aby mnie pan ocalił przed śmiercią, narażając własne życie. Jakub postanowił więc prosić kasjera o schronienie na jedną tylko noc. — Nie powinien mi tego odmówić — myślał, śledząc wzrokiem Malinę, który, odwrócony plecami, rozpalał ogień na kuchni. Był to ten sam kasjer Malina, z którym Jakub spędził długie miesiące we wspólnej celi — a jednak wiedział przecież, że od tego czasu wiele zmieniło się między nimi. Życie w więzieniu, jakkolwiek uważane za karę, posiada tę zaletę, że pokazuje ludziom, jak bardzo są do siebie podobni. Natomiast wolność, której Jakub zaznał po opuszczeniu celi, pouczyła go o tym, że największą sprzecznością w naturze mogą być dwaj ludzie. Na przykład, proszę: Jakub Gold i Józef Malina. W więzieniu żyli jak brat z bratem, lecz teraz Jakub tłumił w sercu niechęć do kasjera za jego czystą kuchnię, bezpieczny dach nad głową, i za psa, który ma tu lepiej niż niejeden człowiek na świecie. — Wielkim nieszczęściem Żydów w naszych czasach — powiedział pewnego razu kolega S., który zginął w ghetcie — jest nie tylko to, że otacza ich nienawiść, lecz również, że zmusza się ich do nienawiści.

Ale mimo, iż policyjna godzina niedługo miała minąć, kasjer nie pytał Jakuba o nic; przeciwnie, zachowywał się spokojnie i pogodnie. Poradził Jakubowi, żeby zdjął płaszcz — gorąca herbata, jak mówił, musi z człowieka wyparować bez przeszkód; przy tej okazji opowiedział anegdotę o syberyjskim kupcu, który pijąc herbatę rozbierał się do naga. Jakub wodził za nim oczyma i otwierał je szeroko, aby nie zasnąć. Chwilami nie słuchał wcale, co opowiada Malina, tylko rozglądał się po kuchni, usiłując odgadnąć, czy kasjer żyje samotnie; na krótko zakradło mu się do serca marzenie, że żona Maliny umarła i że on, Jakub, do końca wojny będzie sypiał w jej łóżku. Lecz w tym właśnie momencie z za ściany dobiegł szybki terkot maszyny do szycia, a kasjer, widząc niepokój w spojrzeniu Jakuba, powiedział: — To żona. Szyje, jak zawsze. Wtedy Jakub jeszcze niżej pochylił głowę, żałując swojej myśli.

— Szyje, jak zawsze — powtórzył Malina — gdy jest trochę roboty. Choć trzeba przyznać, że jest jej coraz mniej, a i ona straciła serce do pracy, odkąd umarł nam syn. Żyjemy tu we troje z siostrzeniczką, biedactwem, chorym na płuca... no i z nim — dodał wskazując pudla, który podniósł łapę.

Jakub słuchał uważnie. Z dawnych rozmów w celi pamiętał, że mieszkanie na Kruczej miało dwa pokoje. Teraz, kiedy znał już obecne życie kasjera, nie mógł się dłużej łudzić, że go tu przygarną. Siedział z

rozpaczą w sercu i patrzył jak Malina przeciera chusteczką binokle, które trzymał w swych chudych palcach, o równo przyciętych paznokciach.

— Z Szwajcarii wrócił w 39-tym roku. W sam czas. Był zdrów, chodził szybciej niż ja, mimo, że o lasce. Dostał posadę w Monopolu, żona również zarabiała wtedy nienajgorzej, więc po wyjściu z więzienia dalej mogłem sobie żyć tak samo spokojnie jak tam. — Kasjer przerwał i poszukał wzrokiem z za szkieł spojrzenia Jakuba. — Wzięli go na ulicy we wrześniu 40-go roku — mówił cicho — umarł w obozie po czterech miesiącach.

Zapytał po chwili Jakuba, co o tym sądzi. — To wielkie nieszczęście, panie Malina — rzekł Jakub, nie wiedząc, co innego odpowiedzieć. — Tak — zgodził się kasjer poważnie — to wielkie nieszczęście. Od tego czasu oboje z żoną jesteśmy, że tak powiem, złamani. Osiwiałem, jak widzisz — dotknął palcem resztki włosów na skroni — osiwiałem na skutek złych myśli. Wytłumaczył Jakubowi, że najbardziej dręczy go świadomość własnej winy. — Gdyby był umarł przed wojną — mówił — miałby przynajmniej ludzką śmierć. A tak — sam go skazałem na gorszą. Jak myślisz, Jakub — spytał niespokojnie — czy za pieniądze, które dla niego ukradłem, opłaciło mu się żyć trochę dłużej, aby tylekroć gorzej umierać?

Lecz na to pytanie Jakub nie umiał odpowiedzieć.

— Od tego czasu — dokończył Malina — nie wierzę w nic. Najlepsze dni przeżyłem w więzieniu, bo tam miałem choć pewność, że jestem niewinny. Ale odkąd on umarł, straciłem nawet i to. Obecnie handluję wódkami, i aby odciążyć nieco żonę zajmuję się także gospodarstwem. Sprzątam, gotuję, naprawiam zniszczone meble, i tak czas upływa.

— Ja także — odezwał się Jakub — dobrze wspominam więzienie.

Kasjer, który, siedząc z głową opartą na dłoni, zdawał się rozważać jeszcze w myśli ostatnie swoje słowa, teraz ocknął się nagle i spojrzał na Jakuba.

— Przepraszam cię, Jakub — powiedział cicho, wyciągając rękę przez stół — nie pytałem przecież o twoje sprawy...

— Moje sprawy — odparł Jakub — to są żydowskie sprawy. Ludzie przyzwyczaili się do tego, że my musimy zginąć. Niewiele miałbym do opowiadania, panie Malina.

Opowiedział jednak pokrótce swoje dzieje, od wyjścia z więzienia do ucieczki z ghetta i nieszczerej przyjaźni Gienia Apfla. Malina słuchał, patrząc na niego uważnie z za szkieł. Kiedy Jakub skończył i wbił wzrok w swoje ręce, zaplecione na kolanach, kasjer znowu nalał herbaty; kładąc dłoń na ramieniu Jakuba, powiedział: — Cieszę się Jakub, że przyszedłeś tutaj.

Jakub nie spodziewał się tak prostych słów. Milczał długo, głośno przełykając ślinę, i przenosił wzrok z pudla, który nie spuszczał zeń swych czarnych oczek, na rękę Maliny spoczywającą na jego ramieniu. Trudno mu było ukryć wielkie swoje zdumienie na wieść, że mógł tego wieczoru swym przyjściem sprawić komuś radość. Sam przecież przywykł do myśli, że jego twarz — wielekroć potępiona publicznie — jest gorszą zbrodnią, niż ta, którą popełnił był przed laty i którą znał Malina.

— Panie Malina — szepnął wreszcie, wykręcając głowę ku twarzy kasjera — niech mi pan poradzi, co mam teraz zrobić...

— Zostać tutaj — odpowiedział kasjer, po czym cmoknął na psa, który wstał oblizując językiem spiczasty pysk. Jakub zamknął oczy i westchnął, a kiedy je otworzył, ujrzał Malinę z blaszaną miską w ręku. — Atos chce pić — wyjaśnił kasjer; dodał, że niemiecka kaszanka jest zbyt pieprzna i wzmaga pragnienie.

— Tak — zgodził się Jakub. Przywołał na pomoc cierpliwość i mocno zacisnąwszy szczęki, patrzył błagalnie w plecy Maliny, czekając aż kasjer znów się do niego odwróci. Po długiej chwili spotkał wreszcie jego wzrok. Otworzył usta, ale Malina odezwał się pierwszy:

— Widzisz, Jakub — powiedział z uśmiechem — jak to życie zwyczajnie się toczy. Obiecywaliśmy sobie w więzieniu, że się spotkamy kiedyś na wolności. No i proszę: siedzisz u mnie w kuchni. Spotkaliśmy się przecież i obaj jesteśmy wolni.

— Jak długo mogę tu zostać... — zapytał Jakub.

Wtedy kasjer szeroko rozłożył ręce, jakby na znak, że nie jest panem Bogiem.

— Jak długo zechcesz — odparł — jak długo potrafisz. Chciałbym żebyśmy tym razem obaj wyszli na wolność, wraz z wszystkimi, po odsiedzeniu wspólnego wyroku.

Patrzyli sobie w oczy dawnym więziennym spojrzeniem, które lepiej niż słowa mówiło o tym, czego pragną i co sądzą o świecie.

(dalszy ciąg nastąpi)

Kazimierz Brandys

JACEK BOCHEŃSKI

OGRÓD

OD BARDZO dawnych lat, a przynajmniej na tyle odległych, że mnie — młodemu jeszcze człowiekowi — wydają się dawne, pragnąłem zostać pisarzem. Ale dobrym. Bo tak się składało, że widziałem w życiu swoim wielu ludzi, którzy byli literatami, o których jednak nikt nie mówił: „To genialny pisarz", albo „To mistrz na miarę Dickensa naszych czasów" lub coś w tym guście. Ci literaci wydawali mi się bardzo skrzywdzeni przez los. Wyglądali tak mniej więcej jak nieszczęśliwi młodzieńcy z czasów Wertera, którzy urodziliby się o półtora wieku za późno i zakochali w utrzymance mego znajomego dyrektora spółdzielni rolniczej. Zdawało mi się — pewnie zresztą mylnie — że za dawnych czasów, kiedy podziwiano urodę, delikatność uczuć i subtelne upodobania, łatwiej jakoś było żyć lichemu pisarzowi. Zdawało mi się, że w cieniu romantycznych krajobrazów, które na starych litografiach otaczają Goethego lub Mickiewicza, mógł bezpiecznie ukryć się niejeden pomniejszy śpiewak, nie uskarżając się na złe traktowanie przez współczesnych. Dzisiaj już tak nie myślę. Dowiedziałem się bowiem, że każda epoka pobłaża swoim ulubieńcom, którzy chwalą panujący porządek rzeczy, ale niewdzięczna jest dla śmiałków wołających, iż świat jest zły i powinien być inny. Tym zadowolonym spokojnie upływa życie, a śmiałkom przykro, w niepewności, w obawie przed błędem.

Trzeba tylko podchwycić rytm epoki — mówiłem sobie. To tak jak podchwycić rytm tańca, którego nigdy nie mogłem się nauczyć i było mi bardzo wstyd wobec kobiet. Żeby chociaż z literaturą się udało — martwiłem się nieraz. Bo wcale nie chciałem przystać na los niezrozumianego przez współczesnych literata. Ja musiałem zostać wybitnym pisarzem.

Dziwne, że nie pomyślałem nigdy o nauczeniu się jakiegoś łatwiejszego zawodu. Niezrozumiałe mogło to być jednak tylko dla ludzi nie znających mnie bliżej. Zdawałem sobie sprawę, że przy swoich możliwościach nie potrafię dokonać niczego innego, mogę jedynie pisać. Byłem słaby fizycznie i wprawdzie dość przystojny, ale taka zaleta mało znaczy w wieku dwudziestym. Moi dwaj starsi bracia bili mnie w dzieciństwie, okradali i oszukiwali, odtąd też zachowałem głęboko w umyśle pewność, że nie nadaję się do wygrania żadnej ludzkiej sprawy, bo zawsze będę pobity, wyśmiany, zwiedziony. Bałem się przewagi siły i nawet ostrego słowa, bystrości swych rywali oraz ich szybkiej orientacji. Gdy zanosiło się na starcie w jakiejkolwiek dziedzinie, gotów byłem każdorazowo cofnąć się zawczasu, mówiąc: „Niech już tak będzie, jak się samo ułoży". To też nic nie mogło mi wróżyć normalnej ludzkiej przyszłości i tych wszystkich zdobyczy, które osiągnąwszy, ludzie nazywają się szczęśliwymi. Ale zrezygnować z przyszłości jest bardzo ciężko młodemu człowiekowi. Na przykład zrezygnować z miłości. Pokażcie mi takiego, który by to zrobił. Wcale by nie chciał. Ja też nie chciałem. Bo cóż z tego, że kobiety chętnie się ze mną poznawały, skoro odchodziły, gdy już po kilku minutach wykazywałem, że niczym nie umiem zaimponować, a czasem rozsądnego słowa nawet wykrztusić.

Zresztą z kobietami było źle z innego jeszcze powodu. Tak sobie marzyłem, że jeśli już jakąś zdobędę, to jedną na całe życie, której muszę być wierny i do której przystąpię czysty, nie splamiony żadnym dziełem erotycznym. Gdy miałem dwadzieścia lat, nie znałem jeszcze przyjemności pocałunku, bałem się bowiem, że po tym pocałunku może z całej sprawy nic nie wyjść i będzie tylko strata moralna. Moi rówieśnicy przechwalali się wtedy ilością kobiet, z którymi mieli już stosunek ale mnie bardzo nieswojo było wytrzymywać ich wzrok. Te przeżycia utrudniały mi postęp w poszukiwaniach odpowiedniej kobiety. Nigdy nie mogłem zdecydować się na stanowcze kroki. Można mi było doradzać, abym dał się zbadać interniście i prześwietlił „u Roentgena". Można było pytać ze współczuciem: „A czy pan — nie daj Boże — nie jest źle z płucami?"

Czułem nieprzyjazność świata. Zapach rzeczy burżuazyjnych, otaczający mnie w życiu, był wybitnie nieprzychylny, chociaż łaskotał i pociągał. Smak uciech światowych, pewności w poruszaniu się na drogach, w teatrze i w autach stanowił coś, co było przeznaczone dla mnie do wzięcia, ale trudne w uchwycie. Podziwiałem ludzi szybkich, nie obawiających się broni albo policji, odważnych oszustów, mówców albo rowerzystów. Obok tych osób przechodziłem chyłkiem, ze spuszczoną głową, czując się znacznie gorszą istotą, niż pewnie stąpający oficerowie albo zgrabni narciarze. Czasami winiłem swe urodzenie, choć dobrze wiedziałem, że nie mam powodu sarkać na urodzenie klasowe. Mój ojciec był szlachcicem. Ale urodziłem się biednym lub raczej w zubożałym domu. Ojciec nie zarabiał, a cała rodzina utrzymywała się z przypadających jej odsetków od dochodu źle administrowanego folwarku siostry mego ojca ciotki Alicji. I do tego, aby dopełnił się szczyt mego wstydu, mieszkałem w Krynicy, gdzie musiałem stale ocierać się o nieprzyjaźnie pachnący świat. Nawet ubrania tamtych ludzi miały jakiś przyjemny i świeży zapach bławatny, a woń mojej marynarki to była woń rozpadu i tłuszczu. Nie umiałem nosić ciemnych okularów albo jedwabnej chusteczki w górnej kieszeni marynarki, bo nie były to rzeczy dostępne mojej znajomości spraw obejścia. Albo tylko nie miał mi kto tych utensyliów kupić. Nie wiedziałem.

Pocieszali mnie miejscowi i przyjezdni filozofowie lub politycy, którzy odwiedzali ojca, a którym nie dowierzałem. Mówili, że rychło wybuchnie wielka wojna, i to różna od wszystkich dotychczasowych. Ma ta wojna poruszyć ustalone porządki i zniszczyć je. Udowadniali to tak wszechstronnie, że trudno było nie wierzyć. Mówili o ogromie zła, nagromadzonego w ludzkich duszach i czynach. O nieuchronnych koniecznościach ekspiacji dziejowej. O spisku zakonspirowanych lóż masońskich i jaczejek faszystowskich. O absurdalnym konflikcie kwot produkcyjnych światowego przemysłu. Wreszcie o wielkiej polityce zdobywców świata, Hitlera, Chamberlaina i hr. Ciano. Z pewnością przekonaliby każdego. Ale mnie nie przekonali, chociaż bojąc się jak zwykle siły ich wzroku i wymowy, zdumiewałem się nad słusznością poglądów i potakiwałem w razie potrzeby. Gdy jednak po dyskusjach takich stawałem nocą przy oknie, patrząc na reflektor ostatniego, jadącego szosą, auta, wówczas tej wiosennej nocy roku 1939 wiedziałem, że wojny nie będzie. Chamberlain w Izbie Gmin zagwarantował nienaruszalność granic Polski. Roosevelt w pewnym przemówieniu obiecał pomoc Ameryki dla kilkudziesięciu państw, a Roosevelt i Chamberlain razem wzięci wydawali się z pewnością silniejsi niż Hitler. I wtedy przy tym oknie wiedziałem też, że muszę zostać pisarzem. Posiadłem tylko jedną umiejętność — zdolność podpatrzenia świata, mniej lub więcej trafną, ale zawsze taką, że wystarczyła na zobaczenie rzeczy oryginalnych. Czy zaś więcej potrzeba pisarzowi niż to, żeby umiał przemknąć się między zewnętrznymi cechami rzeczywistości i poprzestawiać je? Zaraz jest metafora. I piękno. Tylko na literaturze mogę wygrać — mówiłem sobie. Wierzyłem, że wyjadę z Krynicy, daleko od świadków mojej młodzieńczej upadłości. Nie będę znosił otoczenia faktów i rzeczy dotychczas deprymujących mnie. Tylko w jednym punkcie potrzebna była odwaga, ale stosunkowo łatwa. Należało napisany utwór nie urągający gustom epoki, ale jednocześnie zaopatrzony w jakiś błysk chytrego dowcipu, w jakieś złośliwe wykrzywienie gęby, wysłać do redakcji któregoś pisma i wyczekać zamieszczenia go. Potem by szło jak z płatka. Raz zdobyta pozycja — sądziłem — przyniesie mi pieniądze, a wtedy powinna zniknąć moja bojaźń przed sportowcami, przed ludźmi dobrze wychowanymi i przed kobietami w szortach. Czemuż nie miałbym być jednym z tych wielkich ludzi, kryjących się za kulisami i poruszających stamtąd mechanizmem świata, czemu nie miałbym dorównać potężnym masonom, przemysłowcom, politykom? Pisarz nie wydawał mi się w gruncie rzeczy żadnym gorszym od tamtych bydlęciem. Byleby umiał skorzystać ze swej niewidoczności, z możliwości pisania nocą w niedostępnych jaskiniach i w odosobnieniu. Bo czy na przykład nie mógłbym zauważyć, że osobnicy w pachnących bławatem ubraniach z wypomadowanymi włosami i z foremnymi kształtami ust lub nosa, wcale mi się nie podobają, natomiast podobają się ludzie o nieinteligentnych oczach i nieforemnych kształtach twarzy? Już od dawna sympatyzowałem zresztą z takimi i dlatego przyjaźnie odnosiłem się do socjalizmu.

Zajęty przez całe lato pilnym przygotowywaniem odpowiedniego utworu, nie zauważyłem, jakie wypadki poprzedziły niebywałe zdarzenie, które nastąpiło w bardzo piękny i upalny dzień tego lata. Najpierw około dziesiątej rano dwaj lokatorzy sąsiedniego domu przybiegli zdyszani i przerażeni do naszego mieszkania z krzykiem, że już jest wojna, a dwaj nasi domownicy z niewzruszonym spokojem, którego zawsze im zazdroszczę i nie mogę się sam nauczyć, uśmiechnęli się nieznacznie, odwrócili na piętach i powiedzieli: „też coś!" Potem nadleciały trzy samoloty, a ludzie uznali, że pierwszy to niemiecki bombowiec, zaś dwa idące za nim to polskie myśliwce. Ci sami ludzie w popłochu uciekali do piwnic, chwytali maski gazowe i robili jeszcze więcej krzyku niż poprzednio dwaj sąsiedzi. Ja też zacząłem się z nimi bać, ale gdy zauważyłem, że się bać nie muszę, sprawiło mi to wielką radość i satysfakcję. Okazało się bowiem, że w obliczu wypadków groźnych dla górującego zazwyczaj nade mną otoczenia, potrafię się zachować całkiem spokojnie. Wprawdzie nie wierzyłem jeszcze w wojnę, jak i nie zupełnie wierzyłem w to, że jej nie ma.

Gdy ktoś, rozszerzając oczy mówił: „wojna, panie", odpowiadałem posłusznie: „tak, wojna", ale nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby to była prawda. Nastawiłem radioaparat. Radio warszawskie nadawało właśnie orędzie prezydenta w języku hiszpańskim lub portugalskim. Nie odróżniam do dziś tych języków. Ponieważ jednak uczyłem się kiedyś po włosku, zrozumiałem szybko, że wróg przekroczył granice kraju. „Więc będzie pobity" — pomyślałem, o czym zresztą zapewniał prezydent. Będzie jeszcze jedna piękna okazja do zademonstrowania przed światem naszej siły narodowej. Tak jak na meczu lekkoatletycznym Polska— Francja, w którym pokonaliśmy Francuzów. Teraz Francuzi rzucą się na linię Zygfryda. Będzie wytworna sałatka polityczna. Tu trójkolorowy sztandar, tam białoczerwony i jeszcze ten piękny, wyglądający jak barwna oś x-ów i y-ów, ze złotym lwem, sztandar brytyjski. Jacyś ministrowie wygłoszą przemówienia, będą oklaski, film, taśma dźwiękowa, fotoreportaże.

Pomyślałem też, że wojna może okazać się świetnym tematem dla moich zamierzeń pisarskich. Gorąca chwila upoważni literaturę do zajęcia się sprawami politycznymi, chociaż to temat bardzo nieprzyjemny i niezupełnie godzący się z funkcją pisarza. Gdyby jednak właśnie przez temat polityczny można było osiągnąć potrzebny mi swoisty „ésprit" zdobyć sławę, pieniądze i nauczyć się wreszcie wykonywania przed okiem świata swobodnych grymasów!

*

Pochopni czytelnicy gotowi przewidywać, że wojna wywarła na mnie wpływ tak potężny, iż pod jego działaniem uległem jakimś zasadniczym przeobrażeniom wewnętrznym. Już słyszę, jak owi czytelnicy konkludują: „W latach historycznego kataklizmu, w okresie generalnego przewartościowywania pojęć — przekomponowała się niezawodnie struktura psychiczna tego młodego człowieka. Dopiero wtedy stanęły przed nim w jaskrawym świetle zasadnicze normy etyczne i społeczne. Niewątpliwie uronił na tej drodze niejedną perełkę ze swego egotyzmu".

Otóż ci, którzy tak sądzą, mylą się. Już na samym początku wojny zauważyłem, że fakt ten rzekomo niebywały i groźny nie wpłynął zupełnie na odwiecznie istniejący układ krajobrazu w okolicy mego mieszkania. Wysoki świerk przed domem tracił corocznie mniej więcej dwa konary od dołu i dlatego wydawało się, że rośnie albo tylko chudnie. Spokojnie przelatywał nad nim ptak, posługując się metodą dawno wyuczoną. Ludzie nie zmienili pod żadnym względem najistotniejszych cech swego życia. Nadal przechodzili przed moim oknem mężczyźni w krótkich spodenkach bez koszul, a kobiety opalające się w ustroniach, gdy niespodziewanie je spotkałem, naciągały napierśniki szybkim i odwiecznym ruchem jak dawniej. Chyba tylko temat rozmów zmienił się cokolwiek. Wplótł się w nie szept. Zapanowała w nich treść przyszłości, nadzieje, obawy, fatalne przepowiednie. Podobno tryb życia ludzi, o których piszę, doznał pewnych zakłóceń. Na przykład w ciągu całego września a może i października mało kto pracował na dawnym miejscu. O tym nie wiem nic dokładnego, mogę jednak z niektórych rzeczy wywnioskować, że tak było. Ponieważ jednak nasi znajomi urzędnicy pobrali pensje trzymiesięczne, więc przymusowe zaniechanie czynności służbowych wyglądało poniekąd jak przedłużenie urlopu letniego. Z tym tylko, że bez wyjazdu. A w Krynicy mówiono mi nieraz, że na urlop trzeba z tego uzdrowiska wyjeżdżać, chociaż miejsce jest letniskowe.

Starając się sumiennie odnotować wszelkie widoczniejsze zmiany, które zaszły wówczas, muszę stwierdzić, że miastu jak gdyby ubyło nagle ludzi. Najpierw wyjechali ci najwykwintniejsi i najboleśniej dla mnie przemawiający. Później ewakuowano niektóre bardziej zdyscyplinowane urzędy. Zresztą pozostały gdzieniegdzie puste miejsca w domach, do niedawna przyzwyczajone do czyjegoś oddechu, drapania się po tyłku i złego humoru, a teraz na złość matkom i żonom opuszczone. Były to luki mieszkaniowe i rodzinne po zmobilizowanych. Pewnie te miejsca napełniał nowy przybysz tamtych czasów: szept o przyszłości lub szept o strachu.

Ale wszystkie zmiany w tym rodzaju nie mogły wpłynąć na mnie specjalnie mocno. Nawet pewna zmiana psychologiczna nie była zbyt głęboka, lub mówiąc inaczej — nie spowodowała radykalniejszych skutków. Wszak wtedy właśnie podważyła się we mnie po raz pierwszy wiara w nienaruszalność władzy ludzi silnych. Dostrzegłem że na świecie istnieje szeroko rozbudowany system hierarchii sił. Zespoły ludzi silniejszych ode mnie musiały się niekiedy podporządkować zespołom innym, jeszcze potężniejszym. Nad silniejszymi ode mnie Polakami zapanowali silniejsi od wszystkich Niemcy. Oczywiście, nie obeszło się bez wstrząsów.

Obserwowałem pewien teren walki silnych z silniejszymi, na którym proces podporządkowywania zespołów ludzkich zarysował się bardzo ostro i jak gdyby w zasadniczym skrócie. Mój radioaparat nie należał do najlepszych, toteż przed wojną słyszałem dobrze tylko radiostacje polskie, a znacznie słabiej Paryż, Moskwę lub Wiedeń. Już latem 1939 r. wzmocnił się głos radiostacji wrocławskiej, tak iż zaczął skutecznie rywalizować w eterze z Polską. W ciągu września, jakkolwiek Krynica zajęta została szybko przez Niemców, z łatwością jeszcze można się było dowiedzieć w eterze na falach radia warszawskiego że Polska silnie stoi. Po pewnym okresie Raszyn z nieznanych powodów umilkł, a tymczasem Wrocław o wiele donośniejszym głosem odezwał się na fali Krakowa. W ten sposób widać było, jak potęga naszego narodu zostaje wyparta siłą obcych najeźdźców i to w dodatku Niemców, do których zawsze czuliśmy maleńkie odium i staraliśmy się, żeby jednak wszędzie lepszy był Polak niż Niemiec.

Otóż ostatnią radiostacją polską słyszalną na moim radioaparacie był Lwów. Umilkły wszystkie inne. Słuchałem więc Lwowa, będąc przekonanym, że cała podejrzana historia wycofywania się wojsk polskich, to jakiś pyszny kawał polskich dowódców, polityków, ministrów, a może nawet aktorów i znakomitego śpiewaka Jana Kiepury. „Coś

mi to wygląda na byczy wic!" — mówiłem sobie. Lwów nadawał naprzemian marsze wojskowe i etiudy Szopena, a więc rzeczy, które same przez się świadczyły o tężyźnie polskich pozycji. Aż tu niespodzianka! Pewnego wieczoru, gdy Lwów właśnie prezentował słuchaczom „Rewolucyjną", z dźwiękami jej zmieszał się zbyt płaczliwy lament speakerki: „Ach, kochani radiosłuchacze... niestety żegnamy się z wami, ale na krótko musimy się z wami pożegnać, bo niebawem znów będziemy do was mówili, teraz jednak musimy, musimy..." Tak ostatnia radiostacja polska ukorzyła się przed wrogiem, lecz już na drugi dzień znowu grała nokturny szopenowskie i nadawała przemówienia generałów. Czyżby zbyt płaczliwy głos speakerki był także jednym z diabelskich pomysłów naszego Janka Kiepury, zrealizowanym po to, by się jeszcze więcej z Niemców pośmiać?

O wiele większe znaczenie aniżeli hitleryzm i inne prądy ideologiczne miała dla mnie śmierć mego ojca, który umarł po dwu latach wojny. Jeśli do czasu jego zgonu jadaliśmy chleb cienko smarowany masłem czasem w ogóle bez masła, to nie zauważałem tu żadnej różnicy w stosunku do lat przedwojennych. Już przed wojną zdołałem się przyzwyczaić do rozpowszechnionej u nas w domu opinii o nienawistności czasów. Ojciec nazywał to epoką zdziczenia narodów. Mówił, że każda wybitna jednostka w wieku dwudziestym jest tłamszona i bita przez społeczeństwa złożone z przygłupkow. Nie dla nas istniała teraźniejszość, która odbierała nam masło z chleba i spychała na dno społecznych upokorzeń. A przecież byliśmy ludźmi najlepszymi jak ci platońscy kaloikagathoi, o czym można się było niezawodnie przekonać przy pierwszej lepszej rozmowie, przy pierwszym lepszym zetknięciu z osobnikami naszego społeczeństwa. Od razu widziało się, kto mądrzejszy, kto szlachetniejszy, kto doskonalszy w spojrzeniu na rzeczy piękne i złe. Jakże nas jednak krzywdziła historia, idąca podobno wielkimi krokami ku końcowi świata, gdzie wśród innych świeckich doczesności zginąć mieliśmy również my. Zazdrościłem skazańcom, którzy przed śmiercią mają prawo wyrazić ostatnie życzenia. Zaraz zażądałbym, aby mi pozwolono zostać, wśród chylącego się do upadku świata, dobrym pisarzem. Obrzydła mi ta programowa rezygnacja. Nie chciałem już wszędzie i zawsze przyznawać wyższości tym, którzy nas uciskali. Bo między ojcem a mną była pewna różnica. Ojciec sądził, że klan ludzkich zwierzątek sam sobie szkodzi, upośledzając wyższe jednostki wydane ze swego łona. Pewnie w jakimś ostatecznym obrachunku metafizycznym wyjdzie na jaw cała prawda, gdzieś na jakiejś pozahistorycznej wadze zmierzone będą istotne ciężary naszych wartości. Ojciec mój sycił się tą pewnością jak głodny razowcem. Ale ja nie wierzyłem. Wydawało mi się, że właśnie rację mają silni kondotierzy, faszyści, oficerowie. Chciałem w ich świecie zdobyć sobie stanowisko — piórem.

Zresztą nie potrafiłem dostrzec końca świata. Niedojadałem jak dawniej, chodziłem wraz z ojcem żebrać o chleb u możnych kupców i dostawców mąki. Dowożono go cichaczem z Nowego Sącza, ale piekarze tamtejsi dostarczyli pewną ilość bochenków ze stęchłej mąki. Łysawy paskarz dziwnie nas polubił i ofiarował darmo dwa bochenki, nadmieniając z uśmiechem, że właściwie kosztują po pięć złotych, co mi się wydało ogromną kwotą. Ciasto tego chleba miało ohydną woń i coś — jakby piasek — trzeszczało w zębach. Żułem parafinę ze świecy, przechadzając się majestatycznie po ogrodzie, i bodajże pomagało to na głód. Zimą marzłem w pokoju. Zabijaliśmy deskami szyby i zaklejali papierem, ale nad ranem zastawałem w miednicy lód. Kradliśmy więc drzewo, sztachety z okolicznych płotów i zgubione na ulicy kawałki węgla. Skonfiskowano mi radioaparat otrzymany za dawnych czasów w prezencie od ciotki.

Czy to miało oznaczać koniec świata? Czy nie było jedynie zepchnięciem nas niżej o jeden szczebel w hierarchii potęg społecznych?

Lecz wtedy umarł ojciec. No umarł. Najpierw krótko chorował, a później tak jakoś umarł, że nikt się tego nie spodziewał. Nawet ciotka nie zdążyła przysłać pieniędzy na doktora i lekarstwa. Przyjechała dopiero na pogrzeb. I dobrze zrobiła. Bo ja nie wiedziałem nawet co należy uczynić ze zwłokami. Ojciec leżał na łóżku tak jak umarł, z zamkniętymi oczami, przykryty kołdrą i tylko trochę blady, jakby bardzo dobrze wymyty. Już w powietrzu czuło się woń rozkładu. Ciotka kupiła trumnę (dość tanią) i zamówiła karawan oraz księdza. Chciałem protestować przeciwko udziałowi osoby duchownej w pogrzebie, tłumacząc, że ojciec napewno nie byłby sobie tego życzył, gdyż był wrogiem katolicyzmu i raczej wyznawał swoisty deizm. Protesty nie odniosły jednak żadnego skutku, poza upomnieniem mnie, bym nie bluźnił, nie zakłócał powagi śmierci, która jest sprawą Bożą, nie ludzką, i poza pewnym odezwaniem ciotki, które mnie trochę zdziwiło, chociaż niezupełnie je rozumiałem:

— Może byś się, Karolu wziął nareszcie do jakiejś roboty?

*

Śmierć ojca była dla mnie groźna tylko w tym momencie, gdy nadeszła i gdy zrozumiałem, że ojciec nie żyje. Pomyślałem, co się teraz stanie ze mną? Byłem bezradny wobec mebli, obrazów i książek pozostałych po ojcu. Strachem napawała mnie myśl, czy będę umiał stworzyć sobie inną organizację życia niż system ojca. Ten system znienawidziłem z kretesem i nie mogłem zgodzić się na jego kontynuację, a przecież jednocześnie bałem się, czy potrafię spełniać samotnie chociażby te czynności, które ojcu i mnie zapewniały dotychczas utrzymanie. Jeśli to nawet było trudne, jakże niepewna wydawać się musiała perspektywa jakiejbądź zmiany?

Pomoc przyszła znów od ciotki. Dziękowałem w duchu opatrzności, że ciotka zajęła się wszystkimi trudnymi do wykonania pracami pośmiertnymi. Równocześnie chciałem chociaż tę okazję wyzyskać, aby pokazać, że jestem człowiekiem silnym i zdecydowanym, a w sprawach rozporządzania majątkiem mego ojca ja jedynie mogę mieć głos rozstrzygający. Na szczęście ciotka za każdym razem zapytywała mnie łaskawie o zdanie, a ja, żeby nie dopuścić do kompromitującego konfliktu, opiniowałem zawczasu wszystkie zagadnienia po myśli ciotki. Udawałem również bardzo przybitego i wytrąconego z równowagi śmiercią ojca. Byłem niemal chory z tego powodu. Wszystko, aby zamaskować swą bezsilność i aby już dziś nie kazano mi szukać własnych dróg w życiu.

Upłynął blisko miesiąc, zanim ciotka, działając osobiście lub posługując się zaufanym znajomym, który specjalnie w tym celu przyjechał do Krynicy, zdołała zlikwidować wszelkie doczesne agendy mojego ojca. Z jego biblioteki pozwolono mi zabrać książki dla własnego użytku, ale czułem, że powinienem zabrać ich jak najmniejszą ilość. Resztę za tanie pieniądze natychmiast sprzedano pewnemu lekarzowi. Ciotka wspominała, że mnie należy się jedynie trzecia część spadku po ojcu, bo reszta przysługuje moim starszym braciom, Feliksowi i Tadeuszowi. Mienie dla nich zabezpieczy ona sama do czasu, gdy powrócą po wojnie z Anglii. Dla mnie zaś wystarczającą rekompensatą będzie to, że zabierze mnie do swojego domu w Kielcach, gdzie odżywię się, ustabilizuję psychicznie, a następnie zacznę pracować.

Wkrótce też opuszczałem Krynicę. Do Tarnowa jechałem nocą. Nie mogłem usnąć w pociągu. Mój towarzysz, pan Pawlak, ów zaufany znajomy ciotki, chrapał swobodnie jak gdyby mówił: „Ja nie frajer". Nie trwożyli go konduktorzy ani nawet żandarmi, którzy odwiedzili nas blisko Nowego Sącza. Niedbale pokazał im dowód osobisty i szybko wcisnął się w kąt ławki, by zasnąć na nowo. Ja legitymowałem się zaświadczeniem pracy wyproszonym od znajomego stolarza krynickiego. Stwierdzało ono, że pracuję jako czeladnik. Ale jeszcze przed wyjazdem upewniałem się w rozmowie z Pawlakiem, czy na tak niebezpieczną podróż wystarczy to fikcyjne zaświadczenie.

— Bagatela — odpowiadał — wystarczy albo nie...

— A co się robi, jeśli nie wystarczy?

— Bierze się nogi za pas i wieje...

Szczęśliwie wystarczyło. W Tarnowie przesiedliśmy się do innego pociągu. Był deszcz zimowy, mgła, a ludzie mówili o tarnowskim więzieniu. Pawlak miał w kieszeni kilka paczek cukierków. Jedną ofiarował mnie, resztę zaś konsumował z upodobaniem. Nie miałem sumienia jeść tyle cukierków w tak ciężkich czasach. Wydawało mi się, że ogromne rzesze ludzi głodują, że tylko Niemcy i bardzo bogaci Polacy mają co jeść. Gdy wzdłuż toru szli chłopcy źle ubrani albo małe dziewczynki, rzucałem im ukradkiem cukierki. Zastanawiało mnie, że nie od razu podnoszą i że się do mnie uśmiechają, ale wcale nie dziękczynnie lecz tak, jakbym zrobił kiepski żart. Czyżby to były dzieci ludzi silnych, czyżby mogły sobie pozwalać na słoninę, jeść do syta skwarków i klusek? Sądziłem dotychczas, że te dzieci muszą być równie biedne jak ja, pewnie też tak samo wyłęknione i bezradne wobec przewagi obcego świata. Czułem nawet jakąś wspólnotę interesów z nimi oraz ich rodzicami, myślałem mniejwięcej tak: „gdy nas biją, to bądźmy razem". Bałem się tylko jednego: co będzie, gdy nas bić przestaną. Powiemy sobie: „to już...", a co dalej? O czym mógłbym z tamtymi ludźmi rozmawiać? Postawić takich przed obrazem Cézanne'a albo dać im czytać Mallarme'go — i cóż się stanie? Trzeba by im zaraz tłumaczyć, że Faun to nie jest ani koń, ani drzewo, ani żaden człowiek, ale coś na riby, czego naprawdę nie ma, ale co może mieć swoje popołudnia. A czy można taką rzecz wytłumaczyć spokojnie, nie wywołując hałasu i awantury jeśli ci zaraz odpowiedzą: „oszustwo, nieprawda, bo albo ten Faun jest albo go nie ma".

Myślałem ze zgrozą o tych rzeczach. Przecież zamykał się za mną ogromny krąg spraw, wśród których umiałem jako tako żyć, a otwierał się nowy, grożący tysiącem niebezpieczeństw. Nic w nim nie było znanego, nie miał takich miejsc ani pór, gdzie wykonuje się dobrze opanowane gesty i kiedy wprowadza się w czyn niezawodnie skuteczne umiejętności. Tak się siada przy własnym stole na krzywej podłodze. Wiadomo wówczas, w którą stronę będzie się chwiał i gdzie trzeba mu podłożyć deszczułkę. Nie miałem już spotkać w życiu znajomych stołów. Skąd mogłem wiedzieć, jakie będą te, które wplączą się teraz w bieg codziennych moich spraw. Może będą idealnie proste na idealnie prostych posadzkach, a ja nie nadam się do takich sprzętów? Może nie uda mi się bezbłędnie przy nich funkcjonować?

Gdy przyjechałem do Kielc, dowiedziałem się tam, że źródło dochodów i podstawa egzystencji mojej ciotki nie są już takie, jakie znałem z relacji ojca. Nasz rodzinny folwark — według słów ciotki — tymczasem diabli wzięli. Nie byłem tam nigdy, ale wiem, że leżał gdzieś w okolicach Krzemieńca, a więc za Bugiem, jak to wtedy zaczęto określać. Ciotka jesienią 1939 r. wyszła ponownie za mąż (pierwszy mąż umarł na gruźlicę) za dobrze sytuowanego inżyniera - architekta. Ten starszy pan założył sobie przedsiębiorstwo budowlane w Krakowie, ciotka jednak mieszkała w Kielcach, gdzie prowadziła sklep galanteryjny.

Była teraz zima 1941/42. Zauważyłem, że w domu ciotki znacznie pilniej śledzono bieżącą politykę światową, a szczególnie przebiegi bitew na froncie wschodnim, aniżeli u nas w Krynicy. Śledzono te fakty także z większą jak gdyby trzeźwością, niż zwykliśmy to czynić ja i ojciec. Kiedy dla nas horyzont polityczny był jedynie zbiorem ponurych widm, a zza nich dopiero miało się wyłonić w przyszłości mniej lub więcej realnie przez nas oceniane zwycięstwo aliantów, to ciotka potrafiła swoiście cieszyć się, a może tylko rozumnie aprobować osiągnięcia niemieckie w wojnie z Sowietami. Nawet już zastanawiała się, czy nie należałoby wszcząć jakichś starań o przywrócenie jej skonfiskowanego przez bolszewików folwarku.

Mąż ciotki, inżynier Rzeźniczek, lubił opowiadać historię pierwszego dnia wojny sowiecko - niemieckiej.

— Wyobraź sobie, Karolu — mówił — gdyśmy się tylko z rana dowiedzieli, że jest wojna, natychmiast poszedłem do piwnicy. Tam mieliśmy zakonspirowaną butelkę szampana. Jeszcze jedna podobno została. Będzie na koniec wojny. Pierwszą wypiliśmy wtedy z Alicją. Wspomnicie kiedyś moje słowa: „Alla, pijmy, bo z tego będzie dla nas wolność".

Zacząłem na nowo pisać wiersze. Ludzie, którzy próbowali w czasie wojny zajmować się tą czynnością, ocenią, jak trudno było mi kontynuować program artystyczny i prywatny, ustalony za lat dawniejszych. Perspektywa łatwego powodzenia, która w roku 1939 wydawała mi się już bardzo bliska, zagrodzona została dziesiątkiem istotnych przeszkód. Zmiana układu ludzi rządzących i podległych cudzemu władaniu bardzo nieprzyjemnie komplikowała i po prostu psuła moje możliwości. Odbyła się za szybko, abym mógł w niej współistnieć, abym się stopniowo, kroczek za kroczkiem, przystosował do życia w nowym zespole okoliczności. Gdy mi ktoś obecnie mówił: „wierszami się pan najedz", przypomniałem sobie, że przecież mało brakowało, a w ostatnim roku przed wojną byłbym się rzeczywiście mógł najeść dzięki poezji. Wprawdzie trochę bardziej zawile miał ten proces przebiec niż proponował mi złośliwy człowiek czasów okupacji, ale w gruncie rzeczy do podobnych celów zmierzał. Teraz jednak nawet zwyczajnie „najeść się" wierszami — było zbyt trudno. Przed wojną ukrywałem swoje zajęcia przed okiem i wiadomością ludzi dowcipnych, bo zaraz moim kosztem zdobywali szczebel do powodzenia. Każdy żart ich na mój temat obniżał moją wartość, a przyczyniał blasku im. Obecnie do tamtej mniej bolesnej trwogi doszła znacznie poważniejsza: wszak pisałem po polsku, a dobrze wiedziałem, że nie podobałoby się to Niemcom, gdyby tylko o mnie wiedzieli. Nawet powiem, że strach przed dowcipem zupełnie prysł. Któż mógł tak pobłażliwie jak dawniej drwić ze mnie? Chyba tylko ktoś bardzo przychylnie wobec mnie usposobiony, na przykład inżynier Rzeźniczek. Natomiast inni osobnicy z polskiego społeczeństwa nie chcieli lub może nie umieli subtelnie i elegancko na mój temat ironizować. Zdawało mi się, że jak gdyby zabrakło teraz tamtych ludzi, niesłychanie wyższych ode mnie i dlatego delikatnie kpiących. Nowi, wojenni znajomi robili to inaczej, więcej było w uwagach o mojej poezji połajanek traktowanych serio, niż dawnej figlarności. Ten ubytek ludzi z dawnego gatunku, którzy w dziwny sposób znikali podczas wojny, wymierali pewnie albo ginęli z głodu jak mój ojciec, napawał mnie inną jeszcze obawą. Wszak to ich chciałem w roku 1939 podbić jednym oryginalnym utworem i wierzę, że z nimi można by było to osiągnąć. Nowa publiczność złożona z ludzi widocznie o wiele mniej inteligentnych nie budziła żadnych nadziei. Czy więc trzeba było pisać dla niej? Tak, ale cokolwiek napisałbym zgodnie z gustami bywalców domu pp. Rzeźniczków, nie wzbudziłoby na pewno poklasku u krytyków lepszego, przedwojennego gatunku. Kto mi zaś miał zaręczyć, że kiedy nastanie owa wolność, oczekiwana przez męża ciotki Alicji, nie oni dawni przedwojenni intelektualiści, nadawać będą ton opinii? Trzeźwo oceniałem sytuację, lecz smutno było ciężar trafnej oceny nieść przez tyle beznadziejnych okupacji wśród wyrojonego w czasie wojny tłumu rzeźniczków.

Tymczasem bowiem wszystkie dawno ustalone elementy poezji, rzeczy tak dobrze nadające się do wierszy, przestawały w tym społeczeństwie mieć sens, traciły swoje subtelne znaczenie, niejako chciały, by je czymś innym zastąpić. Tak by się działo, gdyby mieszkanie lekarza, umeblowane w pewien określony sposób, zaopatrzone w gabinet z przyrządami lekarskimi i poczekalnię dla pacjentów, przejął na własny użytek — krawiec. Wówczas wszystkie obrazy wiszące na ścianach poczułyby się głupio, nakrycia stołowe przestałyby znaczyć to, co znaczyły, a przyrząd do mierzenia ciśnienia krwi w gabinecie byłby tylko bardzo zdenerwowany ale niepotrzebny. Jednak sprzęty mają swoją bezwzględną wartość, choćby się komuś w szczególnych warunkach wydały niepotrzebne. Wierzyłem, że nadejdzie czas nie tak specjalny jak czas wojny, która moim zdaniem — nie mogła wywołać żadnych zmian na dalszą metę, i wierzyłem, że w tym czasie zapanuje inna, wszechstronniejsza ocena ludzkich rzeczy. Na ten czas trzeba było także zachować poezję.

Stałem się hipokrytą. Byłem nim może i przedtem, ale tamta hipokryzja wydaje mi się uczciwsza i jakaś inna. Przed wojną i przed śmiercią ojca nie zdradzałem nikomu swoich zamysłów pisarskich, lecz było po mnie od razu widać, że nie mam pretensji do żadnego innego urządzenia się na świecie. Inteligentny człowiek wydałby z pewnością taki sąd o mnie: „ten głuptasek coś knuje". Byłem bowiem jednostką pochodzącą z tego samego klimatu umysłowego, z którego pochodzili wszyscy moi sędziowie. A dobry sędzia, nim wyda o podsądnym wyrok w sprawie, gdzie brak oczywistych dowodów, wyobraża sobie, jak zachowałby się sam w analogicznych okolicznościach. Nieraz pomyśli: „ja bym przecież ukradł" i wie, że trzeba oskarżonego ukarać. Tak samo moi sędziowie rozumieli, co się robi i co chciałoby się zdziałać w mojej sytuacji. Orzekali więc po cichu: „my chcielibyśmy na jego miejscu stać się indywidualnością". A później „on z pewnością chce stać się indywidualnością."

Jednakże moje środowisko kieleckie składało się z istot o innej zupełnie mentalności. Ludzi ci nie mogli więc domyślać się, jakie mam zamiary, raczej widzieli je tam, gdzie w istocie nie kierowałem żadnych roszczeń. Ponieważ ciotka kilkakrotnie już wspominała, że powinienem „coś zdobyć w życiu", a więc stanowisko dochodowe, najlepiej w branży handlowej, mieszkanie własne, po wojnie zaś ożenić się, bo chyba byłby czas, Karolu, — twierdziłem, że oczywiście sam tego pragnę i jeśli tylko mąż ciotki dopomoże mi w wysiłkach, rzetelnie zabiorę się do pracy. Zgadzaliśmy się z ciotką, że wszystko osiąga się dzięki pracy i że bez niej w ogóle o kołaczach mowy być nie może.

Zarówno ciotka Alicja jak i znający mnie przed wojną intelektualiści stawiali podobną diagnozę, że mimo pozorów dążę jednak do wybicia się wśród otoczenia. Ale intelektualiści wiedzieli, że robi się takie rzeczy całkiem inaczej, niż wyobrażała sobie ciotka.

Pełen hipokryzji, bardzo wygodnej dla mnie w tym okresie, omówiłem z inżynierem Rzeźniczkiem kwestię przeniesienia się do Krakowa. Miałem tam być początkowo zatrudniony w kancelarii przedsiębiorstwa budowlanego, a następnie wyrobiwszy sobie stosunki między handlowcami zająć się pośredniczeniem w transakcjach kupieckich i w ten sposób zacząć dobrze zarabiać. Całej tej przyszłości bałem się, ale ratunku nie było.

(dokończenie nastąpi)

Jacek Bocheński

WARSZAWA 1945 W RYSUNKACH TADEUSZA KULISIEWICZA

Teka formatu 40.5x51 cm w sztywnej oprawie zawiera 32 rysunki

Rysunek Nr 1 Katedra św. Jana

DO NABYCIA W KSIĘGARNIACH

JÓZEF MORTON

OWIANI ŚMIERCIĄ

Zadnia było na świecie całkiem spokojnie. Pod wieczór podniósł się lekki wiatr i przez całą drogę wiało Zośce prosto w twarz. Polami szedł mrok, niebo nabierało na siebie coraz więcej gwiazd, stroiło się nimi niczem łąka rojami kwiecia kaczeńców.

Kiedy Zośka znalazła się w pobliżu lasu, wydało się jej, że wiatr zacichł coraz bardziej, aż uciszyło się zupełnie. Ale ponad lasem szedł mocny, głuchy szum i ginął tuż na skraju, który coraz władniej obejmował mrok wieczoru. Spokój głęboki leżał na stertach zeszłorocznych, czarnych liści, które nie zdążyły jeszcze zgnić, otulał również niskie, kępiaste krzewy, bogato podszywające cały las.

Zośka chwilę rozglądała się po brodłach. Dużymi plamami wylaniały się one ku niej rozrzucone jakoś tak nieporządnie po całym dworskim polu. Ale dwa skrajne wyraźnie odcinały się od pozostałych.

Przystanęła. Zawahała się na moment. Do którego z nich zajść. Na chybił trafił skierowała swoje kroki na prawo. Naraz zaleciało ją echo dalekiego wystrzału. Obejrzała się trwożnie i zaczęła nadsłuchiwać. Nieruchomymi oczyma wpatrywała się w stronę drzew, lecz strzał się nie powtórzył. Spokojna ruszyła dalej. Niebawem znalazła się przy samym brodle. Dawid powiedział, że w pierwszym rogu od lasu jest wejście. Zatrzymała się więc przy tym rogu, pochyliła do samej ziemi i poniosła ku górze duży pęk zwisającej słomy... I o dziwo! Pod słomą zaczernił się niewyraźny otwór, zakryty zwisającymi gęsto kłosami żyta. Zośka zdjęła z pleców swój tobołek, ujęła go w ręce i poczęła się wsuwać do środka.

Naraz posłyszała starcze, dalekie, ale wyraźne słowa:

— Kto tam? To ty Dawid?

Zośce zaparło dech. Co tu powiedzieć?

Wtem milczenie, napięte trwogą, rozdarł głos:

— Mów kto, bo strzelam.

— To ja, Zośka Adamowa, nie poznajecie mnie?

Wszczęła się gwałtowna rozmowa po żydowsku, kilka osób naraz i niewiadomo skąd wyciągnęło do niej ręce, poczęto ją wciągać. W zupełnym mroku nie widziała nikogo, choć czuła koło siebie oddechy kilku osób. Powietrze było ciężkie, przesycone odorem ludzkich wydzielin, potu i stęchłej słomy. Nie wiadomo czyje ręce odebrały jej zawiniątko, te same ręce później obmacywały ją całą, od stóp do głów, w pewnej chwili poczuła je nawet na twarzy, jakieś śmierdzące i szorstkie i dopiero teraz zabłysła lampka elektryczna. Cały snop światła lunął jej prosto w oczy, po czym przewinął po wnętrzu kryjówki i jej mieszkańcach i zagasł. Dłużej można było już nie świecić. Mieszkańcom brodła wystarczyło ledwo parę chwil, by przyjrzeć się uważnie przybyłej i jej tobołkowi. Wystarczyło również Zośce, chociaż wolałaby, żeby świeciło się dalej: w ciemnościach robiło się jej straszno, bo jak tu rozmawiać z ludźmi nie widząc ich? Po pewnym czasie oswoiła się jednak z mrokiem i rozprężyła w sobie.

W samym kącie na startej bezmała na sieczkę słomie siedziała zwinięta w kłębek Srulowa.. Do jej piersi przyciśnięta była główka małego dziecka o włosach bardzo rozczochranych. Twarzy dziecka Zośka nie zobaczyła, ale za to dobrze zapamiętała sobie wygląd twarzy Srulowej; była szaro-żółta, opuchnięta, trupia. Oczy, wepchnięte jak najgłębiej pod czaszkę, o powiekach na pół przywartych, obrzękłych, również pozbawione były życia.

Obok Srulowej leżała jakaś młodziutka dziewczyna. Spała. Zośka nie znała jej. Za tą dziewczyną, całkiem w tyle, siedział na podwiniętych nogach starzec, Izaak, o długiej, pomierzwionej brodzie i ogryzał skórkę chleba. Na głowie miał chłopską, czarną czapkę, kaftan na nim był też chłopski, bardzo podniszczony.

Ledwo zagasło światło, Zośka poczuła na swoim ramieniu rękę Hanki, dawnej krawcowej, ale zamiast witać się z nią, najpierw przypadła do Srulowej.

— Srulowo kochana, jak wy tu żyjecie?

Srulowa omdlałym ruchem wyciągnęła do niej rękę i rzekła głosem zmęczonym, ale zdecydowanym:

— Zosiu, Bóg skazał nas wszystkich na śmierć.

— Po co tak mówicie, kiedy przy pomocy bożej jeszcze wszyscy wyjdziecie zdrowi i cali. Przed tygodniem widziałam się z Dawidem. Kazał mi was odwiedzić. Przyniosłam wam trochę chleba i mleka.

Srulowa ożywiła się:

— Och, mleka! Hanka, przebudź siostrę, napije się trochę mleka — i co prędzej pochyliła głowę nad synkiem. Zaczęła go pocichutku budzić. — Wstań dziecino, mama ma dla ciebie mleko. Świeże, smaczne mleko...

Hanka podpełzła do Zośki.

— Zośka, nigdy nie myślałam, że ty masz tyle serca dla nas, biednych Żydów. Nie bałaś się do nas przyjść i przynieść nam trochę jedzenia. Jak ci się za to wywdzięczyć?

— Wywdzięczyć się? Też miałabyś za co! Zapomniałaś, że kiedyś mi szyła bluzkę, to nie dodałam ci wtedy pół litra mleka?

— Pamiętam to. Zośka, ale dawniejsze dzieje nie istnieją wcale dla nas, jak nie istnieje dla nas całe nasze dawne życie. Czy wiesz, że zapomniałam jak ludzie żyją? Od pół roku nie widziałam wcale słońca i dziennego światła. Chwilami wydaje mi się, że jestem oślepła, bo kiedy wychodzę z brodła, to już jest dobrze ciemno. Mów nam o sobie, Zośka, mów nam i o innych, opowiadaj. Czy zabili ostatnio jakiego Żydka w waszej wsi?

— Przeszło miesiąc temu rozstrzelali Szmulową...

— Z dziećmi, tak, wiemy o tym.

— Byłam przy tym rozstrzelaniu.

— Na własne oczy patrzyłaś? I co? Mów, jak to było?

Zośka opowiada. Ale z każdą chwilą wyczuwa coraz wyraźniej, że między nią a tymi tutaj wytwarza się jakaś dziwna obcość. Że nie łączy ich ze sobą nic, a dzieli wszystko.

W pierwszym momencie na widok jej i przyniesionych produktów poruszyli się wszyscy, lecz wnet zamknęli się na powrót w pustce swoich rozmyślań, a może w beznadziejnych wspomnieniach minionego życia, albo w wyglądaniu śmierci?

Niedaleko od niej starzec Izaak bez przerwy mamlał swoją skórkę chleba, co chwila chrząkając. Przebudzona dziewczyna z głośnym chlipaniem piła mleko, po czym, jak klocek, napowrót zasnęła. Hanka znów przysunęła się do Zośki. Kładąc rękę na dziewczynie, powiedziała:

— To moja siostra. Ty jej nie znasz. Ma już 16 lat, a wiesz, wygląda na 12-cie i ciągle choruje. Na co? Lekarz jej nie badał, to kto może powiedzieć? Ale my też chorujemy. Każdy z nas ma jakąś chorobę. Ciężkie nasze życie, Zośka, oj, ciężkie — westchnęła płaczliwie, skarżąco — Wy nigdy nie będziecie przechodzili takiego życia — i znowu urwała się rozmowa. Zamknięci w brodle nie mieli o czym rozmawiać z Zośką, nie wiedziała o czym mówić z nimi i ona. O sprawach żydowskich nie słyszała nic, nie mogła więc o nich mówić, na polityce nie znała się ani w ząb, a to, co działo się w okolicy, nie było im znów obce. O każdym wydarzeniu, każdy zabójstwie, napadzie, mieli dokładne wiadomości. Wiedzieli nawet kto i ile kontyngentu odstawił do miasta, choć to wszystko mało ich obchodziło. Najważniejsze dla nich było tylko jedno— przeżyją wojnę, czy też zginą dzisiaj, zaraz, rozstrzelani przez Niemców? Wszystko inne to było dalekie życie, z którym się już dawno rozstali, a więc nieważne, martwe.

Najmniej rozmawiała z Zośką Srulowa. Bez przerwy zajęta była swym synkiem. Mąż jej jak wyszedł w zeszłym roku po kożuch do pana Jacentego, tak do dzisiaj jeszcze nie powrócił. Może go kto zastrzelił i od razu zakopał w ziemi? A może się utopił? Napróżno dowiadywała się na wszystkie strony.

Trzeciego dnia po odejściu męża zmarł jej starszy syn. Najbliższej nocy Dawid i Hanka wyciągnęli go z brodła i zakopali niedaleko w lesie. Ziemia, mokra jeszcze po jesiennych deszczach, nie stawiała wiele trudności tępemu i malutkiemu rydlowi Dawida, prędko więc płytki dół był gotów pochowano w nim Srulka, pośpiesznie, bez żadnych obrządków, w śmiertelnym lęku przed Niemcami.

Srulowej pozostało jeszcze jedno dziecko. Ale dzień, dwa — odejdzie od niej i ono. Umrze. To takie prawdziwe i takie naturalne dla niej. Po nim przyjdzie kolej na nią. Któregoś dnia z samego wycieńczenia zaśnie i więcej się nie przebudzi, jeżeli przedtem nie wyśledzą ich wszystkich Niemcy i nie powystrzelają. I na tym skończy się jej życie, jak skończyło się już dla wielu tysięcy jej współplemieńców.

Naraz stała się rozmowna. Zaczęła sobie przypominać dawne, panieńskie lata, potem ożenek, wreszcie pierwsze lata małżeńskie: mąż jej, Srul, był mężem dobrym, był tkliwy i oddany. Ale najwięcej kochał dzieci. Gdyby zaszła konieczność, odjąłby sobie od ust, byle tylko żadne z maleństw nie głodowało. Starszego chłopca chciał wyuczyć za rymarza. Powiadał, że to będzie najlepszy dla niego fach. Dla młodszego gotowił inną dolę, ale nie wyjawił jaką...

Wtem urwało się opowiadanie Srulowej. Dłuższą chwilę nadsłuchiwała, obrócona cała w kierunku otworu, po czym zwróciła się do Hanki z jakimś zapytaniem po żydowsku. Hanka od razu na bałyku popełzła ku wyjściu. Srulowa nie podejmowała już więcej rozmowy.

Jakieś trwożne milczenie opadło wszystkich. Zośka nie wiadomo czemu poczęła drżeć z niepokoju, rozglądając się na boki. Ale w ciemnościach nie widziała nic. Głosów też żadnych nie słyszała. W piersiach waliło jej serce, jakby je chciało rozsadzić.

Przemówiła łagodnie Srulowa:

— Zośka, to nic. My często tak nadsłuchujemy. Zaraz wróci Hanka, nie bój się.

Zośka nie odrzekła Srulowej Niespodziewanie, jak żywe, stanęły jej w pamięci słowa Adama i naraz gorzko pożałowała swojego przyjścia tutaj. Bo po co właściwie wybrała się do tych Żydów? Z pomocą? Czy bez jej pomocy powymieraliby z głodu? Czy potrzebna była tutaj?

Na wszystkie pytania odpowiadała sobie: nie nie!

— Pocom ja tu przyszła? — mówiła sobie przez przerwy — Co mnie podkusiło? Co będzie, jeżeli Niemcy zwiedzieli się już o tym brodle i lada chwila otoczą je? Przecież jak nic zastrzelą mnie z miejsca, wywleką z brodła, powiedzą, że Żydówka palna w łeb. Bez sądu, bez wyroku, po niemiecku... jak to u nich!

Zaleknienie opanowywało jej serce niemal do utraty tchu, uczyniło się jej gorąco i wstała.

— Nie ma co tutaj ślęczyć. Trzeba mi się zabierać do domu — powiedziała sobie w myślach i ręka poszukała koło siebie płachty, lecz wtem posłyszała szelest. To Hanka! Nadchodziła pośpiesznie, gwałtownymi ruchami czepiając się słomy. Zadyszana robiła piersiami głośno, z trudem.

— Hanka, co jest? — Srulowa podniosła głowę ku niej nieco zaniepokojona.

Hanka rzekła parę słów po żydowsku. Zośka nie zrozumiała tych słów, ale z brzmienia ich wyczuła co one oznaczają i zadarła się dziko, boleśnie:

— Niemcy! — i jak stała porwała się do ucieczki.

Z kąta dźwignął się starzec, Izaak, stanął obok Zośki, położył jej rękę na głowie i powiedział:

— Tutaj nie wolno krzyczeć, bo krzyk może nas zgubić. Wychodzić teraz też nie wolno, bo Niemcy są niedaleko od naszego brodła i napewno by cię złapali. A wtedy zginęlibyśmy wszyscy. Ty, boś do nas przyszła, a my, bośmy Żydzi. Dlatego siedź tutaj spokojnie i módl się do swego Boga, żeby nas wszystkich ominęło nieszczęście. — Po czym jął przemawiać cicho, spokojnie do swoich. Mówił językiem żydowskim. Nawoływał do zachowania jak najgłębszego spokoju. A czy będą walczyć w wypadku, gdyby Niemcy otoczyli ich brodło? Nie, nie będą, bo i poco? Czy jednym karabinem i pięcioma nabojami będzie można co wywalczyć? Przytem jak można walczyć, będąc zamkniętym w brodle, tymbardziej, że zbiry, chcąc ich jak najprędzej najłatwiej wymordować, po prostu podpalą brodło, każdego zaś, ktoby chciał się ratować ucieczką, dosięgnie kula z karabinu maszynowego. Należy się więc tylko modlić albo o życie, albo o nagłą, bezbolesną śmierć.

Zośka zapadła w miałką, startą słomę. Skowyczała coraz rozpaczliwiej. Nie docierały już do niej słowa starca, nieczuła była na pieszczotliwe ruchy Hanczynych rąk, które głaskały ją, uspokajały. Trzęsła się w swoim zaleknieniu. Naraz zerwała się jak oszalała i zawisła rękami na szyi Izaaka.

— Ratujcie mnie! Nie dajcie mi zginąć! Róbcie co! — wargami wpijała się w zarośniętą twarz starca, całowała ją.

Starzec milczał chwilę. Potem podniósł ręce do góry.

— Czemu się nie modlisz? Nie umiesz? Krzykiem chcesz zgubić siebie i nas? Czy nie pomyślałaś o tym, że Niemcy może już otaczają nasze brodło?

Zośka odpadła od starca i rzuciła się do Srulowej, ale po drodze zawadziła o śpiącą dziewczynę i zwaliła się na nią. Przygnieciona krzyknęła krótko, strasznie i rozespana zaczęła się unosić do góry.

Zośka dowlekła się do Srulowej, rękami poszukała jej twarzy.

— Srulowa, ratujcie mnie, nie dajcie mi umierać. Patrzcie, w domu zostawiłam dziecko, chłopca... Dlaczego mam umierać tutaj? Żem chciała wam pomóc? Że usłuchałam serca? Dlaczego mam ginąć razem z wami, Srulowa?

Srulowa powiedziała równym, głęboko smutnym głosem:

— Ty masz dziecko i ja mam dziecko, Zośka. Ty nie chcesz umierać, a czy my chcemy? Da Bóg, że ominie nas nieszczęście, to my, Żydki, uratujemy swoje życie na dzień, dwa, może miesiąc? Nikt nie zna godziny swojego końca. Ale jeżeli Pan Bóg postanowił, żeby nas wszystkich wygubić dzisiejszego wieczoru, to, Zośka, nic nas przed tym nie uratuje. I czy tutaj, Zośka, czy tam, na polu, jakbyś uciekała, czy to nie wszystko jedno?

I pochyliła się nad dzieckiem. Suchymi, kościstymi dłońmi jęła głaskać je po włosach, rączkach mówiła do niego szeptem po żydowsku:

— Śpij mój synku. Nie budź się wcale, bo nie masz się po co budzić. Na dworze straszna wichura, zimno, pełno tam wściekłych, złych psów, a we śnie widzisz same piękne rzeczy. Śnisz może o ojcu, jak pracował na nas wszystkich, albo może o innych dzieciach, z którymi bawiłeś się w słońcu, na piasku, koło domu? A może widzisz wielkie łąki? Latasz po nich boso za kwiatami, w powietrzu świergocą ptaszki... Do wszystkiego śmieją ci się radośnie oczy, dziękujesz Bogu, że żyjesz...

Wtem przebudził się chłopiec i zaczął popłakiwać sennie.

— Śpij synku, ja przy tobie, nie bój się.

Rozespany chłopiec zasnął napowrót, ukołysany rękami Srulowej, która ani na chwilę nie traciła przytomności. Czuła, jak szła ku niej śmierć, widziała ją już przed oczyma, lecz w dalszym ciągu najważniejszym dla niej był sen dziecka. W tę troskę wkładała wszystkie swoje siły i myśli, błagając Boga równocześnie tylko o to, żeby jej dziecko umarło wpierw, przed nią. Żeby śmierć zaskoczyła je właśnie w tym śnie, potem dopiero niech przychodzi kolej na nią. Ale to już nieważne. Lecz nagła, bezbolesna śmierć — to łaska Boga, a czy Srulowa zasłużyła sobie na taką łaskę? Hanka powiedziała, że Niemcy są w pobliżu, węszą za czymś, prawdopodobnie za nimi. Jeśli nie odnajdą ich brodła, wtedy podpalą wszystkie. Śmierć w płonącym brodle czy nie będzie długa, męcząca, okropna? A może zaduszą się od razu wszyscy?

Z takim samym spokojem oczekiwał śmierci starzec. Nie przemawiał już do nikogo. Wsparty o karabin wyglądał tego ostatecznego rozwiązania swoich losów. Przeżył wiele. Był biedny, później był bogaty. Miał łzy w minionym życiu, ale nie pozbawiony był i radości. Umierać na łożu w otoczeniu całej rodziny byłoby lżej, ale gdzie tu rodzina? Kto z nich jeszcze żyje? Złu, jakie zapanowało, położyć kres może tylko śmierć jego i całych tysięcy innych — taka jest wola Boga. Trzeba więc umierać. W spokoju i w największej pogardzie dla wroga.

Zośka zrozumiała w końcu, że dla niej nie ma poratunku. Nie dadzą jej tego Żydzi, skąpi go i Bóg. Zaś Niemcy, co okrążają może już brodło, nie niosą ze sobą litości. Okrucieństwo ich jest twarde, ludzkie, wykarmione nerwowym powietrzem wojny, która kocha tylko bezwzględność. Ale dlaczego? Za jakie winy? Czy jest chociaż Żydówką. Nie żebrze już o ratunek u nikogo, bo i nie ma go u kogo żebrać. Zagrzebana w słomę sklamrze tylko cichutko i kiwa się popadając w bezwładność myśli i czucia.

I naraz znienawidziła wszystkich Żydów. Bo przez kogo, jeżeli nie przez nich ma umierać tą straszną śmiercią? Dlaczego nie wypuścili jej z brodła zaraz po powrocie Hanki? Dlaczego ją trzymają? Czym zapłacili jej za tyle serca z jej strony? Żeby razem z nimi ginęła? Niedoczekanie ich! Niech sami giną! Ona musi żyć!

Obezwładniona lękiem i rozpaczą nie poruszyła się jednak z miejsca.

Na piersiach Hanki leżała jej siostra, która chwilami z głośnym westchnieniem wzywała matki, ojca — już dawno zabitych. Hanka, tuląc ją do siebie i uciszając, myśli nie o siostrze, ani też o rozstrzelanych rodzicach. Myśli o swoich przeżytych dniach. Czym one ją obdarzyły? Nie ma co wspominać! Mimo to, podobnie jak Zośka, nie chciała jeszcze umierać. Liczyła sobie dopiero 25 lat. Była jeszcze panną. Pochodziła z biednego domu. Od najpierwszych bodaj chwil swojego życia nie przeżyła żadnej wesołości. Wyczekiwała jej całe lata i teraz ma skończyć tak nijako? Zginąć w ucieczce od niemieckiej kuli, albo zostać zaduszoną w tym brodle? Kiedy Dawid szedł do partyzantki, przyrzekł jej, że wkrótce weźmie ją do swojego oddziału. Dlaczego nie powrócił? Czyżby zginął? Dlaczego nie dotrzymał słowa i nie zabrał jej? I naraz decyduje. Mimo wszystko razem z Zośką spróbuje ucieczki. Ale muszą zabrać ze sobą karabin... Obchodzić się z nim potrafi. Dawid któregoś dnia przed odejściem tłumaczył jej, jak się wkłada naboje i jak pociąga za cyngiel. Srulowa i starzec Izaak, jako że się do ucieczki nie nadają, pozostaną w brodle. Pozostanie przy nich i siostra. Jest za słaba, żeby dotrzymać kroku uciekającym, a opiekować się nią nie będzie można w żaden sposób, zresztą i czasu by na to nie było. Musi więc pozostać i pozostanie. Na to nie ma żadnej rady. I Hanka szorstko spycha z piersi siostrę i podciąga się do Zośki. Lecz ta, kiedy tylko poczuła obecność Hanki koło siebie, jak nie wrzaśnie:

— Czego chcesz ode mnie? Uspokajać mnie? Giń sama! Ja nie chcę! Ja nie chcę!

Hanka ochłodła raptem w swojej decyzji i wolno podźwignęła się. Jakby ją kto straszliwie skopał, sponiewierał, napowrót upadła na dno swojej kryjówki. W piersiach czuła ból, serce z przerażenia drętwiało, lodowaciało... Powtórzyła cicho do siebie:

— Giń sama...

— Jakaż podła ta Zośka — pomyślała jakoś odruchowo i nagle przypomniała sobie, że nie dalej jak przed paru minutami chciała zdradzić swoich najbliższych. Czyż więc i ona nie jest podła? Przecież zamierzała uczynić to samo, czego dopuściła się już Zośka. Tylko Zośka w obliczu śmierci wyparła się obcych, z którymi nie wiązało ją nic, Hanka zaś chciała wyrzec się swoich, towarzyszy najbardziej gorzkiej i rozpaczliwej niedoli. Czy taka zdrada nie jest większą zbrodnią od Zośczynej? I dlaczego? Że śmierć zajrzała jej w oczy? Hanka skurczyła się jeszcze bardziej, radaby się zapaść gdzieś przed samą sobą, przed Srulową, nie widzieć swojej siostry. Była pewna, że odtąd, ilekroć przy świetle spojrzy im w twarz, zaraz przypomni sobie moment, kiedy z całą zimną krwią planowała pozostawienie ich na śmierć, chociaż jej miejsce było i jest właśnie przy ich boku. Na śmierć czy na życie — to trudno — sprzęgnięta jest z nimi inaczej nie może być i nie będzie.

Poczuła w piersi ucisk, ból topniał i zwolna podciągał jej do gardła, do oczu i zapłakała. Nieświadomie ręce jej poczęły szukać siostry.

— Róziu, chodź tutaj, przytul się do mnie.

Starzec Izaak, wsparty o karabin, słyszał wykrzyknięcie Zośki i nie zdziwił się temu. Zwrócił się tylko twarzą w jej kierunku, chwilę tak patrzył, z powodu ciemności nie widząc nikogo, po czym utkwił oczy w miejscu, gdzie lada moment ma pokazać się głowa ich niszczyciela. Nie myślał o niczym, ale niebawem znów zawrócił myślami do Zośki. Czy ona temu winna? Nie! Winna temu jest nadciągająca śmierć. W ciągu swego życia Izaak widział niejedną podłość, popełnioną w obliczu śmierci. Jej jad, zanim ostatecznie padnie ofiara, dużo złego może jeszcze sprawić. Razi dusze, wypala w nich wszystko co szlachetne, pozostawia tylko brud i powiększa go. Tylko mocne dusze opierają się temu skażeniu. Ale gdzie szukać takich? Wojna... Ludzie giną niczem wyciągnięte na ławicę ryby...

Podobnie rozważała i Srulowa. Ale mniej poświęcała temu czasu. Było jej niewymownie przykro. Łzy miała w oczach, trzęsła głową i powtarzała:

— Zośka, taki porządny człowiek i jak mogła, jak ona mogła!...

Synek bez przerwy spał, oddychając nieco za szybko. Mimo to Srulowa znów przyłożyła twarz do jego główki i nuciła jakąś starą, żydowską piosenkę. To dawało jej pewność, że dziecko, jeżeli ma umrzeć tej nocy, umrze w czasie snu.

Naraz u wylotu brodła dał się słyszeć szelest. Wyraźnie gramolił się ktoś ciężko i niezdarnie

Zośka krzyknęła, jakby ujrzała już wymierzony w siebie karabin, pozostałych ścisł chłód, zamarła w nich zdolność myślenia i czucia. Starzec Izzak, który zawsze żądał od przychodzących, by opowiadali się kim są, tym razem zaniemówił, zrobiło mu się duszno, zachwiał się.

Wtem odezwał się głos Dawida:

— Żyjecie? Wszyscy? Nie bójcie się, Niemcy przed nami uciekli.

Izaak posłyszał Dawida jak przez grubą ścianę nagle ogarnęło go wzruszenie tak gwałtowne że jak przyduszony opadł na słomę. W pierwszym spojrzeniu otwartych bardzo szeroko oczu zobaczył później w świetle elektrycznej latarki Dawida. Stał nad nim i próbował go podnieść.

— Wstawajcie, co wy? Ach, jak można być tak słabym! Już jutro będziecie mieszkać inaczej. Znalazłem dla was duży, ładny dom... No podnieście się, Izaak!

W kącie zagrzebana w słomę obca daleka wszystkim co się teraz działo, popłakiwała rzewnie Zośka, uciekając z oczyma przed światłem.

Bała się tego światła, bała się i najmniejszego ruchu, któryby mógł zwrócić na nią uwagę. Nie miała nawet siły unieść głowy do góry. Ogarniał ją mocny, gorący żal, jak za czymś bezpowrotnie utraconym.

Józef Morton

WSP im. J. P. w Łodzi

JAN KOTT

Jeszcze o „Lalce" i pozytywizmie (II)

HISTORYK polskiej literatury, nawet jeżeli rezygnuje z samodzielnych i źródłowych badań przemian gospodarczych i rozwoju ruchów społecznych, skazany jest na ich samodzielną i, nie ma powodu tego ukrywać, nowatorską interpretację. Dlatego też nie będąc ani historykiem gospodarczym, ani socjologiem stawiam swoją teorię rozwoju kapitalizmu w Królestwie, jednocześnie jako materiał do dyskusji i jako coś w rodzaju hipotezy roboczej. Po prostu szukam odpowiedzi na pytanie, na czym polega odrębność rozwoju kapitalistycznego w Królestwie, w porównaniu z Zachodem i w jakiej mierze ową odrębność zadecydowała o rozwoju społecznym, a w konsekwencji o ruchach ideowych i prądach literackich w drugiej połowie XIX wieku. Wybieram inną metodę, niż prof. Chałasiński, który w modelu obyczajowym i sytuacji społecznej polskiej inteligencji szukał odpowiedzi na to samo pytanie.

TRZY KRĘGI KAPITALIZMU

Trzy kręgi kapitalizmu — tak nazywam swoją teorię, ponieważ wydaje mi się, że właśnie wyodrębnienie trzech zupełnie różnych kręgów rozwoju kapitalistycznego w Królestwie przynosi zasadniczą odpowiedź na postawione pytania.

Pierwszym z tych kręgów jest przemysł. Około roku 1880 wielki przemysł w Królestwie ma już charakter wyraźnie kolonialny. Według mało miarodajnej statystyki, przeprowadzonej z początkiem XX wieku (cytuję za „Historią Gospodarczą" Witolda Kuli), fabryki, należące do kapitału obcego, stanowiąc 25 proc. ogólnej liczby fabryk pracujących w kraju, zatrudniały 54 proc. ogólnej liczby robotników i wytwarzały 60 procent ogólnej wartości produkcji. Jeżeli uwzględnimy różnorodne i skomplikowane formy zależności gospodarczej przemysłu od banków, wpływy kapitału zagranicznego okażą się niewątpliwie znacznie większe.

Przemysł ten słusznie nazywa Kula „eksterytorialnym", jest on własnością kapitału obcego (przeważnie niemieckiego), zaopatruje rynek wschodni. Ma wszelkie cechy typowe początków imperializmu: daleko posunięty stopień koncentracji, wysoka dywidenda, nowoczesne sposoby produkcji.

Przemysł rewolucjonizuje życie społeczne w Królestwie, przyczynia się do rozwoju miast, tworzy fabryczny proletariat. Brak nam tylko jeszcze jednej podstawowej cechy. Wielkokapitalistyczny przemysł na Zachodzie należał do mieszczaństwa. W Królestwie należy do obcych. Na Zachodzie przemysł jest bazą gospodarczą klasy pracującej, podstawą jej dobrobytu i siły politycznej. W Królestwie — jest zamkniętym, eksterytorialnym kręgiem. Na Zachodzie interesów przemysłu bronią partie polityczne, kapitał przemysłowy walczy o udział w rządach, poszczególne frakcje burżuazji zrastają się w jednolity obóz polityczny, podporządkowują i dostosowują do własnych zadań i celów aparat państwa konstytucyjnego. Kapitał przemysłowy ma swoich ideologów i filozofów, artystów i pisarzy, prasę i naukę. Tymczasem u nas najlepszym symbolem społecznego miejsca, jakie zajął wielkokapitalistyczny przemysł, jest łódzki „osobniak": luksusowy, fabrykancki pałacyk, na nieskanalizowanej ulicy, otoczony wysoką kratą lub gęstym szpalerem drzew.

Tak wygląda krąg pierwszy. A teraz krąg drugi: latyfundium magnackie, które przechodzi na kapitalistyczne formy produkcji rolnej. W cukrownictwie stosunkowo szybko zaczynają dominować towarzystwa akcyjne, w gorzelnictwie, cytuję Kulę, od roku 1898 zaprowadzony został rządowy monopol sprzedaży spirytusu i przemysł ten pracuje na potrzeby jednego nabywcy, t. j. skarbu i według jego zapotrzebowań normuje ilość i jakość owej produkcji. Latyfundium magnackie, które wyrosło z epoki feudalizmu okazało się jednym z najsilniejszych organizmów gospodarczych daleko zaawansowanego kapitalizmu. Latyfundium magnackie żyje jakgdyby jednocześnie w dwóch różnych okresach historycznych i to właśnie określa jego miejsce społeczne, inne zupełnie niż na Zachodzie.

We Francji latyfundium magnackie walczy o udział w rządach. W osiem miesięcy po zduszeniu czerwcowego powstania robotników paryskich obejmuje rządy partia porządku, w której połączyły się dwie dotychczas zwalczające się frakcje burżuazji legitymiści i orleaniści. Wielcy właściciele dóbr, panowie świeccy i duchowni połączyli się z kapitałami przemysłu, z bankami, finansistami i kupcami. W Niemczech kapitały junkrów opanowują banki i przemysł.

W Królestwie (a w znacznym stopniu i w Galicji) jest zupełnie inaczej. Latyfundium magnackie podobnie jak wielki przemysł jest „eksterytorialne". Arystokracja zachowuje swoje miejsce w hierarchii społecznej, zachowuje wszystkie tradycje feudalizmu, pozostaje właściwie poza swoją epoką. Jej udział w życiu politycznym ogranicza się do pielęgnowania dobrych stosunków towarzyskich z kuzynami na dworach wszystkich trzech zaborców i do odprawiania w uroczystych momentach nabożeństw lojalności w stosunku do monarchy. Mecenat arystokracji w ruchu umysłowym i artystycznym nie odgrywa już większej roli. Pozostaje tylko pewien społeczny wzór życia towarzyskiego i umysłowej kultury, który niewątpliwie i tu ma rację Chałasiński, działa niszcząco na formowanie się typu polskiego inteligenta.

Obcy kapitał kolonizuje kraj na pół feudalny, jaśnie pański folwark przejada dochody z gorzelni i cukrowni za granicą. — Z tych dwóch kręgów kapitalizmu w Królestwie: wielkiego przemysłu, o daleko posuniętej koncentracji kapitału, o wysokiej organizacji technicznej i magnackiego latyfundium, pielęgnującego tradycje feudalne, każdy należał do odrębnej formacji historycznej i społecznej, żaden nie był zainteresowany w rozwoju cywilizacyjnym kraju.

Oczywiście, że chociaż znacznie wolniej niż na Zachodzie, następować musiał i u nas proces zrastania się arystokracji finansowej i rodowej. Ale miał on nieco inny charakter, bardziej towarzyski i koligacyjny (małżeństwa), niż społeczny i gospodarczy. Nie prowadził do wytwarzania się jakiejkolwiek siły politycznej i ekonomicznej, nie tworzył warstwy wielkiej burżuazji. Po prostu parę bardzo bogatych, dawno zasymilowanych bankierskich rodzin żydowskich skoligowało się z podupadłymi rodami magnackimi.

Tak wyglądają dwie kapitalistyczne wyspy w morzu prymitywnej gospodarki naturalnej. Jest jeszcze krąg trzeci. Tworzy go handel i rzemiosło: sklep, warsztat, mała fabryczka, spółka akcyjna dla handlu zbożem, kamienica czynszowa i bank. Zrasta się on powoli z bardzo różnych formacji społecznych: niemieckiego mieszczaństwa, Żydów, rozbitków z dworku szlacheckiego, warstwy urzędniczej i chłopów, którym powiódł się awans społeczny. To właśnie jest polskie mieszczaństwo, które odpowiada mniej więcej „middle class" w Anglii i „petite bourgeosie" we Francji. Ale sytuacja społeczna tej warstwy, inna jest zupełnie niż na Zachodzie, inna przede wszystkim przez fakt nie istnienia burżuazji w sensie zachodnio - europejskim.

Wyobraźmy sobie sklepik w kraju pół kolonialnym, związanym gospodarczo i politycznie z Cesarstwem Rosyjskim, który nagle, naskutek przemian historycznych i społecznych, otrzymuje jako oręż ideologiczny wzory dojrzałej myśli Zachodu z okresu triumfu mieszczaństwa: Comte'a, Spencera i Milla. Oto niemal już sytuacja warszawskiego pozytywizmu. Nim jednak do niego wrócimy, potrzebna nam jest jeszcze dokładniejsza charakterystyka sklepiku.

To był nie tylko sklepik. Były jeszcze banki, ale banki zwłaszcza od r. 1879 (kiedy Bank Polski przekształcony został na kantor warszawski rosyjskiego Banku Państwa) odgrywały zupełnie inną rolę w Królestwie, niż na Zachodzie. Na Zachodzie banki finansowały rozwój przemysłu przez udzielanie kredytu długoterminowego na budowę fabryk. Podobnie postępował i Bank Polski w okresie paskiewiczowskim, inwestując niejednokrotnie wielkie sumy w hutnictwie żelaznym, przemyśle włókienniczym, budowie dróg i kanałów.

Po roku 1870 jest już inaczej, banki rozwijają się wspaniale, ale zakres ich działalności ogranicza się do dyskonta weksli, pożyczek pod zastaw papierów wartościowych, lub na pierwszy numer hipoteki.

Przedsiębiorca (znowu cytuję Kulę) otrzymać może tylko wtedy kredyt hipoteczny, o ile posiada swe zakłady w większych miastach, a i to tylko do wartości gruntu i zabudowań. Przedsiębiorca traktowany jest przez banki jak kamienicznik; fabryka jest dla banku posesją, niczym więcej. W tych warunkach rozwój własnego przemysłu był niemożliwy. Ze sklepiku mogła wyrosnąć Spółka Akcyjna, z kantoru wymiany — bank, kancelaria adwokacka przynieść może czynszową kamienicę, ale zamknięty krąg kapitału handlowego nie zostanie nigdy przekroczony.

Tak właśnie wygląda trzeci krąg kapitalizmu w Królestwie, ten krąg, który stał się gospodarczą i klasową bazą warszawskiego pozytywizmu.

POZYTYWIZM I DROBNOMIESZCZANIE

Wejście Rosji, po przegranej w wojnie krymskiej, na drogę rozwoju kapitalistycznego zadecydowało o losach Królestwa. Nie klęska powstania, ale rok 1857 stworzył warunki gospodarcze dla ideologicznej rozprawy z feudalizmem. Klęska powstania zmieniła jedynie układ sił politycznych. Po załamaniu się romantyzmu politycznego niedobitki obozu narodowo - wyzwoleńczego przejęły hasło pracy od podstaw.

Walka z feudalizmem toczy się zawsze w jakimś kostiumie historycznym. Tym razem kostium ten pożyczony został w garderobie zachodnio-europejskiego kapitalizmu. Był to kostium liberała z okresu triumfu mieszczaństwa. Najlepiej go nosił zresztą Aleksander Świętochowski.

Apologia technicznego i społecznego postępu, mitologia „kapitanów przemysłu" i bankierów, wiara w zbawczą moc oświaty i filantropii, entuzjastyczne podjęcie hasła „pracy organicznej" stało się wspólnym i ogólnym programem kapitalistycznego przewrotu. Perspektywa bogacącego się sklepiku nie była zbyt nęcąca, zamiast niej pozytywiści warszawscy postawili wizję stałego postępu cywilizacyjnego, wzrostu ogólnego dobrobytu i nieograniczonego rozwoju społecznego, jaki przynosi kapitalizm.

Warto zresztą odrazu zaznaczyć, że istnieje ogromna różnica pomiędzy deklamacyjną i abstrakcyjną publicystyką okresu, tworzącą kostium ideologiczny epoki, a społeczną i ekonomiczną praktyką, jaką zalecali warszawscy pozytywiści, ilekroć wypowiadali się na tematy konkretne. Program konkretnych reform był bardzo trzeźwy i skromny: szkoły dla rzemieślników, kasy oszczędnościowe, walka z alkoholizmem, kursy zawodowe, stowarzyszenia gospodarcze. To prawie wszystko, co wyczytać możemy z „Przeglądu Tygodniowego". Postęp cywilizacji oznaczał w praktyce tworzenie warsztatów rzemieślniczych i kultywowanie drobnomieszczańskich cnót gospodarczych.

„Twórca polskiej szkoły narodowej Supiński — przepisuję za Chałasińskim z rozprawy Rychlińskiego — był wolnohandlowcem dlatego, że o przemysł dbał stosunkowo mało. Wolnohandlowcami byli również opiekunowie przemysłu krajowego z grona liberałów warszawskich. Byli to przecież opiekunowie tylko drobnej części przemysłu, tej części, która nie pozostaje w rękach wielkokapitalistycznego mieszczaństwa. — W Anglii i we Francji interesem mieszczaństwa, dążącego do ekspansji towarowej na rynki obce było głoszenie zasad wolnohandlowych. W Królestwie Polskim te same hasła dowodziły, że mało dbano w istocie o rosnące społeczeństwo mieszczańskie, z obcych przecie żywiołów złożone...".

Już to ostatnie zdanie Rychlińskiego budzić musi zastrzeżenia. Ale jeszcze bardziej niepokojący jest komentarz, jaki dopisał Chałasiński. „We Francji — pisze w cytowanym już szkicu—poglądy liberalne wzrastały w związku z rozwojem gospodarczym i były intelektualnym narzedziem praktycznej walki mieszczaństwa, przeszczepione zaś do Polski, nie były wyrazem istniejącej klasy mieszczańskiej, której nie było, lecz argumentem, jakim postępowe koła inteligencji szlacheckiej posługiwały się, usiłując społeczeństwo przekonać o konieczności wytworzenia klasy mieszczańskiej".

Pozytywizm warszawski jest więc według Chałasińskiego ideologią nieistniejącej klasy społecznej, propagowaną przez inteligencję, aby tę nieistniejącą klasę wytworzyć. Model społeczno - obyczajowy „rozbitka z dworu szlacheckiego" tłumaczy tutaj i wyjaśnia powstawanie i rozwój ideologii, nie mających żadnego oparcia w realnie istniejących klasach społecznych. „Swoistym rysem historii społecznej Polski dziewiętnastego i dwudziestego wieku, różniącym nasze stosunki od stosunków na Zachodzie, jest istnienie osobnej, samoistnej warstwy inteligencji. Nie jest to ani inteligencja mieszczańska, ani inteligencja innej jakiejś klasy społecznej, ale inteligencja jako samoistna warstwa, historycznie pochodna od szlachty". I ostatecznie konkluduje Chałasiński: „Liberalizm we Francji wiązał się z potężnym stanem mieszczańskim, a w Polsce był ideologią postępowej inteligencji szlacheckiej, która dążyła do stworzenia nieistniejącego stanu mieszczańskiego". Oto do jakich wniosków doprowadza zastąpienie konkretnej i historycznej analizy istniejących sił społecznych przez uniwersalne modele weberowskie.

Pozytywizm warszawski nie działał w próżni gospodarczej i społecznej. Był ideologią kapitalistyczną, ale zupełnie innej frakcji burżuazji niż na Zachodzie. I na tym właśnie polega cała jego odrębność. — W państwie półkolonialnym pozytywizm warszawski, czy tzw. polski liberalizm nie mógł stać się ani ideologią „eksterytorialnego" przemysłu, ani też ideologią „eksterytorialnego" latyfundium. Był natomiast zgodnie z rozwojem historycznym ideologią „trzeciego kręgu" kapitalistycznego w Królestwie, ideologią drobnomieszczaństwa, albo ściślej i lepiej kapitału handlowego.

Oczywiście, że drobnomieszczanin warszawski w kostiumie zachodnio - europejskiego liberała z okresu triumfu mieszczaństwa wyglądał dosyć humorystycznie. Ale w ciągu dwudziestu lat drobnomieszczanin przykroił sobie ten kostuim do własnych potrzeb. Kiedy w roku 1887 kostium nareszcie pasował do figury, powstała partia polityczna drobnomieszczaństwa: Liga Polska (późniejsza Narodowa Demokracja).

W przemianach warszawskiego pozytywizmu odnaleźć możemy wyraźne odbicie zasadniczych sprzeczności społecznej sytuacji polskiego drobnomieszczaństwa.

Sprzeczność pierwsza: pomiędzy rosnącym uświadomieniem narodowym i dążeniami niepodległościowymi, jakie przynosił rozwój kapitalizmu a koniecznością gospodarczej i politycznej współpracy z Rosją, od czego zależał rozwój handlu i byt materialny całej klasy.

Sprzeczność druga: pomiędzy heroicznym i rewolucyjnym dziedzictwem walki z feudalizmem a płaskością i filisterstwem życia, poświęconego obronie interesów sklepiku, banku i kamienicy czynszowej. Około roku 1880 ideolodzy „trzeciego kręgu" zaczynają wyrzekać się dorobku postępowej myśli mieszczańskiej. Obserwować możemy ten proces zupełnie wyraźnie w stopniowym przechodzeniu wszystkich pisarzy pozytywistycznych na późniejsze polityczne i ideologiczne pozycje Narodowej Demokracji.

Sprzeczność trzecia: pomiędzy ogólnonarodowym, a nawet ogólnoludzkim solidaryzmem, jakiego broni drobnomieszczaństwo w początkach epoki kapitalistycznej, a bezwzględnym nakazem solidaryzmu klasowego, a nawet wyznaniowego, do jakiego pcha drobnomieszczanina lęk przed zorganizowanym robotnikiem i żydowskim konkurentem.

1756-A

„Lalka" Prusa jest właśnie wielkim i genialnym obrazem tych wszystkich wewnętrznych pęknięć i sprzeczności ideologii drobnomieszczańskiej w kraju półkolonialnym, który przegrał własną rewolucję kapitalistyczną. W Królestwie nie było miejsca dla ideologii rozpędu cywilizacyjnego i rewolucji techniczno - przemysłowej. To nie był historyczny okres mieszczańskiego liberalizmu i cywilizacyjnej ekspansji. To był okres eksploatacji kolonialnej monopolistycznego kapitalizmu. I dlatego przez dwadzieścia lat za pomocą Comte'a, Spencera i Buckle'a bronili ideolodzy drobnomieszczaństwa wartości cywilizacyjnych... małego sklepiku. Po tem Comte, Spencer i Buckle okazali się niepotrzebni, a nawet zawadzający.

Na pół sproletaryzowani wyrobnicy pióra głosili z całym zapałem słynne **„enrichissez - vous"**! Guizota, ministra monarchii orleańskiej przywódcy arystokracji finansowej, ideologa bankierów i przemysłowców. Ale owo piękne hasło: „bogaćcie się"! brzmiało tylko pozornie tak samo, jak we Francji. Z roku na rok oznaczało ono coraz wyraźniej obronę tych wartości gospodarczych, które w kraju półkolonialnym ostały się w rękach polskich :sklepiku, kancelarii adwokackiej i kamienicy czynszowej, a po roku 1880 doszedł do tej listy jeszcze obdłużony szlachecki folwark, który rozpaczliwie bronił się przed parcelacją kułacka zagrodą chłopa, którego prymitywny, na pół zwierzęcy byt gwarantował niezmienność stosunków społecznych.

Tak więc nie społeczno - obyczajowy model inteligenta polskiego, „rozbitka z folwarku szlacheckiego", ale specyficzna struktura trzech kręgów kapitalizmu w Królestwie, zadecydowała o kierunku rozwoju i przemianach warszawskiego pozytywizmu. Generalnym spadkobiercą drobnomieszczańskiej ideologii warszawskiego pozytywizmu stała się endecja. Natomiast rewolucyjne tradycje walki z feudalizmem i ogromny dorobek, przyswojonej przez pozytywistów dziewiętnastowiecznej nauki i myśli europejskiej, przejął ruch socjalistyczny.

(dok. nastąpi)

Jan Kott

RYSZARD MATUSZEWSKI

Przed Mystkowicami była Grzmiąca

NIEMALŻE bez echa w krytyce (poza jedną czujną „Wsią") minęło wznowienie powieści Władysława Kowalskiego „W Grzmiącej"*). Z jednej strony — trudno się temu dziwić, skoro chodzi o wznowienie. O wielu wznowieniach nie pisze się u nas recenzji. Nie pisanie o wznowieniach jest raczej regułą. Z drugiej strony jednak przejście do porządku dziennego nad taką książką, jak „W Grzmiącej", w tego rodzaju okresie historycznym, jak dzisiejszy i przy tego rodzaju troskach opinii społecznej, jak te, którym daje wyraz dzisiejsza krytyka, wydaje się co najmniej dziwne. Trzeba bowiem stwierdzić przede wszystkim, że książka Kowalskiego jako wznowienie znajduje się w sytuacji zupełnie specjalnej: jest wznowieniem i nie jest nim zarazem. Wydana po raz pierwszy w roku 1936, nakładem jednej z tych firm księgarskich, których etykieta wydawnicza nie przysparzała książce bynajmniej dobrej opinii w oczach większości ówczesnych recenzentów, została ona zgodnie przemilczana przez oficjalną prasę literacką. Entuzjastyczne przyjęcie w kołach lewicy społecznej nie zmieniło faktu, że rozgłos jej nawet w zestawieniu z rozgłosem nie mniej buntowniczych społecznie powieści Kruczkowskiego, Wasilewskiej czy Boguszewskiej był nikły, ograniczony jedynie do tych kół, w których nazwisko autora i jego wysiłek artystyczny oceniano pod innym nieco kątem widzenia, niż ten, jaki reprezentował np. w „Roczniku Literackim" sumienny skąd inąd Leon Piwiński, klasyfikujący „W Grzmiącej" poniżej jednoczesnych debiutów M. Buczkowskiego i Otwinowskiego, a nawet Aliny Segeń oraz na jednym poziomie z „powieścią erotyczno-lotniczą" Stefana Łaszkiewicza p. t. „Sępy".

Można dziś, kiedy książka Kowalskiego, dzięki swemu nowemu wydaniu, dostępna jest dla każdego i przemawia sama za siebie, spokojnie zacytować sąd ten, jako miażdżący argument, przeciwko tym wszystkim, którzy łudzą się, że można zbudować jednoznaczny system ocen literackich, opartych wyłącznie o kryteria formalne. Naszym zdaniem niemożliwa jest ocena, w której świadomie czy mimowoli krytyk nie zajmowałby określonego stanowiska ideologicznego, a jest tylko sprawą jego społecznej świadomości, inteligencji i dobrej woli, czy będzie on umiał rolę czynnika ideologicznego uwzględnić w sposób współmierny z charakterem omawianego utworu i zamierzeniami artystycznymi jego twórcy.

Rzecz polega na tym, że chociaż „W Grzmiącej" Kowalskiego jest książką o zdecydowanie zaznaczonej funkcji społecznej, to jednak jej pełnej charakterystyki nie da się ograniczyć do podkreślenia tego typu właściwości. Nie da się tego uczynić zwłaszcza dzisiaj, kiedy przedmiotem żywej wymiany zdań jest nie tylko społeczna, ale i artystyczna ocena nowego, na podobnych co „W Grzmiącej" motywach opartego utworu literackiego — trylogii Juliana Gałaja „Mystkowice, wioska mała".

„W Grzmiącej" jest powieścią, której akcja rozgrywa się w latach pierwszej wojny światowej, na wsi w okolicach Łodzi. Akcję tę stanowią dzieje gromady wiejskiej, ściśle związanej z pobliskim dworem, którego polityka i sposób postępowania wobec chłopów okazują się w toku powieści całkowicie uzależnione od sytuacji gospodarczo - politycznej, są wyraźnie jej funkcją. Bohaterem powieści jest chłop, będący bijącym w oczy przeciwstawieniem wyidealizowanej postaci przywiązanego do ziemi reymontowskiego kmiecia Boryny, chłop ukształtowany zarówno przez wieki pańszczyzny jak i w ostatnich lat dziesiątkach przez sąsiedztwo miasta i procesów industrializacyjnych.

Marzeniem Kubasa jest poprawa bytu przez przeniesienie się do miasta. Cel życiowy innych chłopów, ukazanych przez Kowalskiego, to przede wszystkim poprawa sytuacji materialnej. Ośrodkiem zainteresowania gromady jest dwór: główny, najsilniejszy i właściwie w perspektywie ukazanej nam przez Kowalskiego jedyny wróg klasowy chłopa. Tylko dalekim i ubocznym echem obijają się o Grzmiącą sprawy świadomej walki inteligentów i robotników łódzkich o niepodległość Polski i sprawiedliwość społeczną. Tylko fragmentarycznie ukazane są postaci ludzi nowych, bohaterów walki o lepsze jutro. Przed oczyma czytelnika defiluje galeria typów ludzkich, których świadomość określił bez reszty twardy byt pańszczyźniany. Kubas, podejrzliwy pesymista, któremu układ społeczny nie pozwala zrealizować żadnego z celów, jakie w życiu sobie postawił, występuje na tle gromady, której każdy postępek w stosunku do dworu cechują, uzasadnione sytuacją ponurej zależności—strach i obłuda. Nieszczery jest stosunek chłopów zarówno do „złego pana", jak i do „pana dobrego", jakiego upostaciowanie stanowi świetnie zarysowana sylwetka „chłopomana" Łazowskiego.

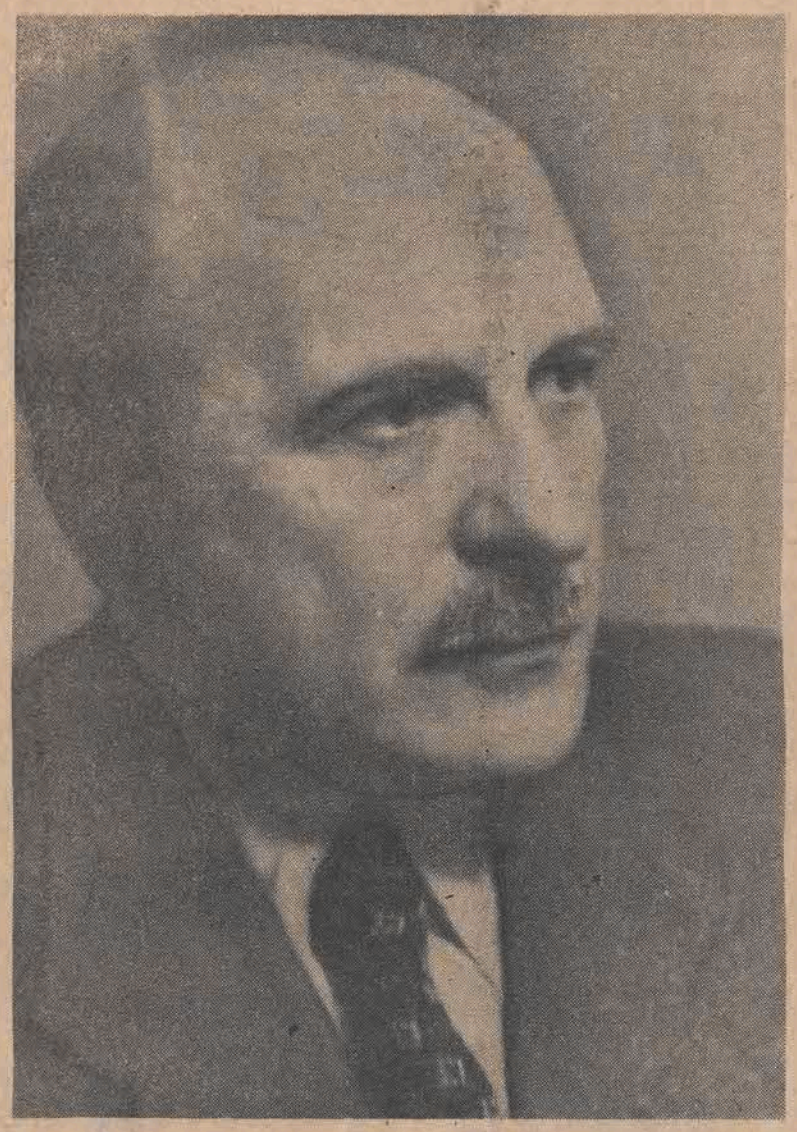

Władysław Kowalski

Z nieubłaganą konsekwencją wykazuje Kowalski cynizm dziedzica Grzmiącej Olpińskiego, który po powrocie z Rosji, gdzie dokonał się przewrót październikowy, gotów był ze strachu rozdać ziemię chłopom i płaszczyć się przed nimi, aby następnie wykorzystać każdą sposobność do oszukańczego działania przeciwko chłopskiej gromadzie. Z tą samą konsekwencją demaskuje Kowalski naiwność i śmieszność idealistycznego przyjaciela chłopów Łazowskiego, którego postawa w praktyce nie różniła się niczym od postawy tych, co wobec „chamów" czuli jedynie wzgardę. Odcienie psychologii chłopa w zetknięciu z obcym mu środowiskiem dworu, ukazane na przykładach innych postaci powieściowych, sylwetka drobnomieszczańskiego dorobkiewicza Klickiego, uderzają trafnością. Język powieści cechuje autentyczność i zharmonizowanie elementów gwarowych z zasadniczym podkładem języka literackiego. W sumie — powieść „W Grzmiącej", pełna uderzająco prawdziwych obrazów z życia widzianej od wewnątrz, dobrze podpatrzonej i odkłamanej z idealizujących upiększeń rzeczywistości wiejskiej stanowi bardzo istotny fragment polskiej wsi z lat 1914 — 1920, fragment, który tylko świadoma tendencja może chcieć przeoczyć czy wyeliminować.

Podobieństwo pierwszego zwłaszcza tomu niezwykle interesującej trylogii Gałaja do przedwojennej książki Kowalskiego jest uderzające. Ten sam czas akcji i ta sama mniej więcej okolica, z czego wynikają podobne koleje wojennych losów Mystkowic i Grzmiącej — to tylko najbardziej zewnętrzne przejawy tego podobieństwa. Istotniejszy jest punkt widzenia obu autorów i budowa akcji, i tu i tam zakładające jako punkt centralny utworu nie losy jednostki, czy kilku jednostek, lecz dzieje gromady wiejskiej. I tu i tam główny bohater jest raczej pretekstem do przedstawienia kroniki wydarzeń, dotyczącej gromady, i tu i tam wytworzona tym sposobem kompozycja jest stosunkowo luźna, a tok zdarzeń do pewnego stopnia nie obowiązujący, jak w wiejskiej gawędzie mówionej. Możnaby z powodzeniem nie jedno tutaj dodać, nie jedno ująć. Podobny jest również klimat obu utworów, wyrażający się nie tylko w tej samej ideowej postawie bohaterów obu książek, ale i w rysunku ich charakterów, w uzasadnionym przez ową postawę pesymiźmie, pesymiźmie ludzi dławionych przez wrogi ustrój społeczny, pesymiźmie twórczym stanowiącym pożywkę mocnych decyzji i mającym przerodzić się kiedyś w mocny, twórczy optymizm budowniczych nowego świata. Kubas i dwa pokolenia Łękisów — to ludzie podobnej formacji nietylko socjalnej, ale i — uwarunkowanej w dużej mierze przez nią — psychicznej. Mystkowice i Grzmiąca — to wsie w których przekroje spraw ludzkich są podobne, „konstrukcja losu ludzkiego", jak zwykło się mówić ostatnio, — ta sama.

Jeżeli podkreślamy te podobieństwa to bynajmniej nie dlatego, aby umniejszyć znaczenie szerokiej, barwnej i wszechstronnej kroniki życia wiejskiego, jaka wyszła z pod pióra Gałaja, nie poto aby wytknąć mu jego wtórność. Za chwilę zaznaczymy różnice, które są znaczne, i które z jednej strony znakomicie uchwycić pozwalają to, co naszym zdaniem stanowi o głównych walorach trylogii Gałaja, a co z drugiej tłumaczy pewną rezerwę wobec niektórych nad nią zachwytów. Czynimy to przede wszystkim dlatego, aby, powołując się na zalety, jakie przyznano Gałajowi, upomnieć się o przyznanie ich również jego ojcu duchowemu — Kowalskiemu. Między Kowalskim a Gałajem leży tylko niewielki dystans czasu powstania ich książek: dystans od lat trzydziestych do lat okupacji. Dzieło Gałaja jest wyraźnie rozwinięciem koncepcji Kowalskiego. Jest zarazem odrzuceniem tego, co stało się już niepotrzebnym i nieistotnym balastem w latach, kiedy konflikt wsi z dworem został ostatecznie i radykalnie zlikwidowany. W „Mystkowicach" nie ma dworu: są tylko chłopi. Z miastem, polityką, klerem, spółdzielczością, państwem, policją — bez cienia odwiecznego sporu ze szlachtą. O tyle Gałaj jest młodszy i nowocześniejszy, o tyle pełniejszy. Jednocześnie z odrzuceniem tego dworskiego cienia wyrasta bowiem setka spraw dawniej stłumionych dziś równie ważnych albo i ważniejszych. Kronikę Gałaja cechuje wielość problemów i zagadnień, to co było dalekim echem życia chłopów w Grzmiącej — staje się codzienną treścią życia Mystkowiaków. Gałaj — to epopeja, całokształt życia wsi na przestrzeni lat dwudziestu kilku. O „Grzmiącej" — tego powiedzieć nie można.

Z drugiej strony jednak podkreślić trzeba z całą stanowczością, że jeżeli bogactwo materiału, rozsadzające trzy tomy „Mystkowic" jest większe, to jego organizacja, zwykła pisarska organizacja materiału powieściowego, przedstawia się w utworze Kowalskiego o wiele lepiej. Nie jest obroną zmiennych i klasowo uwarunkowanych form pisarskiego rzemiosła stwierdzenie, że powieść jest utworem, którego oddziaływanie na czytelnika polega na zainteresowaniu go, przykuciu jego uwagi i utrzymaniu jej w tym stopniu napięcia, aby los bohaterów książki interesował nas jak losy znajomych osób. Do tego celu służyć może odpowiedni układ i kolejność następujących po sobie fragmentów akcji, odpowiednio żywa i czemuś nadrzędnemu służąca charakterystyka postaci. Są to środki bez których zatraca się gatunek powieściowy, jak dotąd w swej społecznej roli oddziaływania na najszersze masy czytelnicze — niezastąpiony przez żaden inny. Tymi środkami, a raczej zespołem ich daleko sprawniej posługuje się poprzednik Gałaja. Autor Mystkowic nie konstruuje wcale akcji, nie eliminuje niczego, dlatego, choć porwani często plastyką i barwnością poszczególnych opisów, odczuwamy znużenie, brnąc przez całość.

Ograniczenie, podporządkowanie pewnym, choć dość swobodnym ramom konstrukcji podnosi walor, dodaje siły wyrazu książce Kowalskiego, którą jej nie pozbawiony mocnych i brutalnych przejaskrawień realizm oraz ostrość widzenia sprzeczności społecznych niedawnej przeszłości czynią pozycję niezaprzeczenie żywą i aktualną w spuściźnie powieściowej międzywojennego dwudziestolecia. Jako cechę dla powieści tego typu, co „W Grzmiącej", o wyraźnej tendencji społecznej, w stosunkach naszych dość wyjątkową podkreślić należy przytym całkowity brak męczącego gdzie indziej dydaktyzmu, umiejętności całkowitego zamknięcia intencji autora w przemawiających losami jego bohaterów faktach. Obraz powracającego z Rosji potulnego dziedzica, który w oczach nieomal przeradza się w dawnego sprytnego wyzyskiwacza chłopskiej ciemnoty i nędzy, sceny z paskarzem Klickim i sentymentalnym „chłopomanem", Łazowskim pełne są do dziś wymowy mimo zmienionych warunków społecznych. Żyją i dziś jeszcze, choć w innej nieco roli Olpińscy, Odlaniccy i Łazowscy, i upłyną lata, nim dzieci ich, wychowane w innych warunkach niż ojcowie, myśleć zaczną innymi niż oni kategoriami, kategoriami szacunku dla człowieka i zrozumienia praw, jakie rządzą formowaniem się jego świadomości.

Ryszard Matuszewski.

*) Władysław Kowalski „W Grzmiącej" Państw. Inst. Wyd. W-wa, 1947, str. 273.
Państw. Inst. Wyd. W-wa. 1947, str. 273.
Wyd. II.

TREŚĆ NR 51 — 52

Beniamin Constant — **Dziennik Poufny**; Paweł Hertz — **W Paryżu i w Genewie**; Dante — **Canzona**; Mieczysław Jastrun — **Wiek klęski**; Federico Garcia Lorca — **Zwada**; Henri Denis — **Humanizm i materializm, a myśl filozoficzna Karola Marksa**; Georg Lukacs — **Powieść jako mieszczańska epopea**; Stanisław Wygodzki — **Wiersze**; Kazimierz Brandys — **Samson**; Andre Chamson — **Dwa fragmenty**; Jan Kott — **Jeszcze o „Lalce" i pozytywiźmie (I)**; Alfred Gradstein — **Po radiowym festiwalu muzyki słowiańskiej**; Stanisław Dygat — **Przygody pustej głowy**; Stefan Żółkiewski — **„Najlepsza droga nie jest równoznaczna z najłatwiejszą drogą"**; Ryszard Matuszewski — **Poezja optymistyczna**; Ewa Korzeniewska — **Nowa powieść Rembeka**; K. W. Zawodziński — **Książki dla dzieci w dorosłych oczach**; Helena Bobińska — **Dialog o czarnym wężu**; Kajtan Kotowicz — **Homer Shakespeare i amerykańska pomoc gospodarcza**; Adam Kotula, Stanisław Lem — **Z ruchu wydawniczego**; Stefan Otwinowski — **W Krakowie**; Kandyd — **Tak toczy się światek**; **Korespondencja**; **Przegląd Prasy**; **Noty**.

SZUSTER EDWARD

Nagrodzona legenda *)

STYCZEŃ 1943 roku w okolicach Krasnystawu. Przed gestapowcami uchodzi z miasta działacz konspiracyjny. Znużony walką ze śnieżycą pada na leśnej drodze. Przejeżdżający chłop ratuje działacza, zabiera go do swej chaty i choć dowiaduje się, że znaleziony w lesie człowiek jest poszukiwany przez Niemców, daje mu schronienie. Ów chłop ma żonę, byłą urzędniczkę, która rychło zaczyna się egzaltować osobą przybysza, podczas gdy ten ostatni, odpocząwszy nieco, zaczyna działać.

Nie podoba się chłopu zainteresowanie żony, a gość spostrzegłszy, iż jest przyczyną małżeńskich niesnasek, opuszcza dom swego zbawcy, by swobodnie prowadzić konspiracyjną pracę. Lecz żona chłopa nie może zapomnieć działacza, więc też mąż jej staje się coraz bardziej zazdrosny o swego organizacyjnego zwierzchnika. I działaczowi nie jest obojętna urzędniczka; znajduje się wobec konfliktu uczucia z obowiązkiem wdzięczności. Zwycięża uczucie. Dochodzi do zasadniczej rozmowy, w której jednak żona chłopa — pozostająca pod wpływami swej konspiracyjnej towarzyszki — z całą premedytacją wybiera drogę wyrzeczenia się szczęścia osobistego. Zostaje przy mężu, nie wiedząc o tym, że ten, opętany zazdrością, denuncjuje działacza. Na szczęście donos zostaje przejęty, a donosiciel — nieświadom tego faktu — pod wpływem wyrzutów sumienia uprzedza działacza o swej zdradzie. W krótkiej, męskiej rozmowie, wybaczają sobie wzajemne winy. Chłop idzie do oddziału leśnego, gdzie uspokojony spowiedzią, ginie. Co dzieje się dalej z działaczem i żoną poległego — niewiadomo, bo książka się kończy.

Tak mniej więcej wygląda fabularny szkielet powieści Kłosowskiego. Historia nieskonstruowanego trójkąta małżeńskiego służy autorowi za oparcie jego wizji życia wsi lubelskiej w czasie okupacji. Bohaterowie powieści to mniej lub więcej zaangażowani aktywiści i bardzo nieliczni przeciwnicy ruchu podziemnego. Niezdecydowanych czy pragnących trzymać się na uboczu — nie ma. Autora interesują przytem prawie wyłącznie ludzie związani z organizacją „Rocha" czy Batalionów Chłopskich. Kłosowski ma swoją legendę Batalionów Chłopskich ukazującą tę formację polskiego życia podziemnego jako jednolity ideowo twór mas ludowych dążących do ludowej Polski. Dla jej uwydatnienia autor szeroko rozwodzi się nad majoryzacyjnymi dążnościami AK, ignoruje natomiast istnienie Armii Ludowej, która dla bohaterów jego byłaby groźnym konkurentem w ludowości i demokratyźmie.

Uproszczeniom ideologicznym — towarzyszą artystyczne. Konstrukcja książki oparta jest na nawlekaniu na losy bohaterów wydarzeń dotyczących szerszego środowiska i nie odznacza się oryginalnością. Charaktery, orientowane według zasadniczej linii podziału na patriotów i zdrajców, ograniczają się do paru zasadniczych cech. Jest więc bojownik-poeta, bojownik-kobieciarz, bojownik-żołnierz, bojownik-zazdrosny mąż; jest działaczka-entuzjastka, działaczka-żona w rozterce, działacz patetyczny i działacz skromny: postacie rysowane schematycznie, typowi bohaterowie legendy — wyraźni i nieskomplikowani.

Ludzie ci — jak na bohaterów legendy przystało — żyją przede wszystkim ideą. Idea jest zasadniczym motorem ich działań i w jej służbie borykają się z przyziemnymi, ludzkimi impulsami. Niejednokrotnie ciężkie i bolesne są te borykania, lecz im są cięższe tym większy spokój i ukojenie następuje po ich zwycięskim przeżyciu. Szczęśliwym staje się zazdrosny mąż, gdy swe zgryzoty poświęca dla celu wyższego, czystą, pełną radości czuje się kobieta, gdy zdecyduje się wybrać żmudną pracę a zabronić sobie osobistego szczęścia.

Nie skąpi nam Kłosowski w swej książce scen podniosłych i pełnych patosu. Są i bestialstwa niemieckie i okrutna beztroska możnych. Są długie relacje z konspiracyjnych uroczystości i obchodów. Umierającemu żołnierzowi jawi się: „jasny, słoneczny gmach, stojący na leśnej polanie. Gmach ten rośnie, potężnieje, pnie się coraz wyżej i wyżej. Na sto wież i sto pięknych baszt z bajki. W górze, pod chmurami powiewa zielony sztandar chłopski". Żołnierz kona, uśmiechając się do tego widzenia i pozostawiając w czytelniku głębokie zaciekawienie niecodziennością tych symboliczno-ideologicznych majaków. Są one chyba równie dalekie od rzeczywistości jak i ta przemowa oficera do żołnierzy szykujących się do akcji. „Wtedy wśród ogólnej ciszy przemówił komendant. Proste, niewyszukane, żołnierskie słowa przypadły wszystkim do serca. Idziemy — grzmiał — uwolnić z górą trzystu towarzyszy dręczonych przez okrutnego okupanta. Po raz pierwszy wtargniemy z lasu do miasta, by rozwalić więzienne bramy, przerazić wroga i spłoszyć mu sen z oczu, by poczuł, że zbliża się kres zbrodni". Te „proste, niewyszukane, żołnierskie słowa", są bardzo podobne do tych, które legenda włożyła w usta generała Cambronne. „Gwardia walczy, umiera, lecz nie poddaje się". Wiadomo, że naprawdę Cambronne pod Waterloo wyraził się prościej.

Język Kłosowskiego przy zasadniczej potoczystości i swobodzie, często zaskakuje tego rodzaju patosem i deklamatorstwem. Ozdobami tymi wyróżniają się przede wszystkim fragmenty poświęcone rozmyślaniom głównego bohatera, który rozważając swe postępowanie czyni to chyba zbyt teatralnie. „Za to jedynie, że jak pies położył się na swych sztandarach, że gotów był przekreślić własne życie, poświęcić całego siebie dla umiłowanego, najwyższego celu, dla tego Domu, który..." Poza tym uderza brak zainteresowania naturalnym tłem akcji, jakim powinny być chyba sprawy codziennego życia na wsi, służące w „Jarzmie" raczej za dekorację. Znalazło to również swe odbicie w języku powieści. XIV rozdział zaczyna np. zdanie: „Wyszedł sobie Franek w pogodne jesienne popołudnie z pługiem na pole". „Sobie"? To jedno słowo charakteryzuje wyraźnie stosunek autora do życiowych realiów.

Swobodny stosunek do prawdy historycznej, upraszczanie obrazów dla celów dydaktycznych, prostota fabuły i kompozycji, schematyczne i jednoznaczne charaktery bohaterów, patetyczność i wizyjność — oto cechy tej książki — dalekiej trzeba to powiedzieć wyraźnie — od doskonałości artystycznej, lecz jak widać bliskiej klimatem uczuciowym niejednemu z tych co przeżywali opisywane w niej zdarzenia, skoro Miejska Rada Narodowa w Lublinie uznała za stosowne obdarzyć autora jej nagrodą.

Edward Szuster

*) Józef Nikodem Kłosowski „Jarzmo".

EWA KORZENIEWSKA

Wznowienie „Chama" *)

TRAGIZM powieści z życia wsi polega na tym, że są zawsze pisane przez inteligentów słabiej lub silniej związanych zainteresowaniami czy pochodzeniem ze środowiskiem chłopskim. Istnieją dwa bardzo typowe ujęcia tej problematyki. Pierwsze polega na idealizacji i sublimacji — drugie na celowej trywializacji, która ma urealniać i ukonkretyzować. Reymont i Orkan mimo całego realizmu szczegółów stwarzają powieści idealizujące. U Reymonta wrażenie takie wywołuje sposób artystycznej interpretacji życia i stylizowana forma językowa. Orkan idealizuje bohatera „W roztokach" na wzór subtelnego nieco rozhisteryzowanego inteligenta, który dlatego jest postacią wzniosłą, że tak bardzo różni się od swego środowiska. Pisarze współcześni w trosce o wierność życiu często popadają w przeciwną krańcowość widząc w dawnej czy współczesnej wsi tylko ciemnotę, głupotę i nie ludzi, lecz ponure barbarzyńskie stworzenia. (Morton, „Inkluzowe wiano", Gałaj „Mystkowice wioska mała").

Po tych wieloletnich doświadczeniach trzeba raz jeszcze uznać zasługi pozytywizmu polskiego, który i w tej dziedzinie powieści zdobył wybitne stanowisko. Nie można zapominać o tym, że powieść pozytywistyczna była tendencyjna, że celem jej było przede wszystkim zainteresowanie społeczeństwa dolą ludu wiejskiego, a nie taka czy inna wierność życiu. Realizm w tym ujęciu był tylko środkiem — wierzono bowiem że prawda w sztuce powinna przemówić silniej niż inna forma artystycznej interpretacji życia. Tendencja w samym swoim założeniu zawiera już pewne ograniczenia realizmu. Powieść tendencyjna musi przekonywać i wzruszać. Musi z rzeczywistości wybierać elementy najsilniejsze emocjonalnie i najbardziej trafiające do poczucia ludzkiej sprawiedliwości. Humanitaryzm pisarzy pozytywistów wyznaczał im nie tylko ogólną tezę utworu, lecz wpływał na kompozycję powieści, bieg akcji, charakter i postępowanie postaci.

Dziś wydaje się to nieco śmieszne, ale pisarzom tego okresu chodziło o wykazanie, że chłop jest też człowiekiem, że może posiadać szlachetną i subtelną uczuciowość i że etyka ludu wiejskiego jest głębiej moralna niż innych środowisk społecznych. W „Chamie" Orzeszkowej tendencje pisarskie występują z ostrą wyrazistością. Paweł — bohater powieści — reprezentuje największą moralność człowieka „nieoświeconego". Jest bezkompromisowo uczciwy i dobry, umie cierpieć w pokorze i wybaczać krzywdy. Postępkami jego kieruje nie rozum lecz jakiś instynkt, który wyczuwa dobro i sprawiedliwość. Idealizacja tej postaci jest, niewątpliwa, jednakże realizm Orzeszkowej pozwolił jej na całkowite utrzymanie Pawła w ramach środowiska wiejskiego. Paweł przerasta ludzi swego otoczenia, ale nigdy nie zamienia się w przebranego inteligenta.

Inne postacie tego opowiadania, rodzina Pawła, Awdocia również potwierdzają tezę autorki o zdrowiu moralnym i wartości „ludu polskiego" ale jednocześnie są pokazane na tle konkretnego środowiska, pracy wiejskiej i codziennych kłopotów.

Akcja powieści, służąc tezie autorki jest głęboko zracjonalizowana. Przedstawia trzy fazy stosunku człowieka do występku innego człowieka. Stadium pierwsze to poznanie życia i przewin Franki i głęboka litość Pawła, który czuje obowiązek wyratowania pokrzywdzonej dziewczyny.

Dalszy stan rozwoju fabuły przedstawia zdradę Franki i jej ucieczkę. Krzywda Pawła, już teraz najbardziej osobista, rodzi w nim tym większą litość i potrzebę współczucia i pomocy. Napięcie akcji i natężenie siły problematyki wzrasta, gdy Franka zdradza męża z Danilkiem, a wreszcie usiłuje go otruć. To logiczne stopniowanie efektów, przedstawienie rozmaitego typu krzywd, jakie człowiek może zadać człowiekowi służy jednemu celowi — wykazaniu tej jakiejś głęboko huamnitarnej moralności Pawła, dla którego krzywda i cierpienie innego człowieka jest o wiele cięższe niż własny tragiczny los. Łatwo zresztą można by wykazać bliskie związki „Chama" z „Idiotą" Dostojewskiego.

Tendencja społeczna Orzeszkowej znalazła jeszcze jeden sposób wyrazu, dostępny jedynie prawdziwym artystom. Nie stwarzając jakiejś sztucznej stylizacji Orzeszkowa patrzyła na życie wsi oczyma malarza, który widzi nie tylko piękno przyrody, ale i piękno człowieka na tle przyrody. Dojrzała urok wysiłku fizycznego i tężyzny ciała zaprawionego w ciężkiej pracy.

W „Chamie" nie ma żadnej analizy socjologicznej ani ekonomicznej. Opowieść Orzeszkowej jest dramatem namiętności, jest, stosując trafne wyrażenie Kota „dramatem sprzecznych postaw moralnych", ale wartość jej polega nie tylko na głębokim zrozumieniu psychiki i umiejętności konstruowania tragicznej, pełnej napięcia fabuły „Cham" Orzeszkowej, książka, która w okresie ukazania się była gorącym apelem społecznym i wezwaniem do naprawienia krzywd — dzisiaj jest cenna jako piękne dzieło realizmu, które nawet służąc tendencyjności, pokazuje prawdziwego człowieka i prawdziwe środowisko.

Ewa Korzeniewska

*) Eliza Orzeszkowa „Cham". „Książka" 1947 r.

MALARSTWO WSPÓŁCZESNE

Klub młodych artystów i naukowców w porozumieniu z grupą plastyków nowoczesnych zorganizował w domu Wojska Polskiego Królewska 13 (dawny I. P. S.) stałe pokazy malarstwa współczesnego. W ramach każdego pokazu przewidziane są wieczory dyskusyjne o malarstwie. Podajemy kilka reprodukcji z bieżącej wystawy.

Marian Bogusz „Kompozycja"

Maria Jarema „Kompozycja"

Henryk Stażewski „Akty"

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

Z teatrów łódzkich

Teatr Wojska Polskiego — Teatr Powszechny — Teatr Kameralny — Syrena

PO NASZKICOWANEJ przez nas tu niedawno krytyce całorocznej działalności teatrów łódzkich, obejmującej również pierwsze pozycje nowego sezonu — nasze dalsze, aktualne podążanie za następnymi, narastającymi pozycjami nie powinno już stwarzać żadnych niejasności co do tego, o co chodziło nam zawsze: o miejsce danego widowiska w polityce kulturalnej teatru, a nie tylko o opis widowiska samego w sobie.

Pojedyńcze widowisko może być ciekawym wydarzeniem kulturalnym. Ale bywa często — jak to dobrze wiemy — zupełnie przez szeroką publiczność niezauważone i niedocenione, jeżeli nie stanie się ogniwem takiego łańcucha widowisk, któryby — nie dopuszczając żadnej szmiry w sensie artystycznym i ideowym — mógł na przestrzeni czasu skutecznie rozwijać smak publiczności i kształcić w sposobie traktowania przez nią teatru. Tylko wtedy rzeczy najlepsze będą grane nareszcie przy pełnej widowni i tylko wtedy społeczne zadania teatru będą wypełnione.

A przecież nie od dzisiaj teatr — jako forma sztuki złożonej o najbardziej masowym zasięgu — pretenduje do roli wychowawczej. Tradycje sięgają chyba dość daleko wstecz. Bo aż do początków teatru. I to, co tu mówimy, nie jest żadnym wynalazkiem. Jest sprawą dobrze znaną. Ale trzeba ją realizować.

Trzeba wytyczać i realizować wyraźną linię polityki kulturalnej teatrów szczególnie dzisiaj, kiedy szerokie masy mają rzeczywiście dostęp, kiedy na widownię ściąga się robotnicze związki zawodowe i szkoły powszechne. Potrzebny jest tym lepszy, tym poważniej i odpowiedzialniej traktowany poziom artystyczny widowisk. Potrzebny jest — utrzymany na jaknajlepszym poziomie artystycznym inscenizacji — zarówno repertuar o walorach społecznych, bez względu na to czy jest poważny czy lekki, jak i repertuar polityczny, jak i repertuar klasyczny.

Nie pierwszy raz wypowiadamy przekonanie, że sztuka źle wystawiona nie spełnia swego zadania, choćby była w zasadzie potrzebną pozycją w repertuarze. I dlatego jesteśmy coraz bardziej zaniepokojeni, coraz bardziej zakłopotani wynikami pracy nowej reżyserki Teatru Powszechnego w tym sezonie, Zofii Modrzewskiej. Opisaliśmy już poprzednio nieszczęśliwy wypadek z „Fircykiem w zalotach". Niestety urocza komedia fredrowska **„DAMY i HUZARY"** nie została wystawiona ani trochę lepiej. Żadnego nastroju epoki, postacie sztuczne i rozpaczliwie słabo w szczególnych sytuacjach współgrające, tempo sztuki wulgarne, tempo pozbawione subtelnej lekkości komediowej, poszczególne role zupełnie nie wyzyskane w swym komediowym znaczeniu, jak naprzykład rola Kapelana, albo rola kokietującej porucznika pokojówki Zuzi. Oboje, zamiast być solą intrygi, są doprawdy piątym kołem u wozu. Jak reżyser mógł pokazać widowisko w takim stanie? I jak mógł dopuścić do tego, aby świetny tekst fredrowski ginął co chwila tak głęboko w gęstwinie krzaczastych huzarskich wąsów, jak sens słów w głosach brzuchomówców?

Trudno o tak niedołężnym sposobie wystawienia tej pięknej, klasycznej komedii pisać z powagą i spokojem. Jedno wydaje nam się pewne: w ten sposób, jak wystawiono „Fircyka" i jak wystawiono „Damy i Huzary" — klasycznych komedii wystawiać nie wolno. Byłoby to społecznie szkodliwe zawsze — jest dzisiaj szczególnie szkodliwe, gdy publiczność teatralna zmieniła się tak bardzo, gdy tak wiele osób na widowni spotyka się z tą sztuką poraz pierwszy w życiu. Nie wróży to niczego dobrego na przyszłość.

Zato w Teatrze Wojską Polskiego przedstawienie w reżyserii Józefa Wyszomirskiego współczesnej sztuki Salacrou **„NOCE GNIEWU"**—posiada niewątpliwie szereg zalet. Choć sama sztuka nie jest bynajmniej nieskazitelna. Widzi się w niej postacie francuskiego ruchu oporu, postać kollaboracjonisty, oraz dwoje ludzi „neutralnych". W pokazanym problemie chodzi o to, że droga egoistycznej neutralności w czasach walki prowadzi do obozu zdrajców. Jednakże cały obraz zagadnień posiada partie całkowicie zamazane, niejasne. Sprawa kollaboracjonisty tonie w metafizycznych rozważaniach. Społeczne i polityczne treści francuskiego ruchu oporu nie są scharakteryzowane zupełnie. Aktualność tematu przeniósł autor gdzieś w rejony tymczasowe — i ta sprzeczność okazała się chwytem zbyt ryzykownym dla jędrności sztuki. W tej sytuacji scena przy torze kolejowym wypada jakoś naiwnie. Aby być konsekwentnym należało by właściwie grać tę sztukę w ogóle bez dekoracji. I jedynie w tej dziedzinie mamy pewne zastrzeżenia pod adresem reżysera: końcowe dwie sceny — robiące w inscenizacji wrażenie jakichś raczej „żywych obrazów" — należało może w ogóle wyrzucić. Opowiadają one co prawda o dalszych losach dwuch pozostałych przy życiu bohaterów — lecz opowiadanie to wydaje się nam już z góry wiadome, a więc zbędne, natomiast sceny te rozbijają zamkniętą całość sztuki.

„Damy i Huzary" w teatrze TUR w Łodzi
od lewej: J. Pilarski, Kaczmarski, Żukowski, Seroczyńska, Warmiński, Taborska, Puchniewska, Bronowska. Reżyseria Z. Modrzewskiej, dekoracje J. Rybkowskiego.

„Noce gniewu" w Teatrze WP w Łodzi
od lewej: Ludwiżanka, Wilamowski, Wasilewski, Woźniak, Życzkowska, Łapicki, Salaburski, Possart. Reżyseria J. Wyszomirskiego, dekoracje O. Axera.

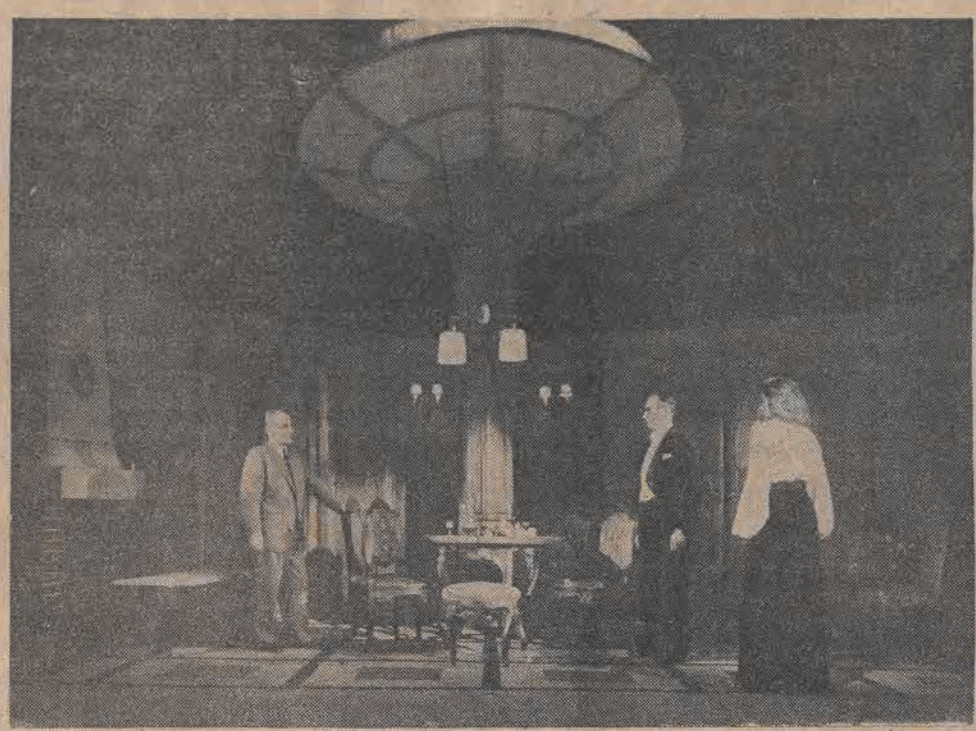

„Inspektor przyszedł", Teatr Kameralny w Łodzi
od lewej: Daczyński, Tatarski, Drapińska. Reżyseria E. Axera, dekoracje J. Kosińskiego.

Poza tym jednak praca reżyserska wydaje nam się znakomita. Wydobyła ona z aktorów to, co w teatrze jest sprawą tak bardzo zasadniczą: sugestywne, prawdziwe postacie ludzkie i sugestywne, prawdziwe stosunki między nimi. Zresztą zasługa zespołu jest tu niewątpliwa. Wszystkie role — i męskie i kobiece — postawione są mocno, z całą ich różnolitością i wzajemnymi związkami. Scena Wilamowskiego w roli Bernarda i Życzkowskiej w roli Luizy w przedwojennym salonie, w momencie, kiedy to poprzez nagły okrzyk sytuacja powraca do aktualności — zagrana jest chyba po mistrzowsku i wywołuje wrażenie naprawdę silne i głębokie.

W Teatrze Kameralnym — zupełnie konsekwentnie po obranej przez ten teatr linii, grana jest sztuka Priestleya **„INSPEKTOR PRZYSZEDŁ"** w reżyserii E. Axera. Co prawda Priestley — spośród grywanych przez Teatr Kameralny autorów — nie jest autorem ujmującym sprawy społeczne zbyt głęboko. Ale ujmuje je za to bardzo otwarcie. W „Inspektorze" chce autor na konkretnym przykładzie pokazać niesprawiedliwość społeczną w warunkach hegemonii mieszczańskiej, zrywając maskę pozornej czcigodności z oblicza rodziny dorobkiewiczów. Robi to właśnie inspektor policji, który okazuje się jakimś widmem tylko, ostrzegającym sumienie. Ów chwyt „metafizyczny" nie jest tu jednak ważny, podobnie zresztą, jak chwyty metafizyczne w „Nocach gniewu". Chodzi po prostu o znalezienie winnych upadku i samobójstwa uczciwej i szlachetnej robotnicy fabrycznej. Winnymi okazują się wszyscy po kolei członkowie rodziny fabrykanta, winny jest ustrój społeczny.

Sztuka wyreżyserowana jest i zagrana świetnie — jak zwykle w tym teatrze. Postacie i sytuacje pełne są rzetelnej, nie wystylizowanej i nie przeszarżowanej, realistycznej prawdy psychologicznej. Zasługa tu ogromna dla całości sztuki po stronie przede wszystkim Daczyńskiego w roli Inspektora. Jego spokojna, realistycznie ludzka gra, daleka od pokus taniej „demoniczności" — budzić musi głębokie uznanie dla tego doskonałego aktora. Drapińska w roli córki domu jest nie tylko prześliczna. Gra swą rolę z talentem naprawdę zachwycającym.

I jeszcze jedna pozycja w niniejszym przeglądzie scen łódzkich: Teatr „Syrena". Może poraz pierwszy z programem tak dobrym, że osiągnął poziom jaknajlepszego kabaretu literackiego. Pod dowcipnym tytułem **„WGLĄD W RZĄD"**, całość programu — w reżyserii Kazimierza Rudzkiego — zamyka w sobie i pozycje poważne i momenty dobrej, ostrej satyry. W numerze z „szopką polityczną" — kukiełki Zaruby znakomite. Ale najwyższej klasy wydaje nam się numer z fragmentami „Lalki" Prusa w układzie Jurandota, zatytułowany „Kartki z pamiętnika starego subiekta". Dobór fragmentów bardzo dobry i bardzo dobra gra szczególnie Dejunowicza w roli Rzeckiego i Pawłowskiego w roli Wokulskiego. Doskonała reżyseria.

Jest to nad wyraz kulturalny i pożyteczny pomysł. Otwarły się rzeczywiście kartki wielkiego dzieła wielkiego pisarza. Dano nam obraz jaknajlepszej próby.

„Szopka polityczna" i „Lalka" — a obok tego numery programu z Andrzejewską i Stefcią Górską — to chyba cztery najmocniejsze pozycje tego coraz ambitniejszego kabaretu literackiego. Oby tylko utrzymał na przyszłość tę swoją nową, pożyteczną linię artystyczną. Powodzenia.

Juliusz Żuławski

„Małgorzatka"

Projekty kostiumów H. Tomaszewskiego do rewii teatru „Syrena" w Łodzi.

„Boogie - Voogie"

JÓZEF MAŚLIŃSKI

Warszawski skandalik z Mussetem

„Nie igra się z miłością" jest najciekawszym obecnie wydarzeniem teatralnym w Warszawie. Nie jest to „doskonałe przedstawienie" (jak lubią pisać recenzenci), ani też wyczyn akademickiej poprawności. To jest dzieło sztuki. Coprawda — zaledwie w szkicu. Tym bardziej zasługuje na pieczołowitość tych wszystkich, komu sprawa przezwyciężenia impasu artystycznego teatrów warszawskich nie jest obojętna.

Musset, romantyzm. Dla olbrzymiej większości naszych P. T. Opiniotwórców artystycznych to są takie same mgliste idee, jak dla kawiarnianych polityków „Anglia", a dla pensjonarek „Mickiewicz" — „Anglia nie pozwoli", „bo wieszczem był" i załatwione.

Bez zrozumienia, że np. „ironia romantyczna", indywidualizm, katastrofizm, albo taka „realistyczna akceptacja życia" ma u poszczególnych romantyków, ba, nawet w poszczególnych dziełach jednego pisarza różną tradycję i treść, słowem — bez zrozumienia dialektyki estetycznej i moralno-obyczajowej romantyzmu, nie może być mowy o odczytaniu z sensem (a więc i o zagraniu w teatrze) dzieł tej epoki: zbyt powikłany to kłębek, ta „Anglia", ten romantyzm francuski ze swoim Mussetem.

Bez wiedzy i świadomości, czym były dla poszczególnych zjawisk romantyzmu rewolucja i bonapartyzm, przemiany agrarne i przemysłowe, przekształcanie się stosunków między arystokracją i mieszczaństwem, bez zrozumienia dat, bez uświadomienia sobie co w tym wszystkim robi rok 1830 słowem — bez socjologii i dialektyki tych zjawisk społeczno-kulturalnych nie ugryziemy ani romantyzmu, ani Musseta. Pozostaniemy nadal w pensjonarskim zachwycie wobec idealistyczno-niemieckich opieologizmów i rodzimych („neoromantycznych"), dekadenckich mgiełek i blagi, które już trzeciemu w Polsce pokoleniu podsuwa się, jako „wyjaśnienie romantyzmu". Tu nawet Boga mało! Teatr i recenzent nie mogą poprzestać na jego tak częstym pozaczasowym zachwycie dla „płci i poezji" i muszą zwrócić się do książek... które u nas jeszcze nie napisane ani nie przetłumaczone.

Na czułych subtelnostkach Marivaux i na okrutnych grach miłosnych Choderlosa de Laclos wychował się Musset, ale i na Beaumarchais, i na Byronie! Dziedzictwa idej wolnościowych XVIII wieku nie przewalczyły w nim reakcyjne pisma ultramontana, papisty i carowładcy, Józefa de Maistre, nie osłabiły ugodowe wobec Restauracji koncepcje Chateaubrianda i in. „romantyków pierwszego rzutu". — Ruch wolnościowy (karbonariusze, dekabryści, Tugendbund, lewica bonapartystyczna saintsimoniści) rozpalał najlepsze młode głowy Europy. Jako poeta i komedjopisarz startuje Musset w orbicie poglądów estetycznych Stendhala który (wbrew Chateaubriandowi) religię i monarchię uważa za tłumiki życia umysłowego i w konsekwencji dworszczyźnie siedemnastowiecznej przeciwstawia takowoczny ideologicznie wiek następny, średniowieczu — renesans kostniejącej wśród przeżytków feudalizmu burżuazji — twórcze siły kapitalizmu, antyk wielbi za ziemskość i humanizm, ale nie chce go naśladować, wyśmiewa „mgliste i melancholijne uczucia" oraz „melancholików należących do romantycznej sekty" (tak!) i głosi przyjście sztuki nowej, nasyconej całym bogactwem życia, sztuki, w której „jasnym zwierciadle" nareszcie się wyrazi niczym nie ograniczona, twórcza pełnia indywidualności. Rewolucja zmiotła, pisze Stendhal, „kochanków i dworaków" a razem z nimi „przyłemne maniery" siedemnastowieczne. Ludzie stanęli „w obliczu losu" i poniechali błahostek, szykując się do „procesu z losem o swoje życie". Tak powstali ci, którzy „odczuwają rozkosz własnej siły", ludzie wielkich uczuć i entuzjazmu. Realistyczna sztuka, która ich wypowie, będzie sztuką „prawdziwych proporcyj", bo te jedynie (a nie stylizacja!) są miarą prawdy, twórczości i wielkości.

Młodziutkiemu Mussetowi do realizowania takiego programu było jeszcze za wcześnie. Choć już artystycznie uformowany, choć realista z przyrodzenia — bajronizuje, dając upust wybujałemu poczuciu tragiczności. Ale gubiąc swych bohaterów w katastroficznych rozwlaszczaniach, nie przestaje być poetą piewcą radości życia i wiary w niewyczerpane siły twórcze człowieka. Nieporządek świata jest stanem przejściowym, burżuazyjna rzeczywistość Restauracji obrzydliwa, ale godna ironii raczej niż nienawiści. Miłość jest siłą, która łącząc ludzi może zbudować nowe światy. Gra w miłość jest zbrodnią.

Cios zadany najlepszym nadziejom przez załamanie się rewolucji 1830 r. i monarchią lipcową spotkał młodzieńca u progu pełnoletności zaledwie. Z roku na rok sytuacja klarowała się jako beznadziejna*) dla tych wszystkich, którzy nie wypracowali sobie wyraźnych poglądów społeczno-rewolucyjnych. U Musseta zaczyna się okres rozpaczy. „Spowiedź dziecięcia wieku" (Znamienne wprowadzenie!) „Lorenzaccio", poemat „Rolla" i inne utwory są wyrazem regresji światopoglądowej niewiary w szansę człowieka, coraz głębszej nieufności wobec uczucia. „Wszystko palę co kochałem" mógłby powiedzieć poeta, który z sercem tylko, bez podbudowy intelektualnej, wyruszył na podbój świata, przedstawiającego mu się teraz jak wypalona pustynia... Realizm Musseta, który teraz dochodzi do głosu ma w sobie coś z niezdrowego stanu otrzeźwienia po pijaństwie; wszystko dotychczasowe wydaje się posępną igraszką: styl romantyczny — dandyzmem, uczucie — grą, a pogardzany filister — tym, który się śmieje ostatni... Paląca autoironia, w znakomitej orkiestracji komediopisarskiej zamienia w satyrę na dawny ideał „rozumnych szałem" splata się raz po raz z postawą pieniacza, udowadniającego na niezliczonych przykładach że — dobrze być nie może.

W tym okresie kryzysu powstały najlepsze komedie:

„Kaprysy Marianny" i „Nie igra się z miłością". Już „Świecznik" jest wyrazem idealistycznej rezygnacji, a przy „Kaprysie", przy „Nie trzeba się zarzekać" i „Drzwiach otwartych lub zamkniętych" wolno już recenzentom pisać o „duchu mussetowskim". Wyprany z buntu poeta, przynajmniej w sztuce jeśli nie w życiu (bo urzynał się bez ceremonii) był już gładkim salonowym bibelocikiem...

Przenikliwa trafność, z jaką reżyser Szpakowicz odczytał tekst „Nie igra się z miłością" jest zwłaszcza „w kontekście" naszej praktyki teatralnej — pierwszą miłą niespodzianką przedstawienia w „Rozmaitościach". Postawę Musseta można by tu ująć w formule „nawet gdy": — nawet gdy Baron okaże trochę więcej oleju w głowie niż jego matołkowate otoczenie, to nie przestanie być częścią bezdusznego świata zalanego „gnuśności odmętem", — nawet gdy młody dandys pokocha naprawdę, to porozumienie nastąpi zbyt późno; — nawet gdy młoda, niezepsuta dziewczyna z ludu... itd. aż do skutku czyli do udowodnienia tego co miało być udowodnione.

Prowadząc swój proces, ten zaciekły ostrowidz zbywa wzgardliwie dworską czeredę — barona, guwernantkę i parę księżulów, potraktowanych po diderotowsku. Całą uwagę skupia na dwojgu młodych, jak na królikach doświadczalnych. Tu przydały się dawne nauki. Początek niewinny, prawie „marivandage" ale rychło sztychy tej szermierki nabierają bezlitosnej twardości ciosów ucznia „Niebezpiecznych związków". Co prawda, nie Kamilla ginie (to kuzyneczka stendhalowskiej Matyldy de la Mole!) — ginie dziewczyna z ludu. Możnaby teraz... Dość! Autor uważa otrzymaną satysfakcję za wystarczającą. Do pierwszej krwi. Kurtyna.

Czy nie przypomina się „Fantazy"?... — Ach, tylko schemat. Dzieło Słowackiego, to psychologicznie i kulturologicznie daleko rozleglejsze obszary, niż fascynujące „przysłowie z tezą" francuskiego młodzieńca. Szpakowicz wykazał dobry słuch artystyczny, że nie uległ rutynie psychologizowania. Kamilka i Oktaw **deklamują** swe monologi jak w starym teatrze typów i tak jest dobrze. Mussetowi chodzi o słowo — dbają tu o jego słowo i ono działa na widownię. Gdy w nastroju najwyższego napięcia tragiczności, Oktaw, niepewny jeszcze śmierci Rozalki, składa Bogu śluby, że „naprawi krzywdę, znajdzie jej męża" — sala wybucha natychmiastowym, bezlitosnym śmiechem. Słysząc ten śmiech Musset byłby szczęśliwy. Oto ze starej konwencjonalnej formy wyłania się stendhalowski moment „pełnej iluzji", nie w kontemplacji lirycznej (Chateaubriand!), a przeciwnie, w zapale najżywszej akcji „gdy repliki postaci tłoczą się jedna na drugą". Sala wzięła sprawę za swoją i to po stronie autora! Ma swój gorzki tryumf...

Czy wolno tę sztukę stylizować? Oczywiście, skoro stylizacja petryfikuje, a (sztuka) jest właśnie jak motyl na szpilce — **ad demonstrandum.** Stylizacja osadziła całą sprawę w epoce, rozjaśniła zamiar autorski i uporządkowała wątki. O błędach popełnionych przy tym — później. Potraktowanie całego towarzystwa pałacowego **en canaille** — o to Musset prosi: kukły, bezduszne kukły, nawet manier już nie mają. W notatkach Stendhala z salonów paryskich znajdziemy ten właśnie stosunek do różnych baronów. Zręczny i szlachetny stylowo jest pomysł upostaciowania mussetowskiego „chóru" i „wieśniaka" w uroczej grupie dzieci wiejskich i wędrownego kukułkarza. To zaś, że ów kukułkarz — chór komentuje losy aktorów „przysłowia" na swoich pacynkach, jak i to, że otwierając i zamykając sztukę, tworzy nie tylko stylową ale i filozoficzną ramę dla całego procesu jest doprawdy reżyserskim jajkiem Kolumba!

Z niemniejszą zręcznością jak owym chórem, który w każdej sytuacji okazuje się na dobrze uzasadnionym miejscu, operuje reżyser dekoracjami i gospodarką przestrzeni scenicznej. Frontalne dwa stopnie przez całą scenę na „drugim planie", na nich potężny parawan przedstawiający bukoliczny pejzaż leśny — tyle dla scen ogrodowych, leśnych, wiejskich itd. Ten sam parawan otwarty jak podwoje, odsłania niszę z fortepianem — „salon". Kilkanaście(!) sposobów traktowania tych „drzwi" w czasie akcji rozwiązuje wszystkie trudności aktorskie, dając pole do swoistej wirtuozerii w stosunku do tego rekwizytu. Fortepian, parawan, kukiełki, to jednorodne elementy oprawy scenicznej, wspierające się nawzajem i przekonywujące w całości.

Tak więc przedstawienie pomyślane jest „autentycznie" — tak, jak by je Musset czuł i widział. Czy to jednak wyczerpuje sprawę? Czy nie jest zadaniem teatru adoptować sztukę do naszych oczu i naszych — obiektywniejszych — doświadczeń? Bez rezonerstwa i bez wścibstwa, po prostu — wydobywając z zeznań autora to, co nas może i powinno interesować? Boć przecie nie zamierzamy być formalistami, ani archiwariuszami — strażnikami grobów. Żywi, chcemy żywych.

Przede wszystkim owa Rosetta czy Rozalka. Zgodnie z tradycją bukoliczno-balladową (Rousseau — Mickiewicz) wchodzi dziewczę niemal że z jagnięciem i motylkiem. To nie jest „lud", zdolny tamtych skontrastować! Jeśli „tamtym to igraszka, a nam chodzi o życie", no to... proszę! Niech sobie wkoło kukiełek pląsa lubych dziewcząt chór — na Rozalkę, na niedoszłą żonę i matkę wybrać by kogoś o warunkach już jeśli nie Balladyny, to przynajmniej Halki. Jeno takie przesunięcie psychologicznego i społecznego ciężaru zrównoważyłoby sztukę. Z duetu — w dramat. A „Wielki Niemowa" zasługuje na mniej konwencjonalną reprezentację i to bez naruszenia praw autorskich, skoro wszystko co się dzieje, dzieje się w obliczu jego. Czy w obliczu — ptaszka?

Dalej, panna Pluche, groteskowa wychowawczyni. Że zdecydowany rysunek tej postaci musi zrównoważyć kapitalną optykę obu ojców duchownych, to jasne. Ale ojczeszkowie tkwią znakomicie we francuskiej tradycji literacko-teatralnej, tymczasem panna Pluche wierzgając tak raźno, zatraca nam się jako ciało specyficznie pedagogiczne. Znowu: Musset mógł ją tak widzieć (tak ją swym okiem poniewierać), ale teatr powinien być obiektywniejszy i, skazując babę „wytłumaczyć" akt oskarżenia — językiem przyjętym w tej zabawie i nie sepleniąc.

Barona podał teatr zgodnie z tekstem jako szorstkiego karierowicza, rubasznego półpanka, i to raczej napoleońskiego stempla. Jeśli jego hałasy pochodzą z kawaleryjskich nawyków, to byłoby łatwiej tego pana poznać po —cholewach. Z drugiej strony — ten meloman gra ciągle i niestety, gra neutralnie. Tymczasem to muzykowanie właśnie mogłoby stać się wyrazem martwoty, pobielanego grobu. W takim ujęciu baron musiałby awansować na arystokratę starej daty, z innego snoba, poniewieranego scenicznie przy pomocy innych środków.

Muzyka, utrzymana w duchu niemieckiej romantyki, nie jest zła. (Kompozytor: J. Wasowski). Ale dla jednorodności i dla ściślejszej funkcji dramatycznej należałoby chyba jednak zwrócić się do francuskich klawerynistów. To byłaby właściwie ta „muzyka pobielanych grobów", muzyka Barona i częściowo katarynkarza (jako bezlitośnie gładka rama spektaklu), a na jej kanwie dopiero romantyczne motywy i to może raczej wcześniejsze, bliższe klasyczności i Francji — Weber np. (tak wysoko ceniony przez Chopina), poszukiwacz „dramatu współczesnego".

Szlachetną prostotę pomysłu dekoracji już podkreślałem. Na parawanie chciałoby się jednak malarstwa wyższej marki i pewniejszego stylu. Niedobra zaś i uboga i nieharmonizująca z resztą jest owa nisza „salonowa". Pozbawiona choćby elementów historycznej konkretności nic nie mówi o mieszkańcach i bywalcach pałacu. Nawet żadna „martwa natura" widzom nie ogłasza, że tu się dobrze jada! To też „salon" traci swój ciężar gatunkowy w optycznej i sytuacyjnej kompozycji całości, staje się po prostu luką wyjściową. A mogło to być bardzo ładne **teatrzyk** marionetek!

Pomimo tych wszystkich zastrzeżeń spektakl mussetowski w „Rozmaitościach" jest osiągnięciem nie tylko w skali wysiłków „melioracyjnych" teatrów dyr. Poredy. W tej skali zapisać go należy jako pierwszy zadatek pracy nad uformowaniem **zespołu**, gdzie się aktora wychowuje, gdzie praca reżysera, aktora i dekoratora ma ciągłość, sens i logikę, a przestaje być jednostkowym popisem w imię zasady ratuj się jak kto może. W tym sensie — byle tylko nie zapeszyć! — byłoby to coś w rodzaju przedwiośnia dla znękanych teatromanów stolicy. W skali zaś ogólnopolskiej trzeba stwierdzić po prostu, że przybył nam jeszcze jeden reżyser-artysta młodej generacji, reżyser, po którym, gdy na praktyce zrewiduje swe zapały formalistyczne, wolno będzie się spodziewać nie interesujących widzimisię, ale prawdziwie męskiej i światłej mowy.

Zespół, którym operuje, jest młody i dość przypadkowy. Ale duch zespołowości już się w nim zaznaczył. I karność, i poczucie sensu całości! Trochę to jeszcze „szkolne", ale — nowość w Warszawie... — nigdy nie budzi sprzeciwów. Anusiakówna jako Kamilla jest niemal doskonała, młodziutki Sadowy w roli Oktawa (Perdykana) bez reszty rozumie swoje zadanie (w ramach wyznaczonego stylu!). To samo powiedzieć można o wdzięcznej Rozalce — Janeckiej, a zwłaszcza o Kuglarzu — Szczepanie Baczyńskim, którego inteligencja i takt artystyczny decydowały o efekcie zarówno „chóru", jak i fascynującego finału inscenizacji. Niedociągnięcia Barona — Wasowskiego i przeciągnięta jednowymiarowość panny Pluche — Oberskiej nie wiem, czy zapisać na konto reżysera, czy wykonawców. Kapitalną parę księżulków w stylu komedii dell'arte egzekwowali Jan Nowicki, wspaniały w sylwetce i w śmiechu proboszcz Bridaine oraz Witold Rychter (Blaziusz), któremu udały się zwłaszcza przejścia od patetycznej retoryki do plotki.

Ta część publiczności, która przez dwa lata nie przyzwyczaiła się jeszcze do „reżyserii zespołowej" i in. cudów teatraliki stołecznej, która wciąż jeszcze odróżnia „doskonałe przedstawienia" i „pokazy mód" (z udziałem naszych znakomitych itd.) — wykazała imponujące (w tych warunkach!) zrozumienie dla sztuki i widowiska. Żywa reakcja po pierwszym oswojeniu się z nowością, komentarze w antraktach, wreszcie ów spontaniczny wybuch śmiechu, osądzający Oktawa były dobrze zasłużoną nagrodą dla zespołu. — Przez konsekwentny schemat gorzka, drapieżna, ale głęboko ludzka treść mussetowskiej inwektywy doszła do adresata.

Natomiast prasa, czując się upoważnioną brakiem w spektaklu (tak!) 1) grubych pieniędzy, 2) lepszych aktorów 3) kosztowniejszych reżyserów i 4) więcej niż jednego „rodzynka" w spektaklu (dosłownie!) pozwoliła sobie na całego. Ci sami ludzie, którzy lekko strawią Shawa wystawionego w stylu „Moralności pani Dulskiej", którzy nie zauważą, że „Ożenek" Gogola nie jest ani z ducha ani z litery tekstu „Ożenkiem" Gogola, którzy długo będą „doznawać" pod zagraniczną gazetą że studencki teatr w Paryżu to cudo i że 21-letni angielski reżyser Szekspira to drugie cudo ci sami najniefrasobliwiej pomylą sobie Musseta z figurkami markiz ze złoconej porcelany.

Tymczasem Musset to nie Zdzisława Kleszczyńskiego ballady o markizach i pierotach. Przynajmniej — nie każdy Musset i nie w teatrze każdego czasu! A dzieło sztuki teatralnej jest także egzaminem — właśnie dla recenzentów.

Józef Maśliński

*) W roku 1831 pisze Musset wiersz „Do Polski", przełożony przez Miriama: „Póki nie targniesz światem o Polsko rycerzy, Jakaś klęska straszliwsza niźli greckie klęski. Jakimś okropnym hordy tryumfem ciemieskiej, Cokolwiek byś uczyniła, nikt ci nie uwierzy. Bijcie się mężnie dzielni — Beznadziejne niebo. Walczcie: spóźnione zawsze współczucie Europy: Zbudzą ją chyba żrącym fermentów ukropy. Walczcie mężnie, nam dzisiaj ostrych przypraw trzeba".

Młodzi poeci, uczestnicy Powstania Warszawskiego, odczują ten wiersz.

Prenumerata na rok 1948

CZASOPISMA SPOŁECZNO-POLITYCZNEGO

NOWE DROGI

Prenumerata roczna . . . . 450,— zł
Prenumerata półroczna . . . 250,— zł
Cena pojedyńczego numeru . 150,— zł

Adres administracji, W-wa, ul. Smolna 12.
Adres redakcji, Warszawa, Al. Róż Nr 2.
Konto czekowe P.K.O. Nr I-4559.

STANISŁAW ŚRENIOWSKI

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk

DWA BARDZO różne wzory przyświecały inicjatorom **Towarzystwa Przyjaciół Nauk,** założonego w Poznaniu w 1857 r: narodowa demokratyczna **Macierz** czeska i ziemiańskie, patriotyczne **Towarzystwo Przyjaciół Nauk Warszawskie,** zawiązane pod tymi samymi rządami pruskimi o pół z górą wieku wcześniej, zamknięte w Królestwie w represyjnym roku 1832. Przyjęto ostatecznie wzór warszawski. Bliższa była społeczna struktura obu ziem polskich, wzór czeski nie miał tu gospodarczej i ideologicznej bazy, któraby mu mogła służyć: Oba towarzystwa stawiały sobie ten sam cel: pielęgnowanie nauk i języka polskiego, oba towarzystwa wyłączały zagadnienia polityki bieżącej z zakresu swoich zainteresowań; warszawskie wykluczało na równi z politycznymi i sprawy religijne, poznańskie wymownie przemilczało to ostatnie zastrzeżenie.

W wydanych w r. 1860 u Żupańskiego w Poznaniu głośnych swoich „Dziejach Księstwa Warszawskiego" Fryderyk hr. Skarbek próbował w ten sposób wytłumaczyć pozwolenie rządu pruskiego na powstanie Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie: „Ten postępek rządu pruskiego — pisał — zdawał się być niezgodnym z ogólną dążnością jego... gdyż trudno było pogodzić z dążnością ogólną zagładzenia śladów narodowości powstanie Towarzystwa narodowego, które ocalenie i dalsze kształcenie języka tudzież zachowanie dziejów narodowych za główny cel usiłowań swoich obrało. Lecz Prusacy wiedzieli, jaka była główna dążność edukacji i oświecenia w Polsce i czuli dobrze, że póki ten powierzchowny połysk oświaty miejsce rzeczywistego oświecenia zajmować i póki młodzież się tylko na ludzi światowych kształcić będzie, wszelkie usiłowania i prace Towarzystwa uczonych, żadnego wpływu na ogół wywierać nie potrafią i będą tylko czczym, o mury ich sal rozbijającym się głosem lub martwą literą w ich rozprawach uczonych, bez pożytku dla publiczności wytłoczoną".

Próby założenia w Poznaniu Towarzystwa Naukowego ciągnęły się już od 1828 r. W tym roku utworzono **Towarzystwo Przyjaciół Rolnictwa, Przemysłu i Oświaty,** wśród założycieli znajdowali się Tytus Działyński i Antoni Sułkowski; statut nie dopuszczał do Towarzystwa tych, którzy nie mieli prawa głosowania na sejmikach szlacheckich, miejskich i włościańskich, czyli nie posiadających nieruchomości — i rząd pruski odmówił zatwierdzenia go, wskazując oficjalnie na jego niesprawiedliwość wobec innych warstw społecznych. W parę lat później powstały **Kasyna** obywatelskie w Raszkowie i Gostyniu, z wydziałami popierania przemysłu i rolnictwa, literackim i dobroczynności. i z organem Towarzystwa: Przewodnikiem Rolniczo-Przemysłowym, wychodzącym w Lesznie.

Kiedy w 1857 r. założono **Towarzystwo Przyjaciół Nauk,** taką opinię wyrażał o nim w liście do jednego z jego założycieli Józef Ignacy Kraszewski: „Bardzo słusznie przedmioty sporów religijnych i polityki tyczące usunięte zostały z planu prac, gdyż jedno i drugie aż nadto ma placu, gdzie się rozszerzyć może; a polityka ludzka w ogóle niewiele warta niech tam Pan Bóg rządzi, my się w te sprawy nie mieszajmy. Nauki i uprawy języka nade wszystko potrzebujemy".

Towarzystwo utworzyło **Muzeum i Bibliotekę:** prace prowadziło w wydziałach: nauk historycznych i moralnych i nauk przyrodniczych, które uzupełniły w latach sześćdziesiątych dwa nowe wydziały, lekarski i nauk ekonomicznych i statystycznych.

Członkami Towarzystwa byli głównie ziemianie-amatorowie nauk i praktycy, lekarze i prawnicy. Profesorom poznańskim Kolegium Szkolne „odradziło" przystępowanie do Towarzystwa, nie zakazując go jednakże. Niektórzy z nich wstąpili mimo to, ale zarząd Towarzystwa, z uwagi na stanowisko rządu, wykreślił ich, starając się natomiast o uzyskanie dlań protekcji królewskiej i o nazwę: **Königliche Gesellschaft der Freunde der Wissenschaft in Herzogtum Posen.** „Towarzystwo nasze uczone — skarżył się prezes Cieszkowski w 1871 r. — składa się z 9/10 części rolników-obywateli, a zaledwie z 1/10 prawdziwie uczonych".

Prezesi Towarzystwa to w trzech nawrotach katolik-mistyk August hr. Cieszkowski (1857-8, 1861-68, 1885—1894), wolterianin Tytus hr. Działyński (1858—1861), demokrata Karol Libelt (1868—1875), konserwatysta i klerykał Stanisław Koźmian (1875—1885). W 1895 r. objął prezesurę ks. arcybiskup Edward Likowski i dzierżył ją do 1915 r. Od 1860 r. Towarzystwo zaczęło wydawać **Roczniki,** zawierające głównie prace z historii Polski przedrozbiorowej, z historii literatury i dziejów kościoła. Wśród redaktorów Roczników spotykamy i postać historyka - demokraty ze szkoły lelewelowskiej, Kazimierza Jarochowskiego (1868-9) i wybranego na życzenie prezesa księdza arcybiskupa — księdza Ignacego Warmińskiego. (1907-9).

Dzieje Towarzystwa są czułym barometrem politycznym. Liczba członków stale wzrastała, w latach 80-tych miało już Towarzystwo ponad 300 członków zwyczajnych, ale pracowników naukowych wciąż ubywało. W 1916 ilość członków podwoiła się; stało się to wskutek utworzenia nowego wydziału: teologicznego, do którego wstąpiło od razu 300 członków.

W początkowych latach Towarzystwa dużo uwagi pochłonął konkurs naukowy, ogłoszony z inicjatywy Cieszkowskiego na pracę o historii włościan i stosunków ekonomicznych w dawnej Polsce—z nagrodą ufundowaną przez Cieszkowskiego ze swoich prywatnych funduszów. Fundator nagrody nie rezygnował z wpływu na treść dzieła. Zastrzegał się przeciwko „tendencyjnym pracom", nie godził się też na wprowadzenie „porównawczego rzutu oka na stosunki włościańskie u obcych — przynajmniej w chwili ostatniego rozbioru— bo właśnie to jedyna chwila najniekorzystniejszego dla nas porównania". „Jeżeli prawdziwej historii nie godzi się przemilczać tego co boli i smuci, nawzajem — uważał — nietylko przystoi ale **świętym jest obowiązkiem oświetlić co raduje i unosi".** Komisja konkursowa poleciła doprowadzić dzieje włościan „pod względem politycznym, społecznym i prawnym" do rozbiorów. W programie wysuwano na czoło „wpływ chrześcijaństwa na gminy i los włościan". Uważano też, że nauka płynąca z obrazu przeszłości chłopów „o wiele by się zmniejszyć musiała, gdyby autor zaniedbał wykazać wpływ włościan i historycznych kolei stanu tego na politykę i dzieje Rzplitej". W zestawieniu z żądaniem, które wysunął Cieszkowski, ograniczało to wielce możliwość samodzielnej myśli naukowej u autorów — historyków.

Komisja konkursowa nie we wszystkim posłuszna jednak fundatorowi nagrody, życzyła sobie, ażeby pisarz uzupełnił pracę swoją zwięzłym a charakterystycznym porównaniem stosunków włościańskich w Polsce z położeniem rolniczej klasy w innych krajach, ile możności w każdej ważniejszej epoce swego obrazu.

Konkurs z braku prac trwał wiele lat. Ostatecznie nagrodzone zostało dzieło Wacława Aleksandra Maciejowskiego. Dzieło — naukowo mało warte, ale stanowiące pierwszą próbę syntezy — przed monografiami — w tym tak ważnym a zaniedbanym (do dzisiaj!) przedmiocie, dzieło o postępowej tendencji, uznające już prawa chłopów do uwłaszczenia (dokonanego już przez wszystkie trzy rządy zaborcze).

Kiedy w 1913 r. Jan Kasprowicz wypowiedział nad grobem Antoniego Małeckiego kilka gorętszych słów, w protokóle Towarzystwa pośpiesznie zanotowano, że poeta „uważał za stosowne wygłosić nad grobem w imieniu Towarzystwa mowę treści politycznej i prowokacyjnej". A historyk Towarzystwa, Andrzej Wojtkiewicz próbował w 1928 r. usprawiedliwić tę drażliwość i ostrożność przy pomocy takiej oto maksymy: „Kto odpowiada tylko za siebie, ten może ostatecznie być ryzykantem. Lecz kto uosabia instytucję, stworzoną i rozwiniętą pracą pokoleń, ten nie może się popisywać śmiałością junaka".

Powstanie w 1918 r. Państwa Polskiego i utworzenie w Poznaniu Uniwersytetu postawiło Towarzystwo Przyjaciół Nauk wobec zupełnie nowych warunków. Towarzystwo **przyjaciół** nauk, towarzystwo mecenasów i amatorów nauki, intelektualna śmietanka towarzyska, epigoni dwu wyższych stanów feudalnych po uwłaszczeniu, synowie ziemiańscy i prominenci Kościoła — z jednej strony, a naukowcy ex professo, zawodowcy, profesorowie Uniwersytetu przede wszystkim, opłacani przez Skarb Państwa — i ich potrzeby zrzeszenia naukowego — z drugiej. W pierwszym już roku niepodległości formy organizacyjne Towarzystwa uległy gruntownym zmianom: **Bibliotekę** oddano w zarząd Uniwersytetowi, **Muzeum** połączono z Muzeum Wielkopolskim; utworzono komisje dla organizowania badań naukowych, kwalifikowania prac do druku, przygotowywania wydawnictw naukowych. W skład komisji weszli wyłącznie naukowcy. Przyjaciele nauk pozostali w dawnych wydziałach, los wydziałów był już jednak przesądzony. Struktura społeczna i typ kultury, jaki reprezentowały one — ziemiańskie mecenasostwo i amatorstwo odchodziły już w przeszłość. Utrzymały się jeszcze dwa wydziały: lekarski i teologiczny, manifestując jedność świata lekarskiego — praktyków i naturalną zwartość katolickich teologów. Zarząd składał się w większości z delegatów Komisji, prezesura utrzymywała się przez kilkanaście lat międzywojennych w rękach Bronisława Dembińskiego, profesora Uniwersytetu poznańskiego, wybitnego historyka o konserwatywno-katolickich poglądach.

Roczniki przestały wychodzić w 1923 r., jako skutek nowej organizacji Towarzystwa. Natomiast pojawiły się wydawnictwa poszczególnych Komisji, jako **„Prace",** z oznaczeniem komisji. Kontynuując tradycje wydziału historycznego, Komisja Historyczna Towarzystwa okazywała, i okazuje do dzisiaj, największą żywotność. Przewodniczył jej do 1931 r. prof. Jan Rutkowski, później prof. Adam Skałkowski, sekretarzem jej był do wojny Z. Wojciechowski. W tym czasie odbyła ona ponad 100 posiedzeń ze stukilkudziesięcioma referatami. Wśród publikacji źródeł historycznych wymienić trzeba **Kodeks Dyplomatyczny Wielkopolski,** Akta radzieckie poznańskie, korespondencję ks. Józefa Poniatowskiego z Francją.

Straty wojenne, personalne i materialne Towarzystwa są wielkie. Z materialnych najdotkliwsza — to zniszczenie archiwaliów Biblioteki Towarzystwa.

W nowej organizacji pracy likwidacji uległy ostatnie wydziały, lekarski i teologiczny. Lekarzy skupia Towarzystwo Lekarskie, teologia zaś zajmuje silne miejsce w komisji teologicznej Towarzystwa. W 1946 r. utworzono z inicjatywy prof. J. Rutkowskiego nowy zespół pracy — **Koło Naukoznawcze,** zajmujące się również problemami organizacji nauki i nauczania.

Niezwykła jest żywotność Komisji Historycznej. W ciągu 28 miesięcy odbyła 28 posiedzeń z trzydziestu kilku referatami, przejęła od Towarzystwa Miłośników Historii wydawnictwo poznańskich „Roczników Historycznych", wzięła na siebie kontynuację „Roczników Dziejów Społecznych i Gospodarczych" (przed wojną redaktorowie: Bujak-Rutkowski) „Studiów nad Historią Prawa Polskiego" (założonych przez Oswalda Balzera), oraz „Przewodnika Historyczno-Prawnego" (red. Przemysław Dąbkowski) pod nową nazwą „Czasopisma Prawno-Historycznego". Jest to wysiłek trzech głównie historyków — Wojciechowskiego, Rutkowskiego, Tymienieckiego.

Sprawozdanie Towarzystwa za lata 1927—1947, pióra prof. Z. Lisowskiego, obecnego prezesa Towarzystwa, donosi o zachowaniu się mimo śmierci autora rękopisu A. Kniata, drugiego i trzeciego tomu **Dzieiów uwłaszczenia włościan w Wielkim Księstwie Poznańskim,** których tom I-szy wyszedł bezpośrednio przed wojną, a jego nakład uległ w czasie wojny niemal w całości zniszczeniu. W druku znajduje się wielka monografia o margrabi Wielopolskim pióra prof. Skałkowskiego oraz z rękopisu pośmiertnego studium analityczne Balzera o tekstach Statutów Kazimierza Wielkiego.

Poznań stał się po wojnie czołowym ośrodkiem nauki historycznej w Polsce. Zawdzięcza to przede wszystkim dwum doskonałym organizatorom pracy, prof. Z. Wojciechowskiemu i prof. J. Rutkowskiemu. Jest problemem kapitalnym wręcz, jaki będzie wkład tego najpoważniejszego dzisiaj ośrodka wydawniczego historycznych w Polsce w wielkie dzieło budowy nowej historiografii polskiej, przed którym oczywiście stoimy.

Stanisław Śreniowski

Anglicy, Afryka i orzechy

(felieton gospodarczy)

DOŚĆ NIEPOSTRZEŻENIE dla opinii świata, jakby cichaczem i pokątnie odbywa się od dwu lat proces aktywizacji gospodarczej kontynentu afrykańskiego.

Wprawdzie w Indiach Anglicy oddają tylko tyle ile muszą, wycofują się z nich krok po kroku, zostawiając garnizony i... długi (1160 milionów funtów!), wprawdzie nadali prawa dominialne wyspie Cejlon, i chociaż wycofują się z dotychczasowych pozycyj tylko pod naporem nieodwracalnych konieczności, ale jednak — wycofują się. Miniona wojna nauczyła ich, że utrzymanie pozycyj na Dalekim Wschodzie z dotychczas rozporządzalnych baz na Oceanie Indyjskim i Pacyfiku jest niewykonalne na wypadek wojny przyszłości. Młodsza generacja strategów angielskich wyciągnęła jeszcze jeden wniosek z doświadczeń ostatnich lat: nie jest wykluczone, że utrzymanie za wszelką cenę obecnej linii strategicznej Gibraltar — Suez — Indie — Daleki Wschód przestaje mieć określony sens i skierowuje uwagę brytyjczyków w fałszywym kierunku. Być może, że w niedługim czasie interesy brytyjskie na Dalekim Wschodzie — w sensie interesów kolonialnych — przestaną wogóle istnieć lub zostaną zredukowane do minimum i wówczas „życiowa linia strategiczna Imperium" prowadzić będzie do nikąd. Jest przytem więcej niż prawdopodobne — rozumują niektórzy Anglicy — że żegluga przez Suez zostanie przerwana pierwszego dnia wojny — i nacóż wtedy zdadzą się bazy, których celem było utrzymanie tej żeglugi, pocóż marnować środki na ich utrzymanie?

Po przez Afrykę pobudowano w ciągu minionej wojny drogi bite, olbrzymia sieć lotnisk wojskowych pokryła najważniejsze połacie afrykańskiego kontynentu, na wschodnich obszarach kraju odkryto bogate złoża cynku i ołowiu — a równocześnie uczeni brytyjscy stwierdzają, że przyczyną małej wydajności pracy robotnika angielskiego na Wyspach jest... brak tłuszczów, niedostatek w odżywianiu. Nic więc prostszego jak połączyć plany strategiczne, ochronę interesów brytyjskich w Indiach, na Półwyspie Arabskim, w Iraku i w Persji (nafta) z interesem brytyjskiego konsumenta tłuszczów przez rozbudowę i intensyfikację uprawy rolnej w Afryce, przez rozbudowę przemysłu spożywczego.

Stąd powstał plan — zaakceptowany już przez Parlament — przeznaczenia 100 milionów funtów na uprawę orzecha ziemnego w Afryce Wschodniej. Jeśli więc przy obecnych trudnościach finansowych rząd angielski zdecydował się przeznaczyć poważną sumę 100 milionów funtów na inwestycje zagraniczne, które przynieść mogą korzyści dopiero za lat kilka świadczy to o wadze, jaką przywiązuje do zagadnienia afrykańskiego. Założenie rządowego towarzystwa przemysłowo - handlowego dla uprawy orzecha ziemnego nie jest bowiem w warunkach angielskich czymś zwyczajnym. W historii Albionu jest to bodaj pierwszy wypadek bezpośredniego angażowania poważnych środków finansowych, płynących z podatków w inwestycje zagraniczne o charakterze gospodarczym.

Rząd brytyjski zainteresowany jest bezpośrednio w gospodarczym rozwoju Afryki. Z oświadczeń angielskich ministrów wynika, że rząd chętnie będzie widział jeśli obok kapitałów państwowych prywatne towarzystwa angielskie zainteresują się planem gospodarczej aktywizacji Afryki Wschodniej i zechcą ze swej strony inwestować w tamtejsze rolnictwo i przemysł spożywczy. Oczywiście — nie w sposób dziki, lecz zgodnie z rządowym planem i pod rządową kontrolą.

Wyniki tej zachęty nie są jeszcze znane. Nie są również znane postępy prac rządowych w kierunku realizacji „planu orzechów ziemnych". Chęć stworzenia poważnej bazy gospodarczej w Afryce Wschodniej celem ubicia dwu pieczeni jednocześnie: dania oparcia materiałowego i ludzkiego dla strategicznych planów na Bliskim Wschodzie i Oceanie Indyjskim, i równoczesne gospodarczego uniezależnienia się od importu, za który trzeba płacić walutą wydaje się korzystną z punktu widzenia Imperium Brytyjskiego.

Przypuszczać należy, że niemały wpływ na skoncentrowanie kolonialno - strategicznych interesów brytyjskich na terenie Afryki miały ruchy wolnościowe ludów Indonezji, Indyj czy Malajów; plemiona afrykańskich murzynów są znacznie prymitywniejsze, mają mniejsze ambicje polityczne, nie zagrażają więc inwestycjom kapitałowym, dokonywanym na ich terytorium w tym stopniu co Burmańczycy czy Hindusi na swoim. Zanim plemiona murzyńskie Afryki Wschodniej — rozumują Anglicy — będą miały te ambicje polityczne, które dziś mają n. p. Burmańczycy i zanim potrafią je zrealizować, kapitały nasze dawno będą zamortyzowane.

Ażeby produkować nie wystarczy jednak mieć — słusznie czy niesłusznie — poczucie bezpieczeństwa. Trzeba jeszcze dysponować ludźmi, chętnymi do pracy. O zagadnieniu sił roboczych na terenie Afryki stosunkowo mało mówi się i pisze w Anglii, aczkolwiek właśnie zagadnienie siły roboczej rozstrzygnie o powodzeniu lub niepowodzeniu angielskich planów odnośnie Afryki Wschodniej. Jak ono zostanie rozwiązane pokaże niedaleka przyszłość — czy chcą czy nie chcą Anglicy będą jednak musieli liczyć się ze swoistą „niechęcią do pracy" wśród murzynów, niechęcią, która — podobnie jak w Hiszpanii — uwarunkowana jest także przyczynami natury gospodarczej i socjalnej nie tylko klimatycznej.

* * *

Opisując swe wrażenia z podróży po Hiszpanii Ilia Erenburg wspomina drobny lecz charakterystyczny epizod, który mu się wydarzył na dworcu w jakiejś małej mieścinie. Mając dwie walizy rozglądał się za kimś, ktoby odniósł je do hotelu. Pod murem stało kilku drabów. Erenburg zwrócił się do jednego z nich proponując odniesienie bagażu. Zagadnięty zdecydował się, chwycił ciężką walizę, odniósł do pobliskiego hotelu i po paru minutach zjawił się z powrotem prosząc o zapłatę. Autor „Julio Jurenito" zwrócił mu uwagę, że jest jeszcze jeden pakunek, który też trzeba odnieść. — „Ja mam dość — brzmiała odpowiedź Hiszpana — zarobiłem na dzisiaj. Niech pan poprosi o odniesienie drugiej walizy mego kolegę, który tam stoi pod murem. On dziś jeszcze nie zarobił na swoją porcję wina".

Hipolit Gliwic w jednej ze swych książek — bodajże w „Materiale Ludzkim" — opowiada następującą anegdotę (cytuję z pamięci — podobnie jak i Erenburga):

Kilku businessmanów amerykańskich wybrało się w podróż samochodem po Afryce. Ujechali już wiele tysięcy kilometrów widząc wszędzie olbrzymie możliwości dla inwestycyj kapitałowych, perspektywę fantastycznych zysków. Niezmierzone bogactwa surowców na ziemi i pod ziemią marnowały się — nie wyzyskane. Żeby je sproduktywizować trzeba było tylko kapitału i pracy. Kapitałem dysponowali — a praca?

W jakiejś oazie, podjeżdżając pod kępkę palm kokosowych zauważyli grupę wylegujących się murzynów. Zatrzymali auto i podeszli do nich. Wywiązała się taka mniej więcej rozmowa:

— Dlaczego nie pracujecie?

— A poco?

— No... zdziwienie Amerykanów nie miało granic ...no, żeby zarobić!

— A poco? — pytają naiwni murzyni tą samą łamaną angielszczyzną.

— No ...żeby później móc coś zjeść i odpocząć.

— A co my teraz robimy?

* * *

Do Afryki wyjeżdża z Wysp Brytyjskich sporo emigrantów. Jest to jedyna bodajże emigracja którą Anglicy, zagrożeni poważnie brakiem sił roboczych w kraju i psychozą emigracyjną, szerzącą się wśród młodzieży — tolerują. Gdzieś latem 47 r. odbyły się w Londynie „zawody eliminacyjne" rzeźników, chcących otrzymać pracę w Afryce. Pierwsze lokaty uzyskało 6 rzeźników polskich, b. żołnierzy korpusu Andersa. Dostali kontrakty na kilka lat z pensją 60 funtów miesięcznie i pojechali już chyba pod zwrotniki.

Wydaje się, że nie jest to jedyny powód, dla którego warto, żebyśmy tu w Polsce interesowali się planami gospodarczymi Anglików w Afryce.

Kajetan Kotowicz.

KRONIKA FRANCUSKA

POWRÓT Sachy Guitry odbył się naprawdę z pompą i paradą. Nagle i równocześnie (przypadek oczywiście, przypadek!) na ekranach kin ukazały się filmy Sachy Guitry, księgarze odkurzyli po tylu latach książki Sachy Guitry, pojawiło się, poprzedzone długotrwałą reklamą, najnowsze jego „dzieło" pt. „Cztery lata okupacji", a sam Sacha Guitry raczył wystąpić publicznie w sali Wagram. Mówił pięknie i żywo, reasumując właściwie to, co już był napisał. Mówił, że wcale nie był germanofilem („moja operetka została zakazana przez cenzurę niemiecką tylko dlatego, że doszukano się w niej idei progaullistowskich!"), że wcale nie był antysemitą („mogłem wyrządzić wiele zła, a przecież nie raz ratowałem Żydów!"), że wcale nie był kolaboracjonistą („jeszcze przed wojną odrzuciłem zaproszenie urządzenia mych gościnnych występów w Berlinie!"). Jego książka „Od Joanny d'Arc do Petaina", której nie wystawiono teraz (przypadkowo, oczywiście, przypadkowo!) w witrynach paryskich księgarń? „Ależ, proszę państwa, współpracowałem przecież przy jej pisaniu z Paul Valery, Georges Duhamel, J. J. Tharaud, ale nigdy z Abel Bonnard!" Jego zachowanie się wobec Niemców? „Ależ proszę przypomnieć sobie sytuację Goethego, gdy w r. 1803 wezwał go do siebie bawiący wówczas w Erfurcie Napoleon!" „Stwierdzam, mówił Sacha Guitry, że nie przyczyniłem się niczym konkretnym do sukcesów Niemiec. Stwierdzam, że z wrogiem postępowałem zawsze w sposób inteligentny". Tak, to była bardzo konkretna inteligencja! I kiedy Sacha Guitry przypomniał, że swój film „Pola Elizejskie" zakończył okrzykiem „Niech żyje Francja!", (co przecież jest najlepszym dowodem jego patriotyzmu!) i kiedy mówił o swojej głębokiej przyjaźni do Amerykan (nawet z wiezienia utrzymywał kontakt ze swymi przyjaciółmi z USA), mimowoli przyszła na myśl anegdota, która jeszcze w zeszłym roku opowiadano sobie w Paryżu na ucho: Pytają matkę której córka oskarżona jest o współżycie z Niemcami, jak mogła do tego dopuścić. Cóż brzmi na to matczyna *odpowiedź — w Paryżu byli Bosze. Gdyby tu byli Amerykanie, to napewno z nimi* właśnie by spała.

Obecnie Sacha Guitry rozpoczyna kręcenie nowego filmu i znajdują się już ludzie, którzy twierdzą: „było nie było — kinematografia francuska potrzebuje talentów!", podobnie jak *nieco wcześniej szereg pism wyrażało myśl, że skoro* już wraca po przymusowym milczeniu, to „niech mu będzie danym złożenie swej cegiełki dla odrodzenia naszej kultury". Talent ma, to pewne, obawiam się tylko o kulturę, którą ma a budować tacy jak Sacha Guitry mistrzowie.

„Istnieją geniusze, którzy wyprzedzają historię. Pozostają latami ignorowani i nieznani. Potem historia ich dogania. Potem historia ich zostawia w tyle. I często ten właśnie czas, gdy zostają prześcignięci, ten czas, gdy tracą swe najwspanialsze przymioty, przynosi im oficjalną sławę i staje się okresem ich kanonizacji literackiej.

André Gide otrzymał nagrodę *Nobla. Ukoronowanie* w pełni zasłużone, gdyby chodziło *o uczczenie wspaniałego* stylu autora „Dzienników", „*Symfonii pastoralnej*", „Fałszerzy", „Lochów Watykanu", książek, w których zawierał się ów potężny wyzwoleńczy wpływ, jaki Gide wywierał w latach 1928—1936 na młodzież. Cóż jednak zostało z tego Gide'a? Kim jest dziś Gide uwieńczony? Gide „oficjalny"? Oczywiście, że powstały po jego powrocie z ZSRR antykomunizm nie spowodował nagłej utraty talentu. Gide dalej pisze równie zachwycająco. Ale ten antykomunizm skaził uniwersalny charakter jego pisarstwa. Od r. 1936 Gide zgorzkniał zamknął się w sobie, stał się błahy i w r. 1947 nie ma już za sobą młodzieży, która szła za nim przez 20 lat. Zrodził się Gide, który nie umie już nauczać entuzjazmu, głosi strach, negacje i skrytość.

Przykro nie móc go podziwiać tak, jak by się chciało. Przykro wykazywać obłudę tego, który umiał zadenuncjować tyle innych obłud. Przykro widzieć usychające jedno z najpiękniejszych sumień świata. Lecz cóż — zaczęła się kanonizacja".

To stanowisko Edgara Morin („Action" nr 164) jest stanowiskiem całej francuskiej lewicy wobec przyznania nagrody Nobla Gide'owi. Natomiast te sfery wśród których wymienienie nazwiska Gide'a należało jeszcze 12 lat temu do największego nietaktu — nazwiska Gide'a walczącego z hipokryzją rodziny mieszczańskiej, z kolonializmem i wyzyskiem, walczącego z obłudą świata kapitalistycznego — te same sfery przyjęły z entuzjazmem nagrodę dla Gide'a wygasłego, dla Gide'a, który już nie szuka, który już nie walczy dla Gide'a, który zgadza się z istniejącym układem społecznym. Przyjmuje do swego grona autora „Dzienników", ale tych z lat 1939—1942, bo w nich to Gide pisał: „Można żyć szczęśliwie nawet w klatce" i: „Układać się z wczorajszym wrogiem nie jest podłością — to rozsądek".

„Nagroda literacka Nobla oznacza, że Gide dobrze pisze. I cóż chcecie więcej? Dobry pisarz to jest człowiek, który dobrze pisze. To wszystko. Retorów trzeba dziś tym, którzy przyznają nagrody Nobla, ludzi, którzy mówią dobrze aby nie powiedzieć nic" pisze Jean Kanapa w „Les lettres francaises" i tak jest. Człowiek, który głosił „poszukiwanie prawdziwego życia", „ciągłą aktualność walki" stał się rzecznikiem nieodpowiedzialności społecznej pisarza i twórcą wspaniałych formą utworów, które nie każą myśleć. Więc chociaż nie wolno zapomnieć o jego dawnych zasługach, to przecież przyznanie mu nagrody Nobla właśnie teraz ma bardzo symptomatyczny wydźwięk.

W dzień po wyborach municypalnych, które przyniosły rozgromienie wszystkich partii prawicowych i skupienie ich głosów wokół gen. de Gaulle'a, radio paryskie w ramach codziennej wolnej trybuny transmitowało dyskusję między grupą egzystencjalistów a gaullistami. Zupełnie niespodziewanie dla całej opinii francuskiej i ku wielkiemu oburzeniu prawicy, która z tej strony nie spodziewała się ataku, egzystencjaliści z Sartrem na czele wystąpili bardzo ostro przeciw generałowi. Mimo, że wystąpienie ich było bardzo błyskotliwe i raczej powierzchowne, mimo, że nie zmienia w zupełności pozycji egzystencjalistów, warto zapoznać czytelnika polskiego z ciekawszymi wypowiedziami obu stron, które demaskują w niedwuznaczny sposób politykę generała.

„Sartre: Stwierdzam, że wzbudza wstręt w waszej propagandzie to, że korzystacie z wiary ludzi w fatalizm. W gruncie rzeczy wasza gra jest prosta. Jeżeli nie mistyfikujecie się sami, to wierzycie, że wojna jest nieunikniona, że dwa bloki już istnieją, że wcześniej czy później dojdzie do starcia i mówicie ludziom: „Wobec tego stanu rzeczy stańcie na prawicy w szeregach de Gaulle'a i Amerykanów". A w rzeczywistości im więcej ludzie o tym mówią, im liczniej ci oszukani przybywają do was, tym silniej zarysowują się dwa bloki, tym głębsza wytwarza się przepaść, tym możliwsza staje się ewentualność wojny. Inaczej mówiąc stawiacie na wiarę ludzi, że klamka już zapadła, zabieracie im całą nadzieję, że mogą sami decydować i właśnie dlatego, że podsycacie tę rezygnację, znajdujecie zwolenników, ale tym samym prowadzicie do wojny; wy przecież jednak chcecie mieć wojnę, choćby dlatego, by móc potem powiedzieć w odpowiednim momencie: „myśmy mieli rację". Innym, słowy: będziecie mieć rację na skutek tego, że jej nie macie".

Simone de Beauvoir (w odpowiedzi Chauffardowi, reprezentującemu RPF, który *twierdził, że de Gaulle chce zaprowadzić* „prawdziwy" *socjalizm*):

„Jestem nastawiona bardzo sceptycznie co do szans rozwoju socjalizmu w rękach de Gaulle'a i jego towarzyszy. Prawdą jest że de Gaulle nie ma programu. Ale w swojej mowie w Vincennes użył on kilku słów, które są bardzo niepokojące. Mówił on o „komitetach przedsiębiorstw", a my znamy znaczenie tego pojęcia, używanego za rządu Vichy. Chce się związać robotnika z miejscem jego pracy, odciąć go jednocześnie od życia związkowego, oderwać go od swej klasy. Tej metody używał Mussolini, Franco, Salazar, używali wszyscy faszyści. Zresztą wszystko jest jasne już z tego, co powiedział Soustelle w interview dla pisma „Combat". Na pytanie jaki jest jego punkt widzenia na zagadnienie wolności odpowiedział bardzo niebezpiecznym rozróżnieniem: „Nie ma jednej wolności — jest ich wiele". Jeżeli zaczyna się od podziału wolności, to znaczy, że czynione są już przygotowania likwidacji jednej albo wielu z nich, a może i wszystkich. Powiedział on, że w każdym wypadku gaulliści będą respektować wolność zebrań i swobodę wyrażania swych poglądów. Jeżeli chodzi o wolność zrzeszania się, to będzie zależało od okoliczności. Wiadomo, co to oznacza. Zawsze można znaleźć „warunki", które zmuszą do oświadczenia że taka lub inna wolność jest niebezpieczna... Zniesienie wolności zrzeszeń oznacza zniesienie prawa strajku co jest równoznaczne z odebraniem klasie robotniczej jej znaczenia politycznego i socjalnego. Czy to właśnie jest przez was nazywane „socjalizmem".

Chauffard: ...To czego my chcemy, to socjalizm narodowy.

Bonafé: Z dobrym gaulleiterem?

Chauffard: Bonafé, proszę. Nie porównujcie przecież de Gaulle'a do... Nie, tak nie można!

Bonafé: Cóż pan chce, ja reaguję tylko na termin „narodowy socjalizm". To zresztą tak jak litery RPF przypominają mi PPF (Parti Populaire Francais, faszystowska partia, która pod kierownictwem Doriota wysługiwała się Niemcom — przyp. mm.), nie dlatego, że to są prawie te same litery, ale dlatego, że to jest ta sama klientela. A proszę wziąć pod uwagę ową słynną mowę w Vincennes, która według znanego nam sprzed i z czasów wojny typu, polega na bilansowaniu swoich dotychczasowych sukcesów: „Ja zrobiłem to, a potem to a potem jeszcze to i tak coraz więcej. Tylko zwróćcie uwagę że gdy krzykacz niemiecki miał jednak niemały szereg sukcesów do przypomnienia, to generał de Gaulle ciągle rozwodzi się nad swoim wielkim rokiem 1944, bo potem nie ma nic, nic oprócz marnotrawstwa, oprócz ładnego rachuneczku mamisynka pozostawionego do zapłacenia rządom następnym... Widzieliście zapewne afisze RPF rozlepione na wszystkich murach Paryża. Widzieliście na nich ten wielki portret generała. Co prawda za portretem było widać postać Republiki, ale całkiem bladą, zupełnie zamazaną, że wprost zupełnie znikała ta biedna Republika przy generale, który rozłożył się na niej i ją zakrył. I z jaką miną do tego, z jakim wyglądem! Zapewniam was, że podobieństwo było wprost uderzające: ten mały wąsik, te brwi nastroszone nad stalowym spojrzeniem, ten przyciężki kark. Za wyjątkiem loczka na czole wszystko było na tej twarzy, wszystko. Każdy zwracał na to uwagę przechodząc: ależ to jest...

Sartre: Bonafé, proszę, czyżbyście mieli zamiar to powiedzieć?...

Chauffard: Wy naprawdę jesteście typowymi intelektualistami, wy wszyscy. Stoimy u progu wojny, może i domowej. Panuje u nas głód i bezład. Wy zaś ważycie za i przeciw. Udawadniacie tylko jedną rzecz: że Soustelle mylił się, gdy pozostawiał jeszcze dwie wolności. Powinien był przede wszystkim mówić o zniesieniu swobody myślenia".

Następnego dnia wielkie tytuły gazet donosiły, że „Sartre porównuje de Gaulle'a do Hitlera", że „Sartre deklaruje się wrogiem generała", ale prasa lewicowa zachowywała rezerwę. Bo czyżby się tak nagle zmienili Jean Paul Sartre, i Simone de Beauvoir, i Bonafé i cała grupa „de la troisieme philosophie"? Rezerwa była uzasadniona. Po tygodniu ten sam Sartre zaatakował równie ostro komunistów, dając tym samym swoje poparcie „trzeciej sile", która stworzona przez socjalistów Bluma i MRP, pozornie walcząc z de Gaulle'm, w rzeczywistości toruje mu drogę do władzy

Mariusz Margal

PRZEGLĄD PRASY

Kolejny, 11 (18 ogólnego zbioru) numer „Myśli Współczesnej" przynosi materiał poświęcony sprawom nauki. Łącząc rocznicę rewolucji październikowej z tematem szkolnictwa, któremu poświęcono lwią część zeszytu listopadowego, redakcja zamieściła dwa artykuły uczonych sowieckich, omawiające osiągnięcia nauki w ZSRR oraz historię trzydziestoletniej pracy wyższych uczelni sowieckich. Z uwagi na ograniczoną ramami artykułu objętość, prace S. I. Wawiłowa („Nauka radziecka w służbie kraju") oraz A. Butiagina i J. Sałtanowa („30 lat wyższego szkolnictwa w ZSRR") dalekie są oczywiście od wyczerpania całokształtu niezmiernie bogatego zagadnienia. Mimo to czytelnik polski dowiaduje się tych podstawowych rzeczy jakie wiedzieć należy.

Artykuł Wawiłowa jest cenny dla nas przede wszystkim dlatego, że podkreśla tradycje nauki rosyjskiej sięgające wieku XVIII i wskazuje, iż zahamowany „przez reakcyjny szlachecko-burżuazyjny ustrój" dalszy jej rozwój nastąpił z chwilą, gdy „rewolucja socjalistyczna zdołała uczynić z rosyjskiej nauki potężną siłę, uczestniczącą w budowie państwa, w jego obronie, pracującą nad podniesieniem przemysłu, rolnictwa, medycyny i narodowego dobrobytu".

Następnie omawia autor kolejne zadania i osiągnięcia nauki sowieckiej w okresach: pierwszych lat rewolucji, „piatiletek", drugiej wojny światowej, by wreszcie przejść do charakterystyki nowych zadań nauki w okresie rekonstrukcji zniszczonego przez wojnę gospodarczego dorobku ZSRR. Artykuł Wawiłowa podkreśla ścisłą łączność, jaka istnieje między pracą uczonych i życiem kraju. „Podczas gdy poprzednio nauka była oderwana od zadań praktycznych, a uczeni często zajmowali się zupełnie abstrakcyjnymi zagadnieniami, teraz naukowe teorie były organicznie związane z wymaganiami techniki i życia praktycznego". Ta zasadnicza cecha nauki sowieckiej w okresie pierwszych lat porewolucyjnych dominuje — według Wawiłowa — dzisiaj: „Podobnie jak w 1918 r. kiedy to czołowa (może raczej: przodująca? — przyp. ph.) inteligencja zmobilizowała swe siły na służbę dla kraju... tak i teraz rozpoczęła się mobilizacja sił w celu stworzenia nauki, która pozwoli zbudować wolny, szczęśliwy świat".

Butiagin i Sałtanow, pisząc o wyższym szkolnictwie sowieckim, również powołują się na dawną tradycję uniwersytetów rosyjskich, które w pierwszej połowie XIX stulecia skupiały demokratyczną, liberalną młodzież rosyjską: „Hercen, Ogarow, Bieliński, Bakunin, Lermontow, Gonczarow, Aksakow, Turgieniew".

Podobnie jak w sprawach nauki, tak samo w zakresie studiów wyższych wzmagający się z biegiem lat despotyzm polityczny caratu wpłynął jak najbardziej ujemnie na poziom szkolnictwa wyższego. Rozwój ponowny uniwersytetów rozpoczyna się po roku 1917. Szkoły wyższe zmieniły jednak swój charakter, zmienił się bowiem zasadniczo skład społeczny studiujących.

Autorzy artykułu kreślą interesujące dzieje stosunku rządu sowieckiego do sprawy szkół wyższych. Uczelnie powstają również poza dotychczasowymi ośrodkami, a więc w Taszkencie, Baku, Dniepropietrowsku i inn. Obiektywnie oceniając wartość poszukiwań w okresie porewolucyjnym w zakresie polityki uniwersyteckiej, autorzy stwierdzają, iż nieraz stosowano posunięcia błędne: „Na Ukrainie np. w 1920 roku przekształcono uniwersytety w Instytuty Oświaty Ludowej z następującymi fakultetami: wychowania socjalnego, kształcenia zawodowego i polityczno-oświatowego. Przy tym reorganizacja ta szła często po linii najmniejszego oporu". Wspominają również autorzy artykułu o lekceważącym, a szkodliwym, stosunku do dyscyplin humanistycznych: „Reorganizacja uniwersytetów na Ukrainie doprowadziła do chwilowego odpływu sił naukowych, do obniżenia poziomu szkolenia zawodowego specjalistów, do zmniejszenia zakresu prac naukowo-badawczych i doświadczalnych". Te błędy pierwszego okresu zostały jednak całkowicie przezwyciężone. Autorzy w dalszym ciągu swojego artykułu omawiają dość szczegółowo koleje tych zmian, jakim podlegała struktura szkolnictwa wyższego w miarę wzmacniania się gospodarczej bazy ZSRR. Okres drugiej wojny wydźwignął — zdaniem autorów — prace sowieckich uczelni na wyższy poziom. Po zakończeniu wojny liczba uniwersytetów wzrosła do 31, został zwiększony okres nauczania na wszystkich fakultetach humanistycznych.

Skolei zamieszcza „Myśl Współczesna" dwie wypowiedzi na temat szkolnictwa wyższego w Polsce. Pierwsza z nich — artykuł Włodzimierza Sokorskiego „Demokratyzacja szkół wyższych" reasumuje wyniki prac Rady Szkół Wyższych. Sokorski kolejno omawia zadania, jakie przed Radą postawiono i motywuje ich słuszność oraz celowość. Sokorski podkreśla dwie zasady, jakie przyświecały Radzie: zasadę swobody dociekań naukowych oraz zasadę usprawnienia studiów oraz ich upraktycznienia. Szczególnie zajmujące są dane cyfrowe, które przytacza autor w końcu swojej pracy, a które dotyczą zmiany składu społecznego studiującej młodzieży. Podaję te dane wg. artykułu:

Rok 1946		
Młodzież	robotnicza	4,1%
„	inteligencka	37%
„	mieszczańska	47%

W roku 1947 — twierdzi Sokorski — udział młodzieży robotniczej w studiach wyrazi się w 16 — 18%. Cyfry te, jak sądzę, są bardzo pouczające.

Najciekawszym bezsprzecznie artykułem w listopadowym numerze „Myśli Współczesnej" jest Józefa Chałasińskiego „Współczesne reformy szkolne a idee narodu i socjalizmu". Ta obszerna praca teoretyczna wybitnego uczonego potwierdza praktyczne tezy zawarte w programie Rady Szkół Wyższych, uzasadnia ich celowość i daje solidną podbudowę historyczną. Szkic swój rozpoczyna Chałasiński zobrazowaniem i zanalizowaniem reform wniesionych do szkolnictwa francuskiego w okresie od wielkiej rewolucji do czwartej republiki. Następny rozdział omawia reformy, które nastąpiły w Anglii od połowy XIX stulecia do drugiej wojny światowej. Wreszcie trzeci rozdział opisuje ścisłą zależność pomiędzy ustrojem Stanów Zjednoczonych i strukturą szkolnictwa. Ze wszystkich trzech historycznych zarysów wynika jasno dla czytelnika, że sprawa struktury szkolnictwa jest ściśle związana z tym, od kogo jest ono zależne i komu oraz czemu służy. Na przykładzie historycznie niedalekim — koniec wieku XIX — okres kryzysu imperialistycznego — autor udowadnia te zależności bardzo dokładne, posługując się umiejętnie cytatami z „Sagi rodu Forsytów". Ten chwyt literacki ożywia niezmiernie studium Chałasińskiego i być może łatwiej przekona czytelnika niż skomplikowany wywód ekonomiczno-historyczny. Wreszcie ostatni z tych rozdziałów przygotowawczych omawia dzieje szkoły polskiej od okresu Komisji Edukacji Narodowej do ustawy jędrzejewiczowskiej.

W ten sposób autor szczegółowo przygotował wnioski z których wyprowadza skolei tezę: kształtowanie się narodu jest wyrazem procesu społeczno-kulturowej integracji. Kapitalizm tej integracji nie sprzyja. Sprzyja jej socjalizm. W ustroju kapitalistycznym bowiem: „Problem gospodarki materiałem ludzkim i ten sam problem z punktu widzenia ogólnonarodowego nie pokrywają się ze sobą". W ustroju socjalistycznym, praktycznie rzecz biorąc, w istniejącej już organizacji socjalistycznej, jaką jest ZSRR konflikt ten nie istnieje.

Sprawę polskiej reformy szkolnej wiąże autor w następnym, kolejnym rozdziale swojej pracy z „zagadnieniem Europy". Każdy naród europejski staje się obecnie rodzajem laboratorium w którym wypracowuje się takie nowe zasady gospodarczo społecznej i politycznej organizacji, które odpowiadając nowym problemom świata, mogłyby być zaakceptowane przez całą kulturalną Europę". Oczywiście autor wyjaśnia, że owo pojęcie „Europy", które w wieku XIX pokrywało się z pojęciem liberalizmu, w wieku XX „kojarzy się coraz bardziej z ideą socjalizmu". „Polska reforma szkolna — twierdzi autor — dotyczy europeizacji Polski, ale równocześnie dotyczy samego pojęcia Europy".

Wiążąc sprawę Polski z losami socjalizmu w Europie, autor wysuwa wszystkie wnioski, jakie się nasuwają w tym stanie rzeczy. Konieczność zmiany dotychczasowej struktury ekonomicznej naszego kraju, to jednocześnie konieczność stworzenia odpowiednich kadr ludzkich. Nowoczesna struktura gospodarcza wymaga nowoczesnego fachowca. Oto zasadniczy problem, który winien być rozwiązany na korzyść reformy szkolnictwa: problem nowoczesnego specjalisty, fachowca. Z tym rzecz prosta wiąże się przede wszystkim wysunięta przez Sokorskiego sprawa demokratyzacji wyższych uczelni i upraktycznienia studiów. Chałasiński słusznie domaga się pozornie paradoksalnego procesu demokratyzacji: wpierw szkoły wyższe, potem

szkolnictwo niższe. Paradoks przestaje być paradoksem, gdy pomyślimy, że to właśnie jest jedyny sposób, by zmienić dotychczasowy skład pedagogów i profesorów na wszystkich stopniach nauczania.

Chałasiński wzywa do jaknajszybszego przeprowadzenia reformy studiów wyższych, do zrezygnowania z wyłączności cenzusu matury jako jedynego uprawniającego do wyższych studów. „Stworzenie systemu wydobywania uzdolnionej młodzieży z mas ludowych zarówno przy pomocy formalnej drabiny szkolnej, jak i poza nią należy do naczelnych zagadnień kultury polskiej".

Określając w końcowym rozdziale swojej pracy demokrację jako zagadnienie organizacji społecznej, pisze autor: „Do demokracji niema drogi łatwej i niema drogi bezmyślnej. Żadna forma organizacji społecznej nie stawia jednostce tak wielkich wymagań intelektualnych i moralnych jak nowoczesna demokracja".

ph.

KORESPONDENCJA

Sprawa słownika polsko-rosyjskiego

Niedawno nabyłem słownik rosyjsko-polski, w opracowaniu Wiktora Jakubowskiego, a wydany w ub. roku przez Sp. Wyd. „Czytelnik".

Przegladając treść słownika, przeczytałem i „Przedmowę", w której autor m. in. pisze: „Dążąc... do uwzględnienia możliwie największej ilości słów, a zwłaszcza wyrazów szczególnie trudnych do zrozumienia dla Polaka, zdecydowałem się, dla zaoszczędzenia miejsca odrzucić rzadziej używane wyrazy pochodzenia obcego, podobnie brzmiące w obu językach..."

Aby się przekonać, jak autor realizuje swoją zapowiedź, sięgnijmy do „Słownika":

Na literę „M" autor przytacza około 400 rosyjskich słów. Jakież są te słowa?

— malaria, mangan, manufaktura, major, maksimum, maska, marionetka, mgła, mikrob, mikroskop, monolog, muza, itd., itd. Jest tego ponad 100 wyrazów, czyli przeszło czwarta część! I tak jest w całym słowniku...

Rosyjskich natomiast wyrazów ob. Jakubowski objaśnia i tłumaczy niezwykle mało, wbrew zapowiedzi w „Przedmowie" do słownika.

A wydaje mi się, że wykształcony czytelnik sięgnie do słownika przede wszystkim celem wyjaśnienia czysto rosyjskich wyrazów, lub też tych wyrazów, które, aczkolwiek obcego pochodzenia — są o tyle w rosyjskiej mowie zmienione, że wydają się dla Polaka trudno zrozumiałe.

Dla zrozumienia zaś znaczenia wyrazów obcego pochodzenia, i to w obu językach jednakowo, lub podobnie brzmiących — jak np. metafizyka, mikroskop, metafora — mniej wykształcony czytelnik może sięgnąć po odpowiedni słownik wyrazów obcych.

Sprawa niniejsza jest o tyle godna omówienia i słów krytyki, że w obecnej naszej rzeczywistości zainteresowanie tak językiem rosyjskim jak i literaturą rosyjską jest wśród naszego społeczeństwa stosunkowo wielkie, a jednocześnie daje się odczuć brak odpowiednio opracowanego, popularnego słownika polsko-rosyjskiego i rosyjsko-polskiego, co przecież nie przyczynia się do ułatwienia w dziele zbliżenia kulturalnego dwóch przyjaznych narodów.

Metody Suszkiewicz

KSIĄŻKI NADESŁANE

S. Jeleński: — Miód z opoki (Rozpowieść), nakład. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, Poznań, str. 303.

Mgr. Jan Jasiński: — Gry i ćwiczenia terenowe (harce terenowe) wyd. IV nakł. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, Poznań 1947.

Bohdan Pepłowski — Całun (powieść), nakład. Gebethnera i Wolfa, Warszawa, 1947 str. 512.

Prof. Janusz Nowak: — Dyrygent chóru (podręcznik dla kierowników chórów) nakład. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, Poznań 1947, str. 83.

Bieniasz Józef: — Edukacja Józia Baracza (powieść z życia gimnazistów) nakład. Wielkopolskiej Księgarni Wydawniczej, Poznań 1947, str. 237.

Jo van Amers-Müller: — Patrioci — wydanie II — nakład. wyd. Książnica Atlas, Wrocław 1948, str. 515.

Norwid Cyprian: — Vade mecum z przedmową Wacława Borowego, nakład. Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, Warszawa 1947, str. 127.

Ferdynand Antoni Ossendowski: — Życie i przygody małpki, wyd. IV, nakład. wydawn. Książnica Atlas, Wrocław — Warszawa, 1947, str. 224.

Michał Szołochow: — Cichy Don, tom III, nakład. Spółdzielni Wyd. „Czytelnik" Warszawa, 1947 str. 521.

Władysław Tatarkiewicz: — Historia filozofii, tom II, nakład. Spółdzielni Wyd. „Czytelnik" Warszawa 1947, str. 348.

Stanisław Słoński: — Słownik polskich błędów językowych nakład. Sp. Wyd. „Czytelnik" Warszawa 1947 str. 282.

Inż. Leopold Temerson: — Elektrotechnik z cyklu „Wzorowy zawodowiec" nakład. Sp. Wyd. „Czytelnik" 1947, str. 287.

Rex Warner: — Lotnisko Wydawnictwo AWIR — Katowice 1947, str. 217.

A. J. Cronin: — Zielone lata, Wydawn. AWIR — Katowice 1948, str. 292.

A. J. Cronin: — Klucze królestwa, Wyd. AWIR — Katowice 1948, str. 363.

Noty

Metody zachodnie na Dalekim Wschodzie

W artykule poświęconym sprawie traktatu pokojowego z Japonią „Izwiestia" przytaczają bardzo charakterystyczny przykład polityki imperializmu Stanów Zjednoczonych na Dalekim Wschodzie. Wiadomo, że imperialiści USA przy każdej sposobności usiłują zdobyć sobie jakąś nową pozycję, ażeby podporządkować jak największe terytoria kapitałowi amerykańskiemu. W związku z przygotowaniami do rozmów na temat zawarcia traktatu z Japonią, jedna z komisyj Kongresu USA zaproponowała konkretnie, by rząd amerykański zażądał przekazania Stanom Zjednoczonym trzech najważniejszych baz japońskiej floty wojennej: Iokosuka, Kure, Sazebo. Bazy te nota bene zgodnie z planami demilitaryzacji, dawno już miały być zlikwidowane. W przewidywaniu, że pozostałe państwa sojusznicze sprzeciwią się takim żądaniom, komisja zaleciła, by w tym wypadku rząd amerykański osiągnął swój cel, zawierając odrębny pokój z Japonią. Ignorując uchwały, dotyczące rozbrojenia i demokratyzacji Japonii, Stany Zjednoczone zupełnie otwarcie zabierają się do przekształcenia Japonii „na sposób zachodni" w kolonię amerykańską i bazę strategiczną na Dalekim Wschodzie.

Ażeby odwrócić uwagę opinii społecznej od tych posunięć, prasa amerykańska twierdzi, że „Rosja umyślnie czyni przeszkody w osiągnięciu porozumienia na temat traktatu pokojowego z Japonią. Kierownik oddziału agencji United Press na Dalekim Wschodzie opublikował niedawno w dzienniku „Nippon Times" artykuł na temat przyszłego traktatu z Japonią, w którym dowodzi, że przedstawiciele radzieccy starają się odłożyć zawarcie pokoju z Japonią na czas nieokreślony, torpedując wszystkie wysiłki USA w tym kierunku. Tego rodzaju wystąpienia, inspirowane zupełnie wyraźnie przez Departament Stanu, można znaleźć w innych pismach, zarówno japońskich jak i amerykańskich. Nie tylko Amerykanie, ale i Japończycy, którzy dbają o względy swych gospodarzy, zaczynają mówić o tym coraz głośniej.

Reakcjoniści japońscy, korzystając z tych sprzyjających ich zamiarom okoliczności, wysuwają projekt, aby „wszystkie kraje zainteresowane zawarły pokój z Japonią bez udziału Rosji". Z tego rodzaju propozycją wystąpił niedawno znany działacz reakcyjny Yosida.

Cel tej propagandy jest zupełnie jasny: Podnosząc wrzawę wokół „przeszkód", stawianych przez ZSRR, Amerykanie dążą do opanowania Japonii tak, jak to uczynili w stosunku do Niemiec zachodnich. „Metody" stosowane na Wschodzie, jak wynika z tych przykładów, nie różnią się w niczym od sposobów, których używają Amerykanie na Zachodzie.

bs.

Der Untergang des Abendlandes

Jest koniec roku 1947. Dorosły już — i zdążyły być na froncie dzieci, które rodziły się w tym samym roku, co stary poczciwy dadaizm, dobra staroświecka poezja bezsensu. A tymczasem... A tymczasem w Nr 11 „Esprit" z listopada 1947 piszą:

„Bezsens jest na porządku dnia. Rezonans, który może mieć w Sztuce, w życiu i mistyce generacji nadchodzących, nie da się dzisiaj jeszcze przewidzieć.

Nie trzeba zapominać, że istnieją niezaprzeczalne analogie między Mistykami i Twórcami, Schizofrenikami i Poetami, Prymitywami i Demiurgami wszelkiego rodzaju i one to pozwalają przedłużyć drogi Podświadomego, które Sztuka i Nauka stara się przeciąć i zbadać pod każdym względem".

A ə a, kotki dwa... I te duże literki są rozkoszne. I ten poeta — schizofrenik i ta mistyka, podświadomość. Cacany obraz kołtuństwa. Palce lizać.

żlk.

Sprawa młodej poezji

W numerze świątecznym „Wsi", Jan Aleksander Król w artykule „Gwiazdka dla wydawców" zwraca uwagę na młodych poetów wiejskich, których utwory są zapowiedzią i obietnicą.

Dodalibyśmy, że w ogóle zagadnienie najmłodszej poezji nie jest w dostatecznej mierze uwzględnione w ogólnym planie wydawniczym. Słychać częste narzekania na stan poezji najmłodszej, nie robi się jednak nic, by młodym poetom pomóc w ich pracy. W tej chwili nie to jest najważniejszą rzeczą, czy już osiągnęli dobre wyniki. Najważniejszą rzeczą jest umożliwienie im doskonalenia się, którego spodziewać się należy gdy zaczną ogłaszać swoje prace. Dlatego trzeba apelować do wydawców, by wśród innych pozycji uwzględnili również utwory poetyckie i nie czekali na zjawienie się geniuszów. Geniusze bowiem — jak wiadomo — zjawiają się rzadko i w długich odstępach czasu.

m. j.

Nowy artykuł Erenburga

Ilia Erenburg zamieszcza w „Prawdzie" artykuł, zatytułowany „Koalicja nikczemników", w którym analizuje sytuację we Francji. Oto, jak charakteryzuje autor tych, którzy poraz drugi zdradzają Francję.

„Tchórzliwi wojacy, którzy w 1940 roku przy pierwszej plotce panicznej rzucali swych żołnierzy na pastwę losu, żądni są teraz zwycięstw nad bezbronnymi kobietami. Przemysłowcy i wielcy fabrykanci, którzy zarobili miliony w czasie okupacji, chcą zmusić do przymierania głodem tych Francuzów, którzy nie wypuszczali sztandaru narodowego z rąk, walcząc w górach Limousin i Sabaudii. Kameleony polityczne, przyjaciele Stawiskiego, niechlujne kuchty parlamentarne, socjaliści, którzy wyspecjalizowali się w dławieniu ruchu robotniczego, komedianci z Monachium, pijane warchoły typu Daladier i trzeźwi geszefciarze typu Reynauld, spekulanci i krętacze — wszyscy pośpiesznie wyrabiają sobie patenty na tytuł zbawcy ojczyzny.

W swoim czasie zdrajcy z Vichy sprzedali Francję za ołów SS-owców i worek kartofli, a teraz zdrajcy z koalicji socjalistyczno-katolickiej gotowi są sprzedać za kromkę amerykańskiego chleba i za gazy łzawiące własną ojczyznę.

Głównym celem koalicji socjalistyczno-katolickiej jest wzniesienie głuchej ściany między Francją i ZSRR. Francuzi wiedzą, jak się kończą figle prowokatorów antysowieckich— po Monachium nastąpiło Compiegnes, a potem czteroletnia niewola niemiecka. Starzy zdrajcy szykują teraz nową tranzakcję. Tym razem skala zdrady jest znacznie szersza. Sprzedaje się hurtem niezależność Francji.

Przeciwstawienie de Gaulle'a Petainowi lub Ramadier — Daladierowi wygląda teraz na kpiny. Duch Vichy jest u władzy i starego Petaina, siedzącego w gabinecie na wyspie Aix może tylko dziwić roztargnienie ziomków: dlaczego nie przeniesiono go do pałacu Elizejskiego, skoro wszyscy — od De Gaulle do Leona Bluma — zrozumieli, że Petain miał rację? Oczywiście Petainowi nie poleca się już utworzenia nowego gabinetu. Stary za dużo gada. Zresztą, poco Petain, skoro jest Moche? Przecież socjaliści francuscy natychmiast skopiowali antyrobotniczą ustawę Tafta i starają się przejąć wszystkie maniery swych nowych gospodarzy. Nie wiem, czy monsieur Moche żuje gumę, czy wytworny monsieur Blum trzyma nogi na stole, ale wiem, że w pałacu Burbońskim zapanowały obyczaje gangsterów chicagowskich. Amerykanie we Francji zachowują się jak u siebie w domu. Daremnie koalicja socjalistyczno-katolicka chce udawać, że rządzi państwem niezależnym. Ministrów wybiera premier francuski, ale premiera wybierają eksperci amerykańscy.

Mr. Dulles znalazł chwilę czasu, by wybrać się do Paryża i zrobić tam porządek. Francuzi z koalicji socjalistyczno - katolickiej powitali Dullesa jak wielkiego pana, który o wszystkim ma zadecydować. I Dulles zadecydował. Z nonszalancją właściwą ludziom jego sfery, powiedział on: „Komuniści francuscy, to nie są Francuzi". A więc ludzie, którzy walczyli w podziemiu, jako wolni strzelcy Normandii, jako partyzanci, towarzysze broni 75 tysięcy komunistów francuskich, poległych w walce z okupantem — to nie są Francuzi, według Dullesa. Tchórze, dezerterzy, i pomocnicy Hitlera — oto patentowani Francuzi plombą amerykańską! Grecja była dla panów z Wall Streetu zakąską, teraz chcą oni pożreć Francję. Znaleźli oni setki dobrowolnych szeryfów, którzy gotowi są zniszczyć całą Francję, byleby otrzymać wyrazy wdzięczności, nakreślone na książeczce czekowej.

W latach, gdy Amerykanie i Anglicy pochowali zakutą w kajdany Francję i wzdychali obłudnie, dzieląc między sobą spadek, nie spotkałem ani jednego człowieka radzieckiego, który wątpiłby o wielkiej przyszłości oczekującej naród francuski. O walce narodu francuskiego nasze gazety pisały z miłością. Uważaliśmy go za sojusznika i przyjaciela. Prawdziwe uczucia sprawdza się w czasie niedoli, a nie na bankietach lub imieninach. I teraz również ani jeden człowiek radziecki nie wątpi o wielkiej przyszłości narodu francuskiego. To nie my zatapialiśmy okręty francuskie. To nie my zagarnęliśmy wyspy francuskie. To nie my porozumiewaliśmy się ze zdrajcą Darlandem. Nie myśmy to czynili. Wiedzą o tym wszyscy Francuzi. Myśmy pierwsi uznali Narodowy Komitet Wyzwolenia. Pierwsi zawarliśmy sojusz z odrodzoną Francją. Po wojnie daliśmy Francji zboże, nie z nadmiaru dobrobytu, lecz z nadmiaru szlachetności. Wiem, że przyzwoitym ludziom nie trzeba o tym przypominać. Ale nikt chyba nie ośmieli się zaliczyć obecnych wodzirejów Francji do do przyzwoitych ludzi.

Byłem, jestem i będę przyjacielem Francji — konkluduje Erenburg. — Dlatego właśnie muszę powiedzieć wprost to, co myślę o dzisiejszych i — mam nadzieję — krótkotrwałych gospodarzach Francji. Francja ma prawdziwego gospodarza — naród francuski, który wie, co ma robić bez rad pana Dullesa. Naród ten ma wielką historię i nigdy cywilizowanym dzikusom z Ameryki nie uda się przedstawić potomków Woltera jako małoletnie dzieci, którymi trzeba się opiekować.

Naród francuski — naród mężny i wielki — walczy teraz w niesłychanie trudnych warunkach o swą niezależność. I powiem to, co mówiłem w czasie wojny: „Wiem, że ją wywalczy".

bs

Zasługi wydawców

Pochwała jest rzeczą równie pożyteczną jak i nagana. Pisma literackie, a wśród nich „Kuźnica", nie ustają w udzielaniu nagan wydawcom. Postanowiłem więc uprosić redaktora naczelnego, by mi wydzielił niewielką rubryczkę. Będzie się nazywała: Zasługi wydawców — oświadczyłem skromnie. Redaktor zgodził się, dodając, że zapewne niewiele będę miał kłopotu z obsłużeniem nowo powstałego działu.

Tymczasem okres świąteczny pozwolił mi na zapisanie nowych zasług. Tym razem honor przypada „Czytelnikowi"

Mam w ręku tom szósty „Pism" Stefana Żeromskiego pod redakcją Stanisława Pigonia. Są to „Syzyfowe prace". Poza tem również w cyklu pism ukazał się „Ludzie bezdomni". Wnioskując z tytułowej karty i z dawno niewidzianego na grzbietach książek napisu: „Pisma", „Czytelnik" przystąpił do wydania zebranych dzieł Stefana Żeromskiego.

Należy podkreślić staranność redakcji oraz doskonałą szatę zewnętrzną, opracowaną przez krakowski oddział „Czytelnika". Wydanie czytelnikowskie „Syzyfowych prac" jest wydaniem krytycznym, redakcja wyczerpująco omawia historię tekstu i uzasadnia swój ostateczny wybór.

Wraz z dwoma tomami zbiorowych pism Żeromskiego ukazało się nowe wydanie „Nocy i Dni" Marii Dąbrowskiej. Zato również należy się „Czytelnikowi" gorąca pochwała.

Spółdzielnia wydawnicza „Wiedza" wydała tom pierwszy zebranych pism Andrzeja Struga. Układ graficzny ustępuje wydawnictwom wymienionym poprzednio, zasługę wypada jednak podkreślić.

I jeszcze jedno: „Syzyfowe prace" kosztują zł. 260, jednotomowe wydanie „Ludzi Bezdomnych" — zł. 400. Tom Wiecha „G—jak Glenia" w wydaniu AWIR kosztuje zł. 450.—. Bardzo mnie to cieszy!

ph.

Redaguje: Zespół „Kuźnicy". Wydawca: Zespół „Kuźnicy"
REDAKTOR NACZELNY: STEFAN ŻÓŁKIEWSKI.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.
Adres Redakcji i Administracji: ul. Piotrkowska Nr 96. — Telefon 205-42.
CENA OGŁOSZEŃ: Za 1 mm na 1 szpalte 40 złotych.
WARUNKI PRENUMERATY:
miesięcznie zł 80.—; kwartalnie zł 240.—; półrocznie zł 480.—; rocznie zł 960.—.
Należność za prenumeratę należy wpłacać do P. K. O. konto VII—567 „Prenumerata Kuźnicy".
D—024215 Drukarnia Nr 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2.

UKAZAŁ SIĘ Nr 11(18)
czasopisma naukowego
»MYŚL WSPÓŁCZESNA«
Skład Komitetu Redakcyjnego:
Prof. dr. Józef Chałasiński, dr. Franciszek Fiedler, prof. dr. Natalia Gąsiorowska-Grabowska, prof. dr. Tadeusz Kotarbiński, dr. Bronisław Krauze, prof. dr. Adam Schaff, prof. dr. Zygmunt Szymanowski, prof. dr. Henryk Ułaszyn, przew. Komisji Kultury i Sztuki Sejmu Ust. Stefan Żółkiewski.
Treść numeru 11(18)
S. I. Wawiłow — Nauka radziecka w służbie kraju,
A. Butiagin i J. Sałtanow — 30 lat wyższego szkolnictwa w ZSRR,
Włodzimierz Sokorski — Demokratyzacja szkół wyższych,
Dr. Józef Chałasiński — Współczesne reformy szkolne a idea narodu i socjalizmu,
Dr. Wacław Szuberi — Nowe drogi polityki społecznej,
Władysław Strzemiński — Łódź sfunkcjonalizowana.
Kroniki i recenzje.
Adres Redakcji: Łódź, Piotrkowska 86, tel. 254-20, wewn. 2.
Adres Administracji: Warszawa, Al. 3 Maja 36.
Cena egzemplarza: zł. 100.— Prenumerata kwartalna zł. 250.— Prenumerata kwartalną ulgowa zł. 190.—
Konto PKO Nr VII-995, z zazn. Wyd. „Myśl Współczesna". Skład Główny: Spółdzielnia Wydawnicza „Książka"